WYZWANIA PRZED NOWĄ GŁOWĄ PAŃSTWA

Czyim prezydentem będzie Karol Nawrocki?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 32/641 4–10 SIERPNIA 2025
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Marny bilans prezydentury Andrzeja Dudy

WOJCIECH CEJROWSKI ZDRADZA, JAK DONALD TRUMP OGRAŁ URSULĘ VON DER LEYEN

Muzułmanów trzeba nawracać, a nie kokietować

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

GANG OLSENA 2.0

eprasa.pl 025d2d1ac6

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

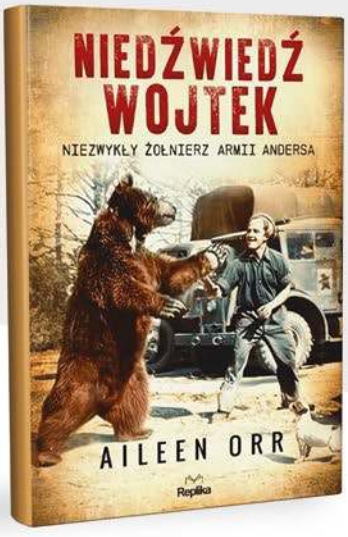

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

AILEEN ORR: „NIEDŹWIEDŹ WOJTEK" ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~761 ZŁ~~

292,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 469 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 025d2d1ac6

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Wyzwanie dla nowego prezydenta

Wszystko wskazuje na to, że 6 sierpnia dojdzie do zaprzysiężenia Karola Nawrockiego. Piszę to z drobnymi zastrzeżeniami, bo widząc amok, który ogarnął polityków PO, niczego ostatecznie wykluczyć nie można. Trudno jednak uznać, żeby po serii kompromitujących porażek Donald Tusk lub Roman Giertych naprawdę myśleli o blokowaniu zaprzysiężenia. Obecna władza robiła, co mogła, by to, co jest świętem demokracji, zohydzić i obrzydzić. Im więcej rzucała oskarżeń, im bardziej próbowała dowodzić, że dochodziło do fałszerstw i że Karol Nawrocki tak naprawdę nie wygrał, tym bardziej się pogrążała. Polacy, i słusznie, bardzo nie lubią sytuacji, w której ktoś nie jest w stanie przyznać się do porażki i próbuje zmienić reguły gry w trakcie meczu. O ile zatem próba sparaliżowania i zablokowania przejęcia urzędu przez Karola Nawrockiego spaliła na panewce, o tyle przyniosła ona znaczące skutki polityczne.

Pierwszym jest drastyczne osłabienie pozycji samego Donalda Tuska. Nigdy wcześniej nie znajdował się w tak trudnym położeniu. Nie tylko dlatego, że nawet jego zwolennicy publicznie rozważają możliwość jego wymiany; to samo robi intelektualne zaplecze PO. Sprzyjające PO media roją się wręcz od analiz, które opisują niezdecydowanie, rozchwianie, brak celów i chaos towarzyszący działaniom premiera. Nigdy wcześniej ta krytyka nie była tak głośna i stanowcza. I nigdy wcześniej Tusk by na nią nie pozwolił. Teraz musi ją znosić i to nie dlatego, że jest słuszna, ale dlatego, że nie dysponuje żadną siłą, żeby ją powstrzymać. Tusk tonie i jest tylko kwestią czasu, kiedy dokona się w PO jakaś forma przewrotu. Na razie ma wciąż jeden atut: gwarantuje uwikłanym w bezprawne działania politykom i urzędnikom bezkarność. Każdy wszakże, kto ma oczy do patrzenia, widzi, że to stan przejściowy, i jeśli Platforma nie wykreuje innego lidera, to razem z Tuskiem pójdzie na dno.

Drugim jest wzrost znaczenia samego Karola Nawrockiego. Paradoksalnie im mocniej i bardziej bezpardonowo był atakowany i im głośniej co bardziej krzykliwi ujadacze i propagandyści próbowali zanegować jego zwycięstwo, tym bardziej jego pozycja rosła. Boimy się go – to podstawowy przekaz, który wygenerowali rządzący. Boimy się go strasznie, a skoro się go boimy, to znaczy, że jest bardzo silny i może nam bardzo zaszkodzić. Boimy się go tak bardzo, że poruszyliśmy ziemię i niebo, żeby nie dopuścić do jego wyboru. Tak więc przez dwa ostatnie miesiące Karol Nawrocki nie musiał ani niczego robić, ani niczego mówić, a i tak jego siła rosła.

Po trzecie, osłabienie układu rządzącego, widoczne gołym okiem, wreszcie pozwoliło Prawu i Sprawiedliwości oraz w ogóle całej obecnej opozycji prawicowej myśleć o przyszłości w sposób optymistyczny. Coraz częściej politycy opozycyjni nie pytają się już o to, czy Tusk i PO utracą władzę, tylko kiedy się to stanie. Jednak taki optymizm też może być niebezpieczny. Dzielenie skóry na niedźwiedziu bywa zawodne. Tym bardziej jeśli, a wiele na to wskazuje, dwie główne siły opozycyjne – to jest PiS i Konfederacja – będą walczyć ze sobą tak jak ostatnio.

Wydaje się, że w tym przypadku konflikt zaczął PiS, którego politycy uznali, że zwycięstwo Karola Nawrockiego było tożsame ze zwycięstwem ich partii. To nieprawda. Były szef IPN został głową państwa tylko dzięki wsparciu 88 proc. wyborców Sławomira Mentzena i 94 proc. głosów Grzegorza Brauna. W pierwszej turze, gdy liczyły się głosy elektoratów partyjnych, minimalnie z Rafałem Trzaskowskim przegrał. Nic nie wskazuje zatem na to, by PiS był w stanie zdobyć kolejnych 10–15 proc. wyborców, które zapewniłyby mu samodzielną większość. Próba walki o to musi prowadzić – co już wyraźnie widać – do coraz ostrzejszego zwarcia z Konfederacją.

PiS uznał jednak, że może powalczyć o pełną pulę. Metoda jest prosta: nie dokonując krytyki własnych błędów, partia zachowuje się, jakby głosiła i realizowała hasła, dzięki którym swoją siłę zbudowała Konfederacja. To się nie może udać. Jedynymi, którzy mogą na takiej wzajemnej wojnie na prawicy wygrać, są słaniający się na nogach tuskowcy. Jest to zresztą dokładnie ten sam błąd, który PiS popełnił w październiku 2023 r., kiedy to tuż przed wyborami przeprowadził kompletnie nieudaną szarżę na Konfederację, w efekcie oddając władzę Tuskowi. Niektórzy najwyraźniej nie są w stanie uczyć się na własnych błędach. Jakby mogli, skoro przecież, a tak brzmi oficjalna doktryna PiS, błędów nie było?

Na tym właśnie będzie polegać pierwsze polityczne wyzwanie, przed którym stanie nowy prezydent: na doprowadzeniu do paktu o nieagresji najważniejszych prawicowych ugrupowań. ©℗

eprasa.pl 025d2d1ac6

TEMAT TYGODNIA

16 ŁUKASZ WARZECHA
DONALD, KLAWO JAK CHOLERA!
Gang Olsena 2.0

19 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PROJEKT HOŁOWNIA: SCHYŁEK CZY REAKTYWACJA?

22 JAN FIEDORCZUK
WALDEMAR ŻUREK – MINISTER DO SPRAW DEPISYZACJI

KRAJ

26 PIOTR SEMKA
PIĘĆ HERKULESOWYCH PRAC PREZYDENTA NAWROCKIEGO
Wyzwania nowej prezydentury

29 KACPER KITA
CZYIM PREZYDENTEM BĘDZIE KAROL NAWROCKI?

32 ROZMOWA Z ROBERTEM BĄKIEWICZEM
CZUJĘ SIĘ TROCHĘ JAK BRYGADA ŚWIĘTOKRZYSKA

KULTURA

34 ŁUKASZ CZARNECKI
MIĘDZY JAPOŃSKĄ ZJAWĄ A POLSKIM UPIOREM
Opowieści o duchach z różnych kultur

36 RADOSŁAW WOJTAS
SKŁADKA NA ARTYSTÓW

39 GRZEGORZ KONDRASIUK
LETNIE WIDOWISKA POZA SCHEMATEM

40 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
MINISTERSTWO KULTURY NA NOWEJ DRODZE ŻYCIA

42 PIOTR GOCIEK
IMIGRANT ZE STALI

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, GRA

OPINIE

48 MICHAŁ KRUPA
DEKADA PASYWNOŚCI
Bilans prezydentury Andrzeja Dudy

51 MARIUSZ JAGÓRA
DLA NASZEGO DOBRA. CYFROWEGO DOBRA

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI
MUZUŁMANÓW NAWRACAĆ

HISTORIA

56 MACIEJ KLEDZIK
RAMIĘ W RAMIĘ Z NARODOWYMI SIŁAMI ZBROJNYMI
81. rocznica Powstania Warszawskiego

ŚWIAT

60 JACEK PRZYBYLSKI
WOJNA ŚWIATÓW
Klęska Komisji Europejskiej

64 ROBERT BOGDAŃSKI
RAK KORUPCJI?

66 JAN BOGATKO
WELCOME TO GERMANY

68 MARIA KĄDZIELSKA-KOPER
WIĘZIEŃ SUMIENIA

70 MACIEJ PIECZYŃSKI
ROSYJSKIE LATO

WAKACJE

74 CEZARY GMYZ
GDZIE WISŁA SPOTYKA NAREW
Tratwą po Wiśle

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (59), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (76), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 025d2d1ac6

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Waltraud Grubitzsch/DPA/PAP, Rafał Guz, Piotr Nowak, Leszek Szymański/PAP; oprac. graf. JAN**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl;
tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Powinność prezydenta Nawrockiego", Arkadiusz Siwko, „DRz" nr 30/2025

Dzień dobry,
chciałbym pochwalić bardzo mocno pana Arkadiusza Siwkę za artykuł „Powinność prezydenta Nawrockiego", a dokładnie za punkt 9 tego artykułu pt. „Pobór powszechny". Zgadzam się z tezą autora, że istnieje w Polsce jakaś tendencja uciekania od tematu powszechnej służby wojskowej i trzeba tę tendencję jak najszybciej przezwyciężyć. Bo zaraz potem trzeba przejść do szczegółów.

Powszechność służby wojskowej oznacza, że nie może ona być ograniczona do najmłodszej grupy wiekowej dorosłej populacji mężczyzn. Jeżeli chodzi o pogodzenie obowiązkowej służby wojskowej z obowiązkami rodzinnymi, to trzeba liczyć się z tym, że mężczyzna w wieku do 26. roku życia może być ojcem niemowlaków, a więc jest szczególnie potrzebny w domu, natomiast mężczyzna w wieku 40+ może być ojcem synów, którzy lada chwila zaczną podlegać obowiązkowej służbie wojskowej i nieodbycie przez ich ojca żadnej służby wojskowej może być dla nich złym przykładem. Nie może być wreszcie zgody na taki model, że dany obywatel jest przez dziesięciolecia karmiony perspektywą uniknięcia służby wojskowej, a potem zmienia się nagle sytuacja i w wieku np. 48 lat dany obywatel jest wzywany do wojska. Wreszcie trzeba znieść kategorię D, bo to obraża zdrowy rozsądek ludzki, że ktoś w czasie pokoju nie może być w wojsku, a w czasie wojny, kiedy jest bardziej niebezpiecznie, już może zostać żołnierzem.

Dlatego trzeba wprowadzić żelazną zasadę, że każdy, kto może być powołany do wojska w czasie wojny, musi być powołany do krótkotrwałej służby wojskowej już teraz, w czasie pokoju. Bo ja np. mam kategorię D, mam 48 lat i nie mam ochoty być powołany do wojska dopiero w czasie wojny, kiedy „wszystko się będzie walić". Dlatego trzeba wreszcie wprowadzić system, w którym powszechny obowiązek obrony będzie wiążący także dla państwa, zgodnie z zasadą: obywatel = żołnierz. W takim modelu pytanie nie będzie brzmiało: „Czy państwo danego obywatela potrzebuje jako żołnierza?" lecz: „Czy państwo z danego obywatela może zrobić żołnierza?".

Pozdrawiam
Bogdan Rink

eprasa.pl 025d2d1ac6

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Ci „inni" – pilnujący granicy

Zjawisko spontanicznego tworzenia przez obywateli ruchu obrony granic wywołuje skrajne komentarze. Charakterystyczna dla obecnych emocji była polemika dwóch publicystów wywodzących się z Klubu Jagiellońskiego. Piotr Trudnowski napisał „Państwo polskie powinno umieć błyskawicznie profesjonalizować i lekko wspierać obywatelskie zrywy, takie jak pomoc uchodźcom z Ukrainy w 2022 r. czy ruch kontroli granicy w 2025 r. ". Słowa Trudnowskiego zbulwersowały Stefana Sękowskiego: „Nie ma porównania między ludźmi dobrej woli pomagającymi uchodźcom z Ukrainy a cynicznymi politykierami grającymi na ludzkim strachu, ludźmi ulegającymi histerii, zwykłymi rasistami i miłośnikami różnych szlachetnych form walki z ROG".

Trudnowski trafnie spostrzega, że czymś rzadkim w dzisiejszej Europie jest zjawisko szybkiej samoorganizacji się ludzi w sytuacji obaw przed jakimś zagrożeniem. Zwolennicy uszczelniania granicy nie chcą czekać, aż na ulicach polskich miast zaczną się takie same ataki jak w Wielkiej Brytanii czy RFN. Domyślam się, że gdyby moich argumentów słuchał jakiś zwolennik partii Razem, to byłby oburzony porównaniem incydentów z Zachodu z sytuacją w Polsce. Wynika to z pewnego ideologicznego założenia, idealizacji obcego, szczególnie gdy ma on inny kolor skóry lub inne wyznanie. Wydawałoby się, że winno ono osłabnąć po dwóch dekadach obserwowania, jak zjawisko masowej emigracji wpływa na przemoc wobec kobiet, gwałty, ataki nożem. Tyle że nie skłania to lewicy do racjonalnego uznania faktów.

Wróćmy jednak do zdania Sękowskiego o kontraście między ludźmi dobrej woli pomagającymi Ukraińcom i cynicznymi politykierami grającymi na ludzkim strachu. Niby dlaczego całe dobro ma być zgromadzone po stronie jednej grupy, a całe zło po drugiej stronie? Równie dobrze mogę powiedzieć, że masowy ruch pomocy Ukraińcom był bardzo pozytywny, ale z czasem wyłonił z siebie tych, którzy uznali, iż trzeba biec z kartonami pizzy na przejście graniczne, by wspomagać tłumy „uchodźców" wysyłanych przez reżim Łukaszenki. Dlaczego nie można stwierdzić, że grali oni „cynicznie" na naturalnej ludzkiej solidarności z uciekinierami wojennymi, de facto wspierając plan destabilizacji wschodniej granicy RP?

Ludzie angażujący się w pomoc uchodźcom w kółko biją na alarm, żeby zrozumieć tzw. INNEGO, uważając, że zalecenie to ma dotyczyć przybyszy z Somalii czy Erytrei na ulicach polskich miast. Ale dlaczego tolerancji i chęci zrozumienia odmawiać komuś, kto mieszka niedaleko granicy polsko-niemieckiej? Komuś, kto za każdym razem, gdy przechodzi obok jego domu jakaś grupa ciemnoskórych obcych mu ludzi, zastanawia się, czy jego rodzina jest bezpieczna. I czy Stefana Sękowskiego obchodzi prawo takiej osoby do spokoju i braku lęku o najbliższych? Czy nie jest to wartość wyższa i bardziej uprawniona niż prawo przybysza z Iraku czy z Syrii do życia w zachodnich społeczeństwach? ©℗

LANGE POZBAWIONA ODZNACZENIA

Prezydent Andrzej Duda pozbawił Jolantę Małgorzatę Lange (primo voto Gontarczyk) Srebrnego Krzyża Zasługi – ogłosiła Kancelaria Prezydenta. W 1997 r. odznaczenie Lange przyznał Aleksander Kwaśniewski. Prezydent Duda skorzystał zaś z prawa jego odebrania, jeśli „odznaczony dopuścił się czynu, który czyni go niegodnym orderu lub odznaczenia". Gontarczyk współpracowała z SB w Polsce i RFN. Według IPN jej informacje mogły przyczynić się do śmierci w 1987 r. ks. Franciszka Blachnickiego (na zdjęciu). ***(jap)*** ©℗

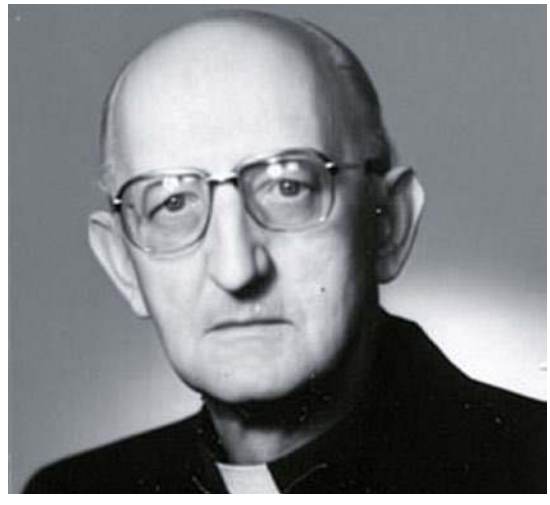

FOT. AIPN

INFLACJA W POLSCE MOCNO W DÓŁ

Inflacja konsumencka w lipcu wyniosła 3,1 proc. rok do roku, wobec 4,1 proc. miesiąc wcześniej – wynika ze wstępnych danych Głównego Urzędu Statystycznego. Tempo wzrostu cen okazało się nieco wyższe, niż prognozowali ekonomiści (konsensus wynosił 2,8 proc.), ale i tak inflacja tak nisko nie była od wiosny ubiegłego roku. Niższe tempo wzrostu cen powinno sprzyjać gołębiemu nastawieniu Rady Polityki Pieniężnej. Obecnie główna stopa NBP wynosi 5 proc. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 025d2d1ac6

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 025d2d1ac6

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Szkoda fachowców

Cichutko, ukradkiem, premier Tusk rozwiązał rządową komisję do badania wpływów rosyjskich i białoruskich, kierowaną przez gen. Stróżyka. Gdyby wścibscy dziennikarze znienawidzonych „prawicowych" mediów przegapili zwięzły komunikat w Monitorze Rządowym, może udałoby się w ogóle zapomnieć o tym, że kiedyś – w maju 2024 r. – w ogóle ją powołał, no ale niestety zauważyli to. Komisja nie zostawiła po sobie żadnego sprawozdania ani raportu, z którego można by wnioskować, za co każdy z jej członków skasował – lekko licząc – po 170 tys. zł (może więcej, bo nie wiadomo, czy nie przyznano jakichś dodatków). Możemy więc powiedzieć tylko ogólnie: za służbę partii.

Ustanawiając ponad rok temu owo groteskowe gremium, powiedział był Tusk – „z całą odpowiedzialnością" – że komisja, w przeciwieństwie do tej stworzonej za czasów PiS, z prof. Sławomirem Cenckiewiczem na czele, „będzie wolna od partyjniactwa i nie będzie służyła polowaniu na przeciwników politycznych". Dlatego powołał do niej takich orłów jak Anna Mierzyńska, autorka kuriozalnych internetowych wpisów o „dezinformacji", Klementyna Suchanow (ta od „Margota" i rzucania jajami w limuzynę prezydenta) czy Tomasz Piątek – ten ostatni przydał się najbardziej, odnajdując powiązanie z Kremlem Karola Nawrockiego, a mianowicie, że jego siostra pracowała kiedyś w cukierni hotelu Hilton, a ta sieć hoteli nie wycofała się z Rosji po agresji na Ukrainę. Członkami komisji zostali też była RPO i była ambasador Teresa Lipowicz, Katarzyna Bąkowicz, wsławiona żądaniem przywrócenia cenzury „mowy nienawiści", czy Adam Leszczyński, lewacki likwidator Instytutu Myśli Narodowej. Niezły trust mózgów, który za pobraną kasę wyprodukował przez rok jeden świstek, stwierdzający – bez konkretów – że wpływami rosyjskimi w Polsce są ci, którzy są za PiS, i ci, którzy są przeciwko UE.

Szkoda, że rząd zrezygnował z usług takich fachowców. Aż prosiło się powierzenie im jakichś nowych zadań – np. przyszpilenia amerykańskiej dezinformacji o rzekomym lądowaniu na Księżycu. ©℗

MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

O względności liczb

Średnie partie mogą dokonać dużych rzeczy, tak jak bilans działania wielkich partii bywa niewielki; szczególnie gdy od ich chwilowych dokonań odejmie się skutki sprowokowanej kontrakcji. Pewniejsze są polityczne dzieła, które, owszem, mają jednego redaktora, ale wielu podpisujących autorów.

U początków naszej niepodległości nie było partii dominującej, ale kierunek polityki „powrotu do Europy" (które to hasło, co warto przypomnieć, Jan Paweł II uznał za „upokarzające" Polskę) wyznaczyła Unia Demokratyczna, partia, której poparcie nie przekroczyło nigdy 1,5 mln głosów. Ona była jednak kapitanem i nawigatorem tego projektu. Alternatywą dla jej polityki, realizującą przywrócenie Rzeczypospolitej podstawowych instytucji cywilizacji chrześcijańskiej, było Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, o nawet nieco mniejszym poparciu.

Legitymacją „partii wszystkich" jest nadzieja na władzę, legitymacją ugrupowań średnich – cele i zdolność mobilizacji ich zwolenników.

W czasie ostatnich wyborów politykę wschodnią Rzeczypospolitej podyktował Sławomir Mentzen. Szkoda, że w sposób skrajny. Domagając się deklaracji w kwestiach zupełnie teoretycznych, a nawet abstrakcyjnych. Taki bowiem charakter ma udział w misji stabilizacyjnej po zawarciu rozejmu na Ukrainie (a gdzie ten rozejm?), i tym bardziej przyjęcie Ukrainy do NATO, co (zgodnie z Artykułem Dziesiątym) wymaga zgody wszystkich sprzymierzonych, również Niemiec, Holandii, Węgier. Ten zwrot naszej polityki o 180 stopni zdewaluował większość politycznych osiągnięć roku 2022. Ale to już było. W każdym razie zobaczyliśmy – niezależnie od tego, czy budujące czy nie – przykłady rzeczywistej skuteczności i słabości w polityce. Tak to bywa, o poparcie opinii trzeba umieć zabiegać, ale trzeba również umieć jej się przeciwstawić. ©℗

eprasa.pl 025d2d1ac6

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

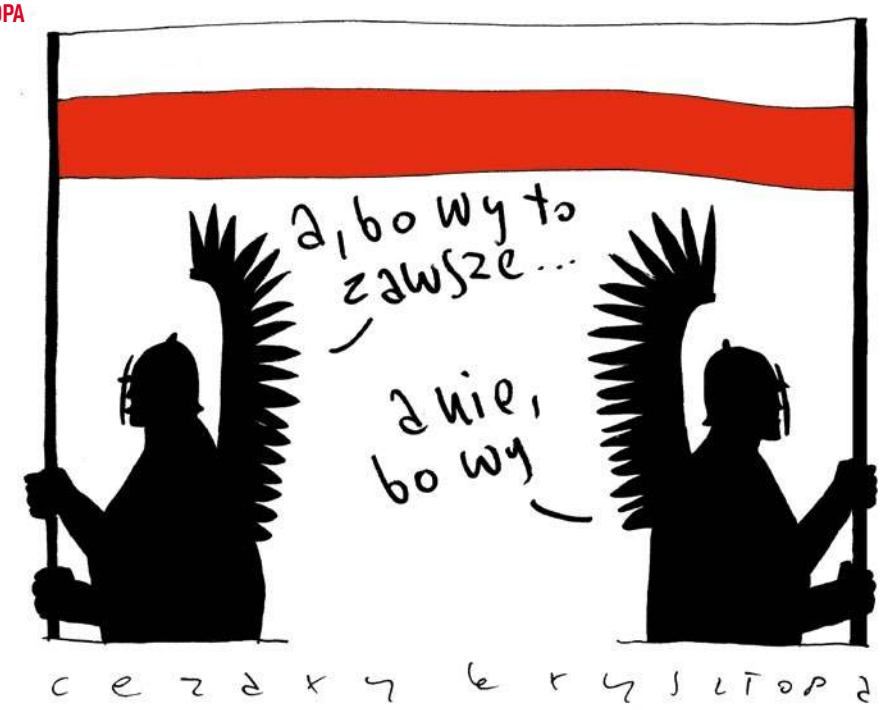

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O mózgu gadzim

Partia premier Giorgii Meloni, Bracia Włosi – jak wskazują sondaże – cieszy się obecnie większym poparciem (30 proc.) niż w wyborach ponad tysiąc dni temu (26 proc.). Co więcej, kompletnie w łeb wzięła kampania postępowców pod hasłem „Meloni nie liczy się za granicą". Nie dość, że włoską premier komplementowali Biden, Trump, Merz i Starmer, to amerykański tygodnik „Time" wyszedł niedawno z jej sympatycznym portretem na pierwszej stronie i podpisem „Dokąd Giorgia Meloni prowadzi Europę?".

Nic więc dziwnego, że postępowcy zaczęli gorączkowo rozglądać się za przyczynami tak fatalnego dla nich obrotu spraw politycznych. Naturalnie kompleks wyższości, arogancja i ideologiczne zaślepienie nie pozwoliły im szukać winy w sobie, w swoich programach wyborczych, wypowiedziach, kampaniach propagandowych czy działaniach, gdy byli u władzy. Jak zwykle w takich sytuacjach doszli do wniosku, że wszystkiemu winien jest ciemny lud, który dał się omamić prawicowcom.

W 1993 r., gdy cztery lata po epokowej zmianie do władzy w Polsce doszli postkomuniści, BBC World Service wysłał mnie z Londynu do Warszawy, bym zbadał przyczyny politycznej sensacji. Zapytałem o to Tadeusza Mazowieckiego. Powiedział mi krótko: „Trudności związane z transformacją, a poza tym za dużo było po naszej stronie arogancji i pogardy".

Włoska lewica tak nie potrafi. Dziennik „Il Fatto Quotidiano" poprosił o zdiagnozowanie przyczyn wyborczego zwycięstwa i stale rosnącej popularności Meloni swego blogera psychoanalityka Luciana Casolariego. Uczony mąż odkurzył starą teorię Paula MacLeana (1960). Amerykański biolog wywodził, że mózg dzieli się na mózg gadzi, ssaczy i korę mózgową. Ten pierwszy, gadzi, reaguje na bodźce prymitywne w sposób instynktowny. I właśnie do prymitywnego gadziego mózgu zdaniem Casolariego ma się odwoływać w swoich wystąpieniach i decyzjach Giorgia Meloni. Słowem – wszyscy jej zwolennicy to ludzie niedorozwinięci umysłowo, bardziej gady niż ssaki. Proste, nie? ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 025d2d1ac6

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

DAWCIO ZNIESMACZONY

Zdeklarowany homoseksualista, projektant mody Dawid Woliński, ma dość widoku karmiących kobiet. Co więcej, czuje się przez ów widok prześladowany i chciałby, aby matki chowały się gdzieś w kącie. – A, Jezus, ja jeszcze nie znoszę tego karmienia w restauracji, jak panie karmią dzieci. To też jest dla mnie takie niefajne, że przy stoliku obok wyjmuje pani piersi, karmi dziecko. Ostatnio bardzo mocno taki fakt mnie prześladuje – stwierdził w jednym z wywiadów, co szybko wywołało ostrą reakcję. Modelka i prezenterka Karolina Gilon, która niedawno została mamą, podkreśliła, że Woliński nie jest autorytetem w temacie karmienia niemowląt. – Doznania estetyczne Dawida są trochę niżej w hierarchii ważności, przykro mi, kochany – powiedziała Pudelkowi. Celebrytka przypomniała, że „kobiecy biust został stworzony do karmienia". Słowa gwiazdora TVN nie spodobały się też aktorce Oldze Kalickiej. Mama małej Anieli opublikowała serię zdjęć z maluchem, podkreślając, że „karmienie piersią to nie kaprys". „To nie prowokacja. To nie zachcianka mamy, która chce »zrobić po swojemu«. To podstawowa potrzeba dziecka – głód, pragnienie, bliskość i bezpieczeństwo. Jesteśmy ssakami – od tego słowa zaczyna się sama definicja naszego gatunku" – napisała. „Od tysięcy lat to właśnie w ten sposób karmimy nasze dzieci. I one nie wiedzą, czy jesteśmy w domu, na spacerze czy w restauracji – wiedzą tylko, że są głodne. Czy głód dziecka ma poczekać, aż znajdziemy bardziej »akceptowalne« miejsce? Kiedy widzimy mamę karmiącą, widzimy życie w najczystszej postaci" – zauważa Kalicka. Aktorka przekonuje, że „karmienie piersią nie jest manifestem". „To po prostu miłość, troska i odpowiedź na potrzeby najmniejszego człowieka. Niech widok dziecka przy piersi nie budzi zgorszenia, tylko wdzięczność – że jesteśmy tu, bo kiedyś ktoś też zrobił dokładnie to samo dla nas" – podsumowała. Po pierwsze – żeby takie oczywistości trzeba było tłumaczyć dorosłemu mężczyźnie... Po drugie – oto feminizm, którego potrzebujemy.

FOT. KRZYSZTOF JAROSZ/FORUM

ALE KOSMOS!

W Łodzi odbył się niedawno trzydniowy festiwal Łódź Summer Festival. Obok gwiazd z krajowego podwórka rzesze fanów (a szczególnie fanek) przyciągnął występ Brytyjczyka Louisa Tomlinsona, znanego z nieistniejącego już dziś boysbandu One Direction. Niemałym zaskoczeniem było pojawienie się na scenie astronauty Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego, który kontynuuje tournée medialno-ściankowe. Uznański był w centrum zainteresowania przez kilka minut, a następnie na scenie pojawiła się „Doda". Znana z niewyparzonego języka Rabczewska zauważyła, że w czasie jednego z jej hitów uczestnik misji na ISS przechadzał się pod sceną, robiąc zdjęcia i rozdając autografy. „Żądna atencji Dorota najwyraźniej miała mu za złe, że uwaga wielu osób podczas jej koncertu była skupiona właśnie na nim" – donoszą media. Wokalistka szybko pouczyła Sławosza. – Widziałam, że ten nasz pan z kosmosu chodził w trakcie mojego koncertu rozdawać autografy i robić sobie zdjęcia. Dobrze, że zszedł na ziemię, bo teraz gwiazda jest inna i jedna. Tak że proszę na ten moment albo podziwiać, albo [być] w namiocie – powiedziała w przerwie między utworami. „Publiczność zamarła, gdy Doda spojrzała na Sławosza i nagle wypaliła, że ma zejść na ziemię i przestać sobie robić zdjęcia, bo teraz czas na jej występ. Zażartowała, że gwiazda jest na scenie i trzeba ją podziwiać. Po tym drugim komentarzu publiczność głośno się śmiała. Sławosz też" – przekazał portal Świat Gwiazd.

WALKA O WODĘ

Pozostając w temacie lotów. Wokalistka i tancerka Natasza Urbańska zrelacjonowała na Instagramie trudny lot z Chorwacji do Polski. Z powodu awarii temperatura wewnątrz samolotu miała sięgać aż 50 st. C, jednak obsługa pokładowa nie zaproponowała pasażerom nawet wody. – Samolot był nagrzany do 50 st. i nikt z obsługi nawet nie wpadł na to, by dać ludziom wodę. Dobrze, nie działają nawiewy, my się wszyscy wachlowaliśmy, ale kubek wody! 20 minut czekaliśmy na start, bo był opóźniony, sam lot był opóźniony godzinę, jak zawsze zresztą ostatnio. Takie traktowanie ludzi. W taki niezbyt sympatyczny – delikatnie mówiąc – sposób. Szef odpowiedział jednej pani: „No, przecież mieli Was uprzedzić, że nie ma wentylacji" – opowiadała. Urbańska wskazała, że było tak źle, iż dochodziło do omdleń. – Ludzie! Przecież to jest nieludzkie traktowanie, tak nie wolno traktować podróżnych. Ja w tym czasie już naciskałam przycisk, żeby ktoś przyszedł i mi pomógł, już krzyczałam: „Zaraz zemdleję, zaraz zemdleję". Zresztą parę osób też zemdlało na pokładzie oprócz mnie – relacjonowała celebrytka. Jak wspomniała, dopiero zdecydowana reakcja jej męża sprawiła, że sytuacja nieco się poprawiła, ponieważ Janusz Józefowicz sam ruszył po wodę. – Mój mąż w końcu nie wytrzymał tego i mówi: „Ludzie, dajcie wody". Nic się nie wydarzyło, więc ruszył tam, mimo że już wszyscy mieliśmy mieć zapięte pasy [...]. I wyrwał temu facetowi kubek wody – wspominała z emocjami Urbańska. Nie każdy bohater nosi pelerynę. ©℗

eprasa.pl 025d2d1ac6

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, a więc już nie ma nadziei. Zdradzili wszyscy, którzy mogli pomóc, zablokować triumfalny pochód fashysmu i nie dopuścić do tej siary w chooy przed Europą, jakiej świadkiniami i świadkami będziemy 6 sierpnia.

Oczywiście chodzi o zaprzysiężenie prezydenta elekta Karola Nawrockiego. Strasznie zepsute mamy przez to wakacje, serio. Mogło to zaprzysiężenie się odbyć jakoś w roku szkolnym albo później nawet, np. w listopadzie. Jest to wydarzenie tak promienne, jasne, radosne, nastrajające pozytywnie do życia, jak poniedziałkowy wczesny wieczór pod koniec listopada. Wiesz, że jest brzydko, zimno, nie masz siły ani ochoty na nic, a jednocześnie wiesz, iż to dopiero początek.

I tak to jest z tą prezydenturą. Mamy, kochani, same czarne myśli. Rząd niby zrekonstruowany, ale w sondażach odradza się fashysm i szczerzy nienawistne kły w stronę wszystkiego innego niż tradycyjnie pojmowana polskość, prezydentem będzie kibol (pan Premier Tusk nieraz pokazał, iż można być kibicem piłki nożnej, zachowując klasę i dobry smak), niedługo nie daj Unio jakieś przyspieszone wybory i tyle po naszej radości, demokracji i chęci do czegokolwiek.

Nie na darmo mówi się, iż sierpień to taka niedziela wieczór wśród miesięcy. Niby jeszcze wolne, niby nie trzeba nic robić, ale przychodzą już do głowy myśli przeróżne związane z nadchodzącymi wydarzeniami, a my jako patrioci i osoby europejskie nie możemy się nie martwić o to, jak ten kraj będzie teraz pewnie outowany na europejskich salonach, kto z tym Nawrockim w ogóle będzie chciał rozmawiać i po co. Fatalna sprawa :(

Sierpień to też trudny miesiąc w korpo, z dwóch powodów. Właściwie to z jednego – Nowego z Tarnowa, ale z kolei on ma dwa powody do rozstroju emocjonalnego i w związku z tym cierpimy sobie w teamie wszyscy.

Po pierwsze: sierpień jest tradycyjnie obchodzony jako miesiąc trzeźwości, do czego zachęca Kościół katolicki w tym kraju. Z jednej strony, gdyby miesiąc trzeźwości był ogłoszony przez jakieś lewicowe organizacje postępowe walczące z alkoholizmem, to Nowy co rano stałby w kolejce po małpkę i przynajmniej raz w tygodniu zwoływałby imprezy integracyjne. W tej sytuacji jednak Nowy dzielnie się trzyma, wszystkie „integracje" są odwołane, a on sam chodzi lekko podenerwowany, bo wróciła Ekstraklasa i napiłby się browara do meczu, a nie może.

Druga sprawa to pielgrzymki do Częstochowy. Nie wiemy, czy wiecie, iż Nowy jest wielkim fanem i w tym roku planował udział w pielgrzymkach nie tylko diecezji krakowskiej, lecz także pelplińskiej i szczecińsko-kamieńskiej. Potem jednak rzucił okiem na mapę i uznał, iż może to za dużo. Pozostał więc tylko przy krakowskiej i w związku z tym ogłosił, iż dla chętnych na pielgrzymkę z naszego teamu będzie dodatkowy płatny urlop, a my mu wyglądamy na chętnych.

Cóż, sytuacja na rynku pracy w chwili obecnej raczej nie przemawia na korzyść pracownika (nie wiązać z działaniami rządu), a więc najprawdopodobniej będziemy chętni i być może jeden z kolejnych odcinków napiszemy wam gdzieś w przerwie na pomidorową, cierpiąc od obolałych stóp, upałów i poziomu artystycznego pieśni pielgrzymkowych. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Może powiedz Donaldowi...

Ty, Adriana, a ty gdzie masz gabinet?

Tam, pod schodami. A ty, Kaśka, gdzie?

Ja na takim poddaszu jak gdyby. Ale tam, pod schodami? Ja myślałam, że tam jest węzeł energetyczny dla całej kancelarii premiera.

No bo jest, ale obok. I dlatego takie buczenie słychać cały czas u mnie.

To chyba irytujące? Może powiedz Donaldowi...

Ale wiesz, że mnie to uspokaja? To takie usypiające jest. Miejsca na kanapę tam nie ma, ale jak się ostatnio na fotelu wyciągnęłam, to cały dzień przespałam.

A u mnie sufit cieknie, bo to jest zaraz pod dachem.

No popatrz, ciągle ta dyskryminacja kobiet... ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Jak Nawrocki już zostanie prezydentem i nikt mu tego nie odbierze, to się zaczną takie pełnowymiarowe działania wojenne, z wyjazdem czołgów itd.".

***ELIZA MICHALIK**, dziennikarka, na YouTube*

eprasa.pl 025d2d1ac6

Telewizja w likwidacji postanowiła resztkami sił zawalczyć z Republiką. Na wieść, że ludzie Sakiewicza postanowili wydać na transmisję zaprzysiężenia Karola Tadeusza pół bańki, TVP postanowiła, że wyda jeszcze więcej. Ma być wypas jak na festiwalu w Opolu. Drony, tzw. krany, czyli żurawie, 70 kamer. Żeby rzeczywiście wyglądało okazale, w akcie desperacji sięgnięto po ludzi Kurskiego, którzy robili takie transmisje za czasów ancien régime'u. Jakby tego było mało, oferują wszystkim za darmo sygnał. Gratulujemy. Od dawna wiadomo, że jak ratować trupa, to prądem – może wtedy przez pewien czas uchodzić za żywego. Medycyna zna też coś takiego jak odruch czy efekt Łazarza, kiedy to nieboszczyki wykonują ruchy nawet bez rażenia prądem.

W końcówce kadencji prezydent Andrzej Sebastian postanowił nadrobić zaległości w polityce orderowej i hurtem rozdaje restituty i krzyże zasługi. Panowie G. są chyba ostatnimi dziennikarzami, którzy nie zostali odznaczeni. Nie kryjemy, że od Karola Nawrockiego będziemy wymagali więcej, a konkretnie orłów białych. Nie da się ukryć, że ci z krzyżami kusym okiem patrzą na tych, którzy dostali restituty. Inni zaś skarżą się, że dostali kawalerskie zamiast oficerskich. Taka polityka ma sens. Już dr Goebbels mawiał, że Republika Weimarska upadła, bo dawała za mało orderów.

Nie wiemy, czy wiecie, ale w Europie dziś wszyscy czują się Polakami. W każdym razie po prawej stronie. A wszystko to w związku z wygraną w wyborach prezydenckich Karola Tadeusza i jego nadchodzącym zaprzysiężeniem. I teraz konserwatyści z różnych krajów Europy koniecznie chcą przyjechać na inaugurację, więc zasypują PiS i Kancelarię Prezydenta elekta prośbami w tej sprawie. Tymczasem miejsca i tak brakuje już dla polskich Polaków z Polski, a co dopiero dla prawaków z Anglii, Niemiec, Belgii, Rumunii czy innych Włoch.

Najbardziej sprytni okazali się w tej sytuacji Rumuni. Otóż znienacka ogłosili, że w terminie inauguracji Karola Tadeusza zorganizują w Warszawie kolejną konferencję z cyklu Make Europe Great Again i wszystkich zaproszą. Na wspólne oglądanie transmisji z zaprzysiężenia w telewizji. Niektórzy liderzy ruchu MEGA zdążyli jednak wyjechać na wakacje, gdyż dopiero co zmęczyli się okrutnie konferencją MEGA w Kiszyniowie. Mołdawia to bowiem wymagający kraj, zwłaszcza dla miłośników dobrych win.

Apropos Mołdawii i Kiszyniowa. Nasza wpływowa rubryka miała tam swego przedstawiciela w postaci jednego z Panów G., którego wpuszczono do kraju, w odróżnieniu od paru europosłów i lidera ruchu pro-life Briana S. Browna. Brian spędził noc na lotnisku w Kiszyniowie, które jest równie urocze jak dworzec PKS w Nowym Targu. Kiedy o świcie wsiadł do samolotu, by wracać do domu, znienacka przyszło po niego dwóch strażników i kazało wysiadać, oznajmiając, że jednak jest mile widziany w Mołdawii. Jak widzicie, przyjaciółka Donalda Tuska, prezydent Maia Sandu, prowadzi tak jak on politykę proeuropejską, spójną i przewidywalną. Nie mówiąc już o szacunku dla wolności słowa.

Interesujące wydarzenia miały miejsce na lotnisku w Kiszyniowie, kiedy goście konferencji MEGA już się rozjeżdżali. Pewnego byłego europosła z Polski przez kilkadziesiąt minut przetrzymano pod nadzorem, nim został wpuszczony do samolotu. Z kolei jeden z Panów G. podejrzewany był przez pograniczników o to, że jest belgijskim politykiem Dewinterem. Bohatersko pokonał te przeciwności losu, używając zaskakującej broni – paszportu, w którym znajdowało się nazwisko inne niż Dewinter.

Tymczasem w Polsce. W Najwyższej Izbie Kontroli powstał już jakiś czas temu bardzo wnikliwy i obszerny raport na temat tego, jak się zachowało państwo polskie podczas ubiegłorocznej powodzi. A zachowało się, hm… no tak, jak się zachowało. Wiewiórki twierdzą, że Banaś Marian nie zamierza podpisywać i ujawniać tego raportu, zostawiając rzecz następcy. I my się nie dziwimy. Banaś wie, że jego przyszłość nieodwracalnie złączona jest z przyszłością polityczną tych, o których napisano w raporcie. A przecież gdzieś będzie po NIK trzeba pracować.

Nas w sumie bardzo bawi to, że szeregowy poseł Jarosław Kaczyński ogłosił, że uważa Tadeusza Dziubę za idealnego nowego prezesa NIK. Nie mamy nic przeciw Dziubie, natomiast pamiętamy, że prezes prezesów mógł Dziubę zrobić szefem izby już sześć lat temu, ale w ostatniej chwili, mając do wyboru dwóch kandydatów, znaczy Dziubę i pancernego Banasia, wybrał Banasia. Proponujemy więc taką gradację: dawny Dziuba był idealny,

eprasa.pl 025d2d1ac6

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

ale Banaś lepszy, natomiast nowy Dziuba jest lepszy i od Banasia, i od Dziuby. To jeden z rzadkich przypadków, gdy człowiek jest lepszy od samego siebie.

Natomiast wiewiórki sejmowe plotkują, że w sprawie wyboru nowego prezesa NIK wachlarz możliwości jest gigantyczny. Tak się bowiem składa, że obecnie możliwa jest tam każda dowolna konfiguracja głosów w sprawie dowolnego kandydata, który nie jest kandydatem PeŁo. Ba, nawet PeŁo w sojuszu z Panem Sweterkiem Czarzastym ma ledwie nędzne 178 głosów, co nijak żadną większością nie jest. A zdrada Hołowni sprawiła, że rozważane są rozmaite egzotyczne jednorazowe koalicje dla wyboru szefa NIK. Czekamy niecierpliwie.

Oczywiście wiemy, jak to się skończy. Jeśli wybrany zostanie kandydat, który nie został namaszczony przez Złego Donalda z Sopotu, to nagle okaże się, że w Polsce nie ma NIK, tylko neo-NIK, a nowy prezes nie jest prezesem, tylko neoprezesem. Na to czekamy jeszcze bardziej. Kto wie, może minister Żurek nawet wyśle do NIK jakichś prokuratorów z łomami? Najlepiej tych samych, którzy już kiedyś przyszli do KRS.

Niezmiernie ubawiła nas historyjka niejakiego Johna Stronga, opisującego na portalu X (dawniej Twitter) życie wewnętrzne resortu sprawiedliwości. Otóż ujawnił on, że nowy szef, a były sędzia trzymał w domu ni mniej, ni więcej, tylko krokodyla. Początkowo w wannie, ale budziło to opór małżonki, więc krokodyl trafił do piwnicy, gdzie wkrótce wyzionął ducha. Nie wiemy, jakimi łzami opłakiwał utratę przyjaciela, ale zapewne nie krokodylimi, skoro kazał truchło gadziny wypchać.

Tymczasem wśród dawnych ambasadorów nominowanych w czasach PiS – stypa. Odchodzący prezydent Andrzej Sebastian zdążył bowiem zawrzeć z Radkiem Sknerusem Sikorskim deal na temat nowych ambasadorów. I za cenę ocalenia swoich ulubionych Kumochów i Szczerskich odpuścił w sprawie innych, których bezprawnie odwołał Radek. „W ten sposób – powiedział nam jeden z eksambasadorów – stało się to, co zawsze: najbardziej wy..... (tu słowo niecenzuralne) nas swoi”.

Powyższa kwestia ma jeszcze jeden ciekawy aspekt. Otóż prezydent Andrzej Sebastian nie konsultował swojej decyzji z prezydentem elektem Karolem Tadeuszem. Natomiast słyszeliśmy, że choć rozgoryczenie opuszczonych ambasadorów jest słuszne, to zyski polityczne większe. Gdyż w PiS radykałowie już się szykowali do gryzienia Karola Tadeusza za to, że dogaduje się w kwestii ambasad z Radkiem. A tak Andrzej Sebastian wziął śmierdzące jajko na własny talerz, pozwalając Karolowi Tadeuszowi na świeży start.

Ubawiła nas historyjka Johna Stronga, opisującego na X życie wewnętrzne resortu sprawiedliwości. Otóż ujawnił on, że nowy szef, a były sędzia trzymał w domu ni mniej, ni więcej, tylko krokodyla

Niektórzy tymczasem pytają, na cholerę PiS wyskoczył z „Deklaracją Polską” i żądaniem, żeby podpisała ją Konfederacja, skoro z zawartości wynika, że Konfederacja podpisać jej nie może. Cóż – właśnie dlatego. Przypominamy, że przygotowania do wyborów parlamentarnych polegają na podkreślaniu własnej odmienności, a nie podobieństw. Inna sprawa, że w paru kwestiach PiS mógłby podkreślić swoją odmienność od PiS.

Ważne. W wigilię rocznicy Powstania Warszawskiego odbyła się uroczystość przy pomniku Powstania Warszawskiego. Po raz pierwszy od wielu lat na tym święcie organizowanym przez Rafała Trzaskowskiego, niedoszłego prezydenta RP, nie odnotowano delegacji składającej wieniec w imieniu środowisk LGBT. Zachodzimy w głowę, co się stało. ©℗

eprasa.pl 025d2d1ac6

POTĘŻNE POŻARY TRAWIĄ TYSIĄCE HEKTARÓW W GRECJI

Fala potężnych upałów – w ubiegłym tygodniu termometry pokazywały ponad 42 st. C, a w niektórych miejscach słupek rtęci dochodził niemal do 46 st. C – utrudniała greckim strażakom walkę z ogromnymi pożarami. Dzięki wykorzystaniu śmigłowców i samolotów gaśniczych udało im się jednak opanować wiele ognisk: zarówno w okolicach greckiej stolicy (na zdjęciu spalone drzewa w rejonie Kryoneri, na przedmieściach Aten), jak i na Peloponezie oraz na wyspach Eubea (Evia), Kithira (według wstępnych szacunków płomienie mogły objąć nawet jedną piątą wyspy i występowały na terenach, które wciąż są odbudowywane po wielkich pożarach z roku 2017, gdy ogień strawił ponad 10 tys. ha) oraz na Krecie.

Według cytowanych przez BBC strażaków pożary są trudne do opanowania, ponieważ rozprzestrzeniają się m.in. na obszarach mieszanych, obejmujących zarówno tereny leśne, jak i mieszkalne. W wielu miejscach w lipcu pożary zmusiły już do ewakuacji zarówno Greków, jak i tysiące turystów. Turyści muszą mieć też świadomość, że władze Aten ze względów bezpieczeństwa mogą czasowo zamykać Akropol w najgorętszych godzinach.

Pożary szalały również w lipcu w kilku regionach Turcji oraz na Cyprze. Według Euronews od początku roku do 29 lipca na terenie Unii Europejskiej pożary rozprzestrzeniły się na powierzchni 292 855 ha (największej od niemal dwóch dekad). ***(jap)*** © ℗

FOT. YANNIS KOLESIDIS/EPA/PAP

Donald, klawo jak cholera!

Łukasz Warzecha

Nad wszystkimi planami Donalda Tuska wisi memento z serii filmów o gangu Olsena. Każdy odcinek kończył się bowiem spektakularną wpadką, wskutek której Egon trafiał za kratki

O Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mawiało się za czasów minionych, że jesteśmy najweselszym barakiem w obozie. Było biednie i głupio, ale przynajmniej zabawnie. Wiadomo – różnie z tą wesołością bywało i nie wszyscy zawsze się cieszyli. Historia lubi jednak się powtarzać w formie farsy i dzisiaj jest trochę podobnie.

Głupio jest jak najbardziej. Nadal obowiązuje też obligatoryjny uśmiech („Hej, uśmiechnijcie się, brygada!"), choć główny wodzirej w osobie premiera uśmiecha się jakby rzadziej. Nieudolnie jest coraz bardziej, a tzw. rekonstrukcja rządu wszystkie te zjawiska wywindowała na nowy poziom. Jesteśmy ponownie najweselszym – a może najbardziej uśmiechniętym – barakiem w jedynie słusznym obozie „krajów demokratycznych".

Rząd Tuska porównywaliśmy rok temu do ekipy Egona Olsena. Z tą może różnicą, że nieudolny, acz zadufany w sobie duński gangster, bohater 14 filmów z serii „Gang Olsena" (produkowanych w latach 1969–1998), był jednak postacią sympatyczną, czego o Donaldzie Tusku, coraz bardziej zgorzkniałym starszym panu, powiedzieć się nie da.

Egon, niewysoki, energiczny, paradujący w garniturze, meloniku i z nieodłącznym cygarem w ustach (upodobanie do cygar również łączy go z Tuskiem), miał dwóch sprzymierzeńców: wysokiego jak tyczka Benny'ego, który koniecznie chciał dopasować swój długi krok do krótkich kroczków Egona – wypisz wymaluj Władysław Kosiniak-Kamysz; oraz grubego, spoconego Kjelda, w garniturze, z muszką pod szyją, w okularach i zawsze z dużą

Donald Tusk miał plan C: spowodować, żeby nie doszło do zaprzysiężenia nowego prezydenta. Marszałek Sejmu Szymon Hołownia nie zechciał wziąć udziału w zamachu stanu, jak nieco nieostrożnie wyraził się w jednym z wywiadów FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

eprasa.pl 025d2d1ac6

torbą w ręku – Włodzimierz Czarzasty jest nieco szczuplejszy, ale też pasuje. Do ekipy tej pasują też jak ulał np. marszałek Sejmu Szymon Hołownia i nowy minister sprawiedliwości Waldemar Żurek.

JAK NIE IDZIE, TO NIE IDZIE

Egon miał zawsze genialny plan. Plan, który nie mógł się posypać, nawalić, nie wypalić, a jednak zawsze tak właśnie się działo. Zanim jednak dochodziło do wpadki, Benny entuzjazmował się pomysłami przyjaciela, mówiąc: „Egon, klawo jak cholera!".

Miało być klawo jak cholera. Rafał Trzaskowski miał zdobyć prezydenturę, chyba żeby przejechał po pijaku na pasach zakonnicę w ciąży. A może nawet dwie. Niestety, ciemni i prowincjonalni Polacy – w odróżnieniu od tych uśmiechniętych – nie stanęli na wysokości zadania, ku rozpaczy prof. Radosława Markowskiego i Tomasza Lisa. Cóż, ten plan się posypał.

Jednak był przecież jeszcze plan B. Trzeba było wykazać, że zdarzyła się rzecz bezprecedensowa: opozycji udało się na masową skalę sfałszować wybory. Tutaj uruchomiono machinę fanatyków spod znaku Silnych Razem pod kierownictwem niezawodnego mecenasa Romana Giertycha, który zdemaskował animatorów tego fałszerstwa w osobach „Jaszczura" oraz „Ludwiczka", dwóch internetowych komediantów, żerujących na raczej niskich instynktach. To oni, poprzez swoją organizację Rodaków Kamratów, mieli obsadzić ogromną liczbę komisji wyborczych swoimi ludźmi. Ba, być może nawet stworzyli agenturę, która przeniknęła do komitetów wyborczych kandydatów obecnej koalicji, bo przecież w dziesiątkach tysięcy komisji swoich przedstawicieli mieli Rafał Trzaskowski czy Szymon Hołownia.

W sukurs przyszedł również tajemniczy dr Krzysztof Kontek, wybitny analityk, który teoretycznie dowiódł, że miały miejsce zadziwiające anomalie podczas głosowania, wskazujące na przypisywanie głosów oddanych na Trzaskowskiego Nawrockiemu. Anomalii w drugą stronę Kontek nie badał, gdyż – jak wyjaśnił – był to jego wybór i prawo jako naukowca. Kontek został uznany za autorytet przez ministra Bodnara, który swoje specjalne zadania dla prokuratorów, przeliczających głosy z wytypowanych komisji, uzasadniał m.in. jego „ekspertyzą".

Z ciekawości wszedłem na profil dr. Kontka na X. Doktor naukowiec całkowicie niezaangażowany politycznie i bezstronny chwali się tam np. wzięciem udziału w programie na kanale „Lot nad kaczym gniazdem". Jednak najbardziej zaimponował mi następujący jego wpis: „Ja generalnie nie wierzę w żadne teorie spiskowe – tylko fakty. Jednak tu wszystkich zaskoczę. Nie wierzę, że Amerykanie wylądowali na Księżycu, mimo że sam widziałem tę transmisję wczesnym rankiem 20 lipca 1969 r., gdy byłem na koloniach w Tleniu. Nie ta technologia – nie było mikroprocesorów i innych wynalazków. Po 56 latach nawet nie jesteśmy w stanie zbliżyć się do tego wyczynu. Świetna robota Kubricka. To jedyna teoria spiskowa, w którą wierzę".

Jeśli ktoś czuje się zaskoczony, to pytam: Czym? Czy jest w tym coś dziwnego lub niespójnego po tym, jak premier przed wyborami powoływał się na Jacka Murańskiego (kto się nie boi, niech sobie wyszuka, kto zacz, o ile tego jeszcze nie zrobił), a Giertych o fałszerstwo oskarżał „Jaszczura" z „Ludwiczkiem"? Mnie nic nie zaskakuje. Ba, wręcz podziwiam za spójność.

Prokuratorzy zadaniowani przez ministra Bodnara zabrali się dziarsko do roboty – „Donald, klawo jak cholera!". Niestety znowu nie wyszło. Przeliczyli głosy z 250 komisji wytypowanych jako najbardziej wątpliwe. W 166 z nich wszystko było w porządku. Z przeliczenia w pozostałych wynikło, że Trzaskowski powinien dostać o ok. 1,5 tys. głosów więcej. Jak by nie liczyć – nie wystarczy. Cóż, plan znów nie wypalił.

Jednak szef gangu jest geniuszem, więc miał nawet plan C: spowodować, żeby do zaprzysiężenia nowego prezydenta w ogóle nie doszło. W końcu od czego koalicja ma własnego marszałka Sejmu, od którego zależy, czy zwołane zostanie Zgromadzenie Narodowe i czy w jego trakcie odbędzie się odebranie przyrzeczenia od Karola Nawrockiego? Szybko pojawili się zaangażowani w obronę demokracji specjaliści, jak prof. Andrzej Zoll, którzy zaczęli marszałkowi podpowiadać, co mógłby zrobić, aby zostać prezydentem ad interim. Nadzieje były wielkie, ale niestety – i tu się rypło. Marszałek bowiem nie zechciał wziąć udziału w zamachu stanu – jak nieco nieostrożnie wyraził się w jednym z wywiadów – i zapowiedział, że wszystko odbędzie się zgodnie z planem. A na dodatek okazało się, że spiskuje ze strasznym „Kaczorem". Dlatego w składzie gangu go nie ma – to nawet lepiej, bo w duńskiej serii bohaterów było tylko trzech i te role są już obsadzone.

Jak nie idzie, to nie idzie – by zacytować jednego z politycznych klasyków. Jakby tego było mało, na tapet wjechał temat imigracji, więc – by z kolei sięgnąć po tekst piosenki „Lewy czerwcowy" Kazika – trzeba było szybko robić coś konkretnego, „bo inaczej wywloką stąd każdego". A więc – rekonstrukcja! „Donald, klawo jak cholera!".

REKONSTRUKCJA ZAMĘTU PUBLICZNEGO

Ktoś naiwny mógłby myśleć, że w takiej rekonstrukcji chodzi o to, żeby zastąpić tych ministrów, wobec których jest najwięcej uwag, którzy obiektywnie wykonują najgorszą robotę, którzy sobie nie radzą i którzy obniżają notowania władzy – takimi, którzy będą po prostu lepsi. Otóż nie – o to nie chodziło nigdy w żadnej rekonstrukcji rządu w Polsce, a już szczególnie nie w tej konkretnej. Gdyby tak było, ministrami nie pozostałyby Barbara Nowacka czy Paulina Hennig-Kloska, a ze składu wiceministrów zniknęłyby takie osoby jak Mikołaj Dorożała, minister do spraw walki z myśliwymi, dla niepoznaki zwany wiceministrem klimatu i środowiska.

O co zatem chodzi? To proste: o zrobienie zamętu. Właściwie można by oficjalnie powołać takie właśnie ministerstwo: Ministerstwo Zamętu Publicznego. No, ale skoro go nie ma, to musi wystarczyć Ministerstwo Sprawiedliwości na czele z Waldemarem Żurkiem, który jest zaprawionym w bojach kombatantem, jako że w 2018 r. przetrwał zamach przeprowadzony podstępnie na korytarzu sądu za pomocą maszyny sprzątającej. Maszyna wjechała w niego, gdy wychodził z toalety. Pięć lat sądowi pracy zajęło ustalenie, czy zdarzenie to było wypadkiem przy pracy. Być może – taką mam sugestię – celowe byłoby zatrudnienie w Ministerstwie Sprawiedliwości pod nowym kierownictwem dr. Kontka wespół z Tomaszem Piątkiem, specjalistą od wykrywania rosyjskich powiązań. Mam bowiem wrażenie, że się to wszystko bardzo pięknie układa: maszyna sprzątająca,

eprasa.pl 025d2d1ac6

lądowanie na Księżycu, którego nie było, oraz wielopoziomowe wykresy, w których specjalizuje się Piątek, a na końcu których zawsze jest Putin. Myślę też zresztą, że za zamachem na Żurka stał właśnie Władimir Władimirowicz; może nawet osobiście tę maszynę prowadził. Poza tym proszę pomyśleć, jak pięknie można by to sprzedać marketingowo: nowa ekipa w MS – Żurek, Piątek i Kontek!

Mamy też w zrekonstruowanym rządzie spektakularny powrót: Marcin Kierwiński zatoczył koło chyba nigdy dotąd w polskiej polityce niewidziane. Od ministra spraw wewnętrznych, przez Parlament Europejski, pełnomocnika rządu do spraw likwidacji skutków powodzi, do ministra spraw wewnętrznych. I to wszystko w ciągu niewiele ponad półtora roku! Premier z charakterystyczną dla siebie marsową miną, uzupełnianą odpowiednią gestykulacją, zapowiedział, ogłaszając rekonstrukcję, że odświeżony rząd będzie nadal twardo bronił demokracji i tu zapewne duet Żurek-Kierwiński sprawdzi się idealnie.

Ktoś mógłby się zasmucić, odnotowując, że stanowiska straciły dwie minister: bardziej znana Katarzyna Kotula, ta od równouprawnienia, oraz Adriana Porowska, ta, której nikt nie kojarzył dopóty, dopóki niespodziewanie nie objawiła się jako minister od społeczeństwa obywatelskiego, wyrażająca ogromne zaniepokojenie aktywnością obywatelską Ruchu Obrony Granicy. Spieszę uspokoić: paniom nie stała się żadna krzywda. Straciły co prawda samodzielne stanowiska, ale natychmiast zostały przygarnięte przez samego Egona-Donalda. Na stronach kancelarii premiera pojawiły się już w charakterze sekretarzy – czy może raczej, zgodnie ze stosowanym obecnie nazewnictwem – sekretarek stanu. W ten oto sposób ekipa KPRM liczy sobie dziewięcioro sekretarzy oraz sekretarek stanu. W ramach redukcji administracji oczywiście.

W tym gronie najciekawszą funkcję pełni do niedawna szef Komitetu Stałego Rady Ministrów Maciej Berek. Został on ministrem nadzoru nad wdrażaniem polityki rządu. Chciałbym państwu wyjaśnić, jaki jest zakres obowiązków Berka w nowej roli, ale niestety na stronach KPRM nie opublikowano dotychczas rozporządzenia w tej sprawie. Być może jest to element pilotażu trzydniowego tygodnia pracy, który na razie obejmie tylko jedną osobę: samego premiera Tuska. Dzięki ministrowi Berkowi Tusk będzie mógł przylatywać z Sopotu we wtorek i odlatywać już w czwartek wieczorem.

Czego w tej sytuacji można się po gangu Egona-Donalda spodziewać? Zacznijmy od tego, czego nie można się spodziewać. Otóż na pewno nie można się spodziewać podwyższenia kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł, co miało nastąpić w ciągu pierwszych 100 dni rządów

Przy okazji rekonstrukcji miały też miejsce małe ludzkie dramaty. Taki rozegrał się np. w sprawie Aleksandry Leo, niedoszłej nowej minister kultury, która miała zastąpić Hannę Wróblewską. Leo – należąca do Polski 2050 – szykowała się na serio do objęcia stanowiska, lecz, jak się dowiedziałem, jej kandydatura została wycofana dosłownie kilkadziesiąt minut przed ogłoszeniem zmian. Zamiast niej na fotel wskoczyła bardzo ambitna dotychczasowa wiceminister, Marta Cienkowska. Także od Hołowni. Teorie na temat tej sytuacji są różne. Według jednej z nich Cienkowska miała wydajnie pracować nad zniechęceniem swojej koleżanki do objęcia stanowiska, które koniecznie chciała zająć sama. Według innej – marszałek Hołownia uznał, że Leo jest zbyt bliska Koalicji Obywatelskiej i kontrola jego ugrupowania nad resortem będzie iluzoryczna. Jedno nie wyklucza zresztą drugiego: jak wiadomo, w polityce życzliwi kolega lub koleżanka potrafią często działać na wielu frontach, żeby przedstawić konkurenta do stołka z tego samego ugrupowania jako mniej odpowiedniego niż oni sami. Wszystko, rzecz jasna, z troski o Polskę.

Inny dramat i smuteczek dotyczy Bodnara, który tak się starał, wciąż szukał jakiejś podstawy prawnej, ścigał staruszki grożące Owsiakowi, postawił na szali cały swój dotychczasowy autorytet i wszedł szefowi gangu tam, gdzie nie wypada nawet pisać – a i tak dostał siarczystego kopa. Ba, nie wiadomo nawet, czy przypadnie mu stanowisko z odpowiednio długim immunitetem.

CO SZYKUJE EGON

Czego w tej sytuacji można się po gangu Egona-Donalda spodziewać? Zacznijmy od tego, czego nie można się spodziewać. Otóż na pewno nie można się spodziewać podwyższenia kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł, co miało nastąpić w ciągu pierwszych 100 dni rządów nowej koalicji i co było pierwszym punktem w dziale „Podatki" na liście 100 konkretów: „Podniesiemy kwotę wolną od podatku – z 30 tys. zł do 60 tys. zł, w przypadku podatników rozliczających się według skali podatkowej, w tym także przedsiębiorców i emerytów". Niestety, Egon-Donald coś chyba źle wyliczył, bo dopiero co oznajmił, że na pewno nic z tego w 2026 r., a najpewniej także w 2027 r. Cóż, nawet geniuszowi zdarza się pomylić – coś, co miało być do zrealizowania w 100 dni, nie będzie zrealizowane w czasie ponad 1000 dni, czyli 10 razy dłuższym.

Cóż zostanie? Po pierwsze – liczyć na dokonania duetu Żurek-Kierwiński. Może jakieś rewizje policyjne w Pałacu Prezydenckim? Precedens już jest – a to się zawsze dobrze obejrzy. Może największa partia opozycyjna zechce współpracować przy realizacji cyrkowego widowiska i jakiś jej kolejny ważny członek ucieknie przed zatrzymaniem na Węgry czy do Tajlandii? Tam jest chyba taniej niż w Budapeszcie.

Po drugie – straszenie wojną i Putinem. To płyta nie do zdarcia, a licytacja na antyputinizm weszła już do kanonu rytualnych zagrywek. Znalazło się to przecież nawet w „Deklaracji Polskiej" Kaczyńskiego.

Po trzecie – opowiadanie, jakie to wielkie korzyści udało się rządowi załatwić dla Polski w nowej długoterminowej perspektywie budżetowej UE. Nic to, że projekt budżetu na lata 2028–2035 musi jeszcze przejść całą procedurę uzgadniania z Radą UE i Parlamentem. Przecież i tak prawie nikt nie wie, jak to się odbywa, więc co szkodzi rzucić trochę propagandy.

Nad tymi wszystkimi planami wisi jednak memento z serii filmów o gangu Olsena. Każdy odcinek kończył się bowiem spektakularną wpadką, wskutek której Egon trafiał za kratki. Jeśli i w tej sprawie rzeczywistość miałaby przypominać duńską komedię, to szef gangu nie mógłby spać spokojnie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 025d2d1ac6

Projekt Hołownia: schyłek czy reaktywacja?

Rafał A. Ziemkiewicz

W co gra Szymon Hołownia? A może to nie on gra, tylko nim grają? W takim razie kto i co chce osiągnąć? Po ujawnieniu informacji o prywatnych spotkaniach marszałka Sejmu z Kaczyńskim, w obecności Bielana i Kamińskiego, a zwłaszcza po jego oświadczeniu, że był namawiany do udziału w zamachu stanu, mającym uniemożliwić objęcie urzędu wybranemu przez Polaków prezydentowi i zastąpić go kimś uległym wobec Tuska, to pytanie jest kluczowe

Wszelkie dociekania na ten temat zacząć trzeba od stwierdzenia, że Szymon Hołownia zaskoczył wszystkich, ale najbardziej chyba Donalda Tuska. Do niedawna nie wykazywał nie tylko jakichkolwiek talentów, ale nawet ambicji politycznych. Wygrawszy de facto wybory – bo tylko dzięki głosom zdobytym przez współtworzony przez niego, jak się okazało, efemeryczny byt nazwany Trzecią Drogą, możliwa stała się zmiana władzy po ośmiu latach dominacji PiS – zupełnie zignorował to, że te wybory dały mu kluczową w politycznej arytmetyce pozycję, i bezwolnie wykonywał polecenia Donalda Tuska, pozwalając mu się obciążyć współodpowiedzialnością za ekscesy „prawa, jak my je rozumiemy", i niczego w zamian, poza parytetem stołków dla swej partii, nie zyskując. Cały czas wydawało się, że z polityki interesuje Hołownię tylko upajanie się własną celebrycką sławą prowadzącego „sejmflix" i to, że uwierzył, iż przełoży się ona na przyszły sukces w wyborach prezydenckich.

ŁĄCZENIE KROPEK

Nocną naradę z Jarosławem Kaczyńskim w mieszkaniu Adama Bielana można było jeszcze wyjaśnić jako wpadkę, przejaw szoku po zawiedzeniu prezydenckich nadziei, politycznej naiwności albo uznać za rozpaczliwą próbę zasłużenia na amnestię po zmianie władzy, którą zapowiada wynik wyborów. Jednak zagrywka z ogłoszeniem o przygotowywanym przez rząd zamachu stanu, wyczekaniu, aż sensacja obleci wszystkie możliwe media i napompuje zasięgi, by potem wycofać się zręczną formułką: „Miałem na myśli zamach stanu w sensie politycznym, a nie prawnym", nie pozostawia wątpliwości, że Hołownia do czegoś dąży. Tym bardziej że jednocześnie pojawiły się w sferze publicznej równoległe do niej podszczypywania koalicjanta ze strony innych członków Polski 2050, by wspomnieć tylko „łączenie kropek" przez posła Sławomira Ćwika.

W debacie publicznej, zdominowanej przez emocje generowane sporem PO z PiS, wybrzmiały dwa wyjaśnienia. Pierwsze – „PO-wskie" – to oskarżenie Hołowni o zdradę, przejście na stronę wroga, oczywiście z niskich pobudek, czyli o „sprzedanie się Kaczyńskiemu". Głębia tych „analiz" wyczerpuje się na dywagowaniu, czym go Kaczyński do tej zdrady skusił, i prorokowaniu, że Hołownia źle na tym wyjdzie.

Drugie, PiS-owskie, jest w zasadzie wariacją pierwszego – też zakłada, że Hołownia zmierza do zmiany sojuszy, ale dlatego, że „przejrzał na oczy", że kiedy Tusk próbował użyć go do uniemożliwienia objęcia urzędu legalnie wybranemu prezydentowi, przestraszył się odpowiedzialności, względnie zrozumiał, że Tusk jest nieodpowiedzialnym i amoralnym psychopatą, który zniszczy nie tylko Polskę i własnych koalicjantów… I tym podobne.

Nie spotkałem się natomiast z rozważeniem hipotezy, że Hołownia postanowił wybić się na polityczną niezależność od Tuska i w ten sposób odbudować poparcie dla swojej partii, do poziomu umożliwiającego mu wejście do następnego Sejmu i odgrywania w nim nadal samodzielnej roli. Być może dzięki zmianie sojuszy, ale dopiero wtedy i na korzystnych dla siebie warunkach.

Czy to możliwe? Teoretycznie tak. Załóżmy, że Szymon Hołownia,

eprasa.pl 025d2d1ac6

w którym wszyscy przywykli widzieć politycznego klauna, jednak umie myśleć logicznie i „łączyć kropki". Co się stało z wyborcami, którzy poparli go półtora roku temu? Wszystko wskazuje na to, że stracił ich głównie na rzecz Konfederacji. Dlaczego? Dlatego że Trzecia Droga zawiodła oczekiwania rozbudzone jej nazwą. Hołownia być może uświadomił sobie poniewczasie, że to, iż w 2023 r. te 3 mln wyborców ponad zapowiadającą się jeszcze na dwa miesiące przed wyborami frekwencję 60 proc. przyciągnęli do urn właśnie on z Kosiniakiem-Kamyszem, a nie Tusk, było oczywistym znakiem, że ludzie ci chcieli odsunąć PiS od władzy na rzecz czegoś nowego – a nie prostego „żeby znowu było, jak było przed 2015 r.". Ponieważ koalicja 13 grudnia, a w jej ramach i on, nie umiała zaoferować niczego innego niż właśnie powrót do przeszłości i „rozliczenia" (pomińmy już, że z konieczności pozorne, bo niczego do rozliczania znaleźć się, wbrew szumnym zapowiedziom, nie udało), Hołownia, sprowadzony do roli junior partnera Tuska, stracił rację bytu na scenie politycznej. Ci, którzy liczyli na nową jakość, przenieśli swe nadzieje na partię Mentzena i Bosaka, ci, którzy dali się przekonać Tuskowi – bezpośrednio na niego.

ZNIESMACZENI OSZOŁOMSTWEM

Bezceremonialne potraktowanie Hołowni w planach uniemożliwienia Karolowi Nawrockiemu objęcia urzędu mogło być istotnie dzwonkiem alarmowym, który uświadomił Hołowni, że jest na drodze do politycznego niebytu, i obudził w nim wolę przetrwania. Jednak sam fakt, że takie plany w otoczeniu Tuska snuto i być może – wydaje się to prawdopodobne, ale na pewno nie wiemy – snuł je także sam Tusk, mógł dać Hołowni nadzieję na uniknięcie „lubnaueryzacji" w Koalicji Obywatelskiej.

Wybory prezydenckie potwierdziły bowiem bardzo wyraźnie, że oligopol PO-PiS słabnie. Czasy, gdy obie formacje zdobywały ponad 70 proc. oddawanych w wyborach głosów, nie pozostawiając miejsca na nic trzeciego, niepodporządkowanego jednej bądź drugiej, mamy już za sobą. Tymczasem obaj liderzy, Tusk i Kaczyński, jakby tego nie zauważali – wciąż grają w nieustające zaostrzanie polaryzacji. Tusk powtarza – w przemówieniu oznajmiającym rekonstrukcję rządu i na wiecu w Pabianicach – że walka między nim a PiS to walka dobra ze złem, że w tej walce nie ma co próbować kogokolwiek przekonywać, tylko trzeba być silnym, zdeterminowanym i zdyscyplinowanym, że „oni" na ten moment wygrywają nie dlatego, że mają lepsze pomysły, lepszych kandydatów czy cokolwiek lepszego, a wyłącznie dlatego, że są zdyscyplinowani, iż jak Kaczyński coś rozkaże, wszyscy „po tamtej stronie" wykonują to bez mrugnięcia okiem, a on, Tusk, ma do czynienia z rozdyskutowanym towarzystwem, które jego działania krytykuje, roztrząsa i czepia się szczegółów (warto, naprawdę, przeczytać uważnie wspomniane przemówienie z Pabianic).

Kaczyński z kolei, grzmiąc o zamachu stanu i konieczności odsunięcia Tuska jak najszybciej, choćby za cenę „rządu technicznego", czyli amnestyjnej koalicji z jego obecnymi koalicjantami, wyraźnie usiłuje postawić pod ścianą Konfederację moralnym szantażem „Deklaracji Polskiej", z jej pierwszym punktem: przysięgnijcie na kolanach, że nigdy nic z Tuskiem i „jego siłami politycznymi", cokolwiek mieścić się ma w tym ostatnim określeniu. Analogicznie do Tuska usiłuje obrzydzić wyborcom „demokratycznym" Hołownię jako zdrajcę, który naszeptuje się z Kaczyńskim, Kaczyński próbuje zdyskredytować Konfederację jako cichych sojuszników Tuska.

W obu wypadkach, sądząc po sondażach, działa to słabo – czasy wyraźnie się zmieniły. Być może obaj starzy liderzy zdają sobie z tego sprawę i chodzi im tylko o immunizowanie „żelaznych elektoratów", żeby nie przyszło im do głowy przerzucić poparcia. Jeśli tak, to takie działanie Tuska samo w sobie jest dla Hołowni światełkiem w tunelu, w który wtrącił go słaby wynik w wyborach prezydenckich.

Bez względu na to, czy Tusk naprawdę uwierzył, że wynik wyborów jest do

eprasa.pl 025d2d1ac6

Na razie próby Hołowni wybicia się na niezależność od Tuska oznaczają, że koalicja nie dotrwa do konstytucyjnego końca kadencji

FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

Skoro Tusk zaczyna przypominać Kaczyńskiego, to Hołownia może spróbować być Tuskiem z lat jego sukcesów, tym politykiem od „ciepłej wody w kranie"

podważenia, czy tylko chciał zbudować swój odpowiednik PiS-owskiego „mitu smoleńskiego", faktem niewątpliwym jest, że po przegranej Trzaskowskiego mocno przesunął się w stronę elektoratu skrajnego, sekciarskiego, sfrustrowanego, że „oni wszyscy jeszcze nie siedzą". Gwałtowny wzrost wpływów Romana Giertycha, po 1 czerwca właściwie wyznaczającego linię narracyjną PO, otwarcie na „autorytety" w rodzaju osławionego doktora Kontka, skupienie na „rozliczeniach" i złożenie antypisowskim radykałom w ofierze Adama Bodnara oraz postawienie na jego miejscu Waldemara Żurka oznaczają osierocenie tej części wyborców PO, która widziała w niej partię „normalną", oczekując po niej fachowości, zdrowego rozsądku i dobrych stosunków ze światem.

Tusk może uznał, że nie ma innego wyjścia, a może, że ci umiarkowani podąsają się chwilę, ale nie porzucą go, bo nie mają dla kogo – w obu wypadkach może się mylić. Właśnie dlatego, że tu zobaczył swoją szansę Hołownia. Skoro Tusk zaczyna przypominać Kaczyńskiego (nie tego realnego, ale tego od lat wyszydzanego w lewicowo-liberalnych mediach), to Hołownia może spróbować być Tuskiem z lat jego sukcesów, sprzed 2015 r. – tym politykiem od „ciepłej wody w kranie" i od „nie róbmy polityki, budujmy autostrady" (czy, dzisiaj, CPK). To szansa i na przejęcie części wyborców KO, zniesmaczonych oszołomstwem Giertycha oraz Kontka, i odzyskanie tych, którzy odeszli do Konfederacji.

MOŻNI PROTEKTORZY

Wielu komentatorów i polityków uważających się (może słusznie, może nie) za dobrze poinformowanych twierdzi, że z Hołownią od dawna wiążą nadzieje amerykańscy liberałowie z Partii Demokratycznej, którzy za Trumpa nie są może już tak wpływowi jak wcześniej, ale wciąż mogą swoim faworytom pomóc.

Widać też, że i europejscy protektorzy Tuska są nim coraz bardziej rozczarowani – oni również mogą uznać poparcie Hołowni za interesującą opcję. Jeśli otrzyma on mocne wsparcie mediów rządzących mózgami anty-PiS, jeśli „przestawią one wajchę" i zaczną przekonywać, że Tusk jest już skończony, oszalał, wypalił się, a Hołownia „bardzo się w ostatnim czasie wyrobił", to pozostanie on w grze, choćby jako koalicjant Kaczyńskiego – lepiej w końcu mieć kawałek tortu niż nic.

Nie sądzę, aby taka wizja była z góry odrzucana przez Kaczyńskiego – aktywność wokół „rządu technicznego" czy wyraźny zwrot przeciwko Konfederacji każą podejrzewać, że chodzi mu po głowie jakaś „nowa Magdalenka", oczywiście po odsunięciu i przykładnym ukaraniu Tuska. W końcu to bliski współpracownik prezesa PiS i jego brata mówił kiedyś, że Porozumienie Centrum założyli oni po to, aby uniemożliwić w Polsce wzrost „nacjonalistycznej prawicy". Taka narracja może, teoretycznie, wrócić, i gdyby to się stało, zostałaby ze zrozumieniem przyjęta w Unii Europejskiej – choć raczej nie w polskim prawicowym elektoracie.

Na razie próby Hołowni wybicia się na niezależność od Tuska oznaczają, że koalicja nie dotrwa do konstytucyjnego końca kadencji. Momentem nie do przejścia będzie dla niej uchwalenie budżetu na rok 2026. Dotychczasowa polityka Tuska była prosta – do wyborów wywalamy kasę na potęgę, a potem, kiedy już domkniemy system, każemy ludziom zacisnąć pasa i nic nam już wtedy nie zrobią. Zwycięstwo Nawrockiego wszystko zmienia – koalicjanci mogą albo lojalnie wziąć na siebie współodpowiedzialność za gwałtowany spadek poziomu życia Polaków, albo zrzucić całą winę na i tak już mocno poobijanego premiera i zacząć zachowywać się, jak w czasie schyłkowych rządów AWS robiło to tzw. oczko, grupa 21 posłów, liczących na to, że głosowanie wraz z opozycją za obdarowywaniem różnych grup wyborców pozwoli im przetrwać katastrofę rządzącej formacji. Zważywszy, jaka jest opinia koalicjantów o lojalności Tuska wobec nich w czasach, gdy „domknięcie" wydawało się niezagrożone, jest to bardzo prawdopodobne.

Jeśli Sejm nie zdoła uchwalić budżetu, to prezydent Nawrocki go rozwiąże. Jeśli uchwali, to będzie to budżet tak restrykcyjny, że po roku wszyscy odpowiedzialni za jego uchwalenie podzielą los wspomnianego AWS czy SLD. Względnie będzie to budżet, który doprowadzi do greckiej katastrofy – z podobnym politycznym skutkiem. Zakładając pierwszy, najbardziej prawdopodobny wariant, możliwe, że PO „zrekonstruuje" do tego czasu Tuska, ale skoro jedynym możliwym następcą wydaje się Sikorski, to niekoniecznie powstrzyma to oczekiwany przez Hołownię przepływ wyborców do jego partii. Sytuacja może się więc rozwinąć bardzo różnie, coś z tego wszystkiego ostatecznie wyniknie, ale możemy już przynajmniej mniej więcej opisać pole nowej gry i jej zasady. A w ramach tego także ocenić wstępnie, jakie ma zamiary i jakie szanse „reaktywacji" swego politycznego projektu Szymon Hołownia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 025d2d1ac6

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

A więc wojna

Jan Fiedorczuk

Od niemal dekady jest na wojnie z PiS. Przez lata walk z „reżimem Kaczyńskiego" dorobił się nie tylko uznania najradykalniejszego elektoratu PO, lecz także nimbu represjonowanego buntownika. Oficjalnie Waldemar Żurek został powołany na stanowisko ministra sprawiedliwości, jednak w praktyce jego jedynym zadaniem ma być „depisyzacja" państwa. Do czego jest zdolny nowy minister?

Jest sierpień 2018 r. Jedną z nieformalnych twarzy anty-PiS w ostatnim czasie stał się były rzecznik KRS, sędzia Waldemar Żurek. Jego polityczne sympatie są dla wszystkich oczywiste, jednak gdy w rozmowie z Onetem pada pytanie, czy rozważa wejście do polityki „na poważnie", Żurek unika jednoznacznej odpowiedzi.

– W polityce pewnie bym sobie poradził, ale pójdę do niej tylko wtedy, gdy nie będę mógł inaczej walczyć o kraj, który kocham – zapewnia. W rozmowie z portalem naTemat przekonuje z kolei, że polityka jest „ostatnią rzeczą", jaką chce się zajmować. – W polityce trzeba być bardzo elastycznym, a sędziowskie kręgosłupy są dosyć twarde. Jednak to prawda, że wiele osób podpowiada mi wejście do polityki. Twierdzą, że mam potencjał – mówi.

Przeskoczmy siedem lat do przodu. Jest 23 lipca 2025 r. Po wielu tygodniach spekulacji premier Donald Tusk prezentuje na konferencji prasowej zrekonstruowany skład rządu, ale oczy wszystkich są zwrócone wyłącznie na resort sprawiedliwości, gdzie po półtora roku z funkcją musiał pożegnać się Adam Bodnar. Zastępuje go Waldemar Żurek – jedna z twarzy sędziowskiego oporu z lat 2015–2023. Donald Tusk nie kryje, co się wiąże z tą zmianą, wprost sygnalizując, że zadaniem nowego ministra będzie rozliczenie polityków PiS. – Ci, którzy czynili złe rzeczy, i do tej pory nie spotkała ich odpowiedzialność, niech wiedzą, że naprawdę nie będzie ani świętych krów, ani jakichś nieformalnych immunitetów, ani bezprawnych działań – zapowiada szef rządu.

W ciągu zaledwie pierwszego tygodnia swego urzędowania nowy minister zdecydował o odwołaniu 46 prezesów oraz wiceprezesów sądów w całej Polsce i odwołaniu dziewięciu osób z delegacji w samym resorcie sprawiedliwości. Wystąpił również do szefa MSWiA, by ten rozważył odwołanie 44 sędziów, którzy pełnią funkcję komisarzy wyborczych. Jak z kolei informował portal DoRzeczy.pl, nowy minister intensywnie zabiega o jak najszybszą likwidację Akademii Wymiaru Sprawiedliwości. – Ma to być pierwszy sukces Żurka w ramach rozliczeń – wskazywał informator naszego portalu.

POLITYKA: STRACH I FASCYNACJA

Wbrew własnym słowom Waldemar Żurek już od młodych lat był związany z polityką. Jeszcze jako uczeń działał bowiem w Konfederacji Polski Niepodległej, a opór wobec komunistycznej władzy do

eprasa.pl 025d2d1ac6

dzisiaj wspomina jako wydarzenie formacyjne. Po przemianach ustrojowych decyduje się jednak studiować prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim, by potem – jak sam mówił – już jako sędzia „budować państwo". – Nie chciałem się bawić w politykę, bo się jej trochę bałem, w tym sensie, że ona kusi, polityka rzeczywiście jest kusząca – mówił.

Od tamtego czasu młody prawnik zaczyna się piąć po szczeblach kariery, wiążąc się z Sądem Okręgowym w Krakowie i specjalizując w sprawach cywilnych. Przez 14 lat sprawuje funkcję rzecznika prasowego sądu. W latach 2010–2018, przez dwie kolejne kadencje, Żurek zasiada w Krajowej Radzie Sądownictwa, pełniąc też funkcję jej rzecznika, oraz działa w słynnych stowarzyszeniach sędziowskich: Themis oraz Iustitia. Z czasem staje się niezwykle popularny w prawniczym establishmencie, czego dowodzi głosowanie z 2014 r., gdy został wybrany do KRS na drugą kadencję, uzyskując rekordową liczbę głosów.

Jego rozpoznawalność medialna oraz polityczne znaczenie zaczynają rosnąć po dojściu PiS do władzy. W 2016 r. Żurek otwarcie krytykuje zmiany wprowadzane przez rząd, twierdząc, że „władza prowadzi otwarty sabotaż wobec sądów" (sprawa dotyczyła uszczupleniu budżetu sądów). Na poważnie Żurek zaangażował się w wielką politykę jednak dopiero rok później. Gdy w 2017 r. 50 posłów PiS złożyło wniosek o zbadanie przez Trybunał Konstytucyjny uchwały o powołaniu pierwszej prezes Sądu Najwyższego Małgorzaty Gersdorf, Żurek już otwarcie konfrontował się z nielubianą władzą.
– Wniosek jest czysto PR-owski. To jest przygotowanie artyleryjskie do tego, żeby niszczyć Sąd Najwyższy. Widzieliśmy to wszyscy przy Trybunale, widzimy przy Krajowej Radzie Sądownictwa – mówił. To ważny moment, gdyż tutaj zaczyna się proces de facto delegitymizacji większości działań PiS. To bowiem wtedy Żurek zarzuca rządowi, że „niszczy państwo prawa i trójpodział władzy". Granice między bezstronnym arbitrem a uczestnikiem walki politycznej coraz mocniej się zacierają.

W marcu 2017 r. – po tym jak media doniosły, że rzecznik KRS sądzi się w sprawie alimentów (w związku z obniżeniem stawki domagał się od córki już „nadpłaconych" 20 tys. zł) – wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki przekazał, że resort oczekuje dymisji sędziego. Jeżeli główny spór w pierwszej kadencji PiS toczył się między rządzącą koalicją a prawniczym establishmentem, to właśnie w tym momencie – w latach 2017–2018 – Żurek znalazł się na pierwszej linii frontu.

MĘCZENNIK ANTY-PIS

„Sędzia Żurek jest dziś twarzą sądów powszechnych. Najbardziej chyba znanym sędzią w Polsce dobitnie komentującym kolejne zamachy PiS na niezawisłość sędziowską, niezależność sądów i trójpodział władzy" – tymi słowami w 2017 r. tygodnik „Polityka" opisywał nową twarz oporu wobec PiS, ale podobnych laurek nie brakowało w całej lewicowo-liberalnej prasie. Rzepliński, Gersdorf, Żurek – to oni w obliczu nieudolnej opozycji mieli stanąć do walki z PiS.

Tak też się stało. W trakcie lipcowych protestów przeciwko zmianom w Sądzie Najwyższym Żurek wziął udział w manifestacji opozycji, gdzie wygłosił przemówienie, a kilka dni przed manifestacją na stronie KRS opublikował nawet specjalny apel do obywateli o udział w proteście. Sędzia przekonywał, że proponowane przez PiS zmiany w ustawach o KRS i ustroju sądów powszechnych oraz projekt ustawy o Sądzie Najwyższym oznaczają „koniec demokratycznego państwa prawa i wprowadzenie jednolitej i niekontrolowanej władzy w państwie". Takie stanowisko sytuowało Żurka nie tyle w obozie przeciwników władzy, ile w samym jądrze najbardziej radykalnego anty-PiS, wieszczącego nadejście autorytaryzmu.

W grudniu 2017 r. do mediów wyciekło krótkie nagranie z czasu słynnych protestów, na którym zarejestrowano, jak z siedziby Platformy Obywatelskiej, mieszczącej się przy ul. Wiejskiej, obok polityków opozycji wychodzi śmietanka prawniczego establishmentu – w tym były prezes Trybunału Konstytucyjnego Andrzej Rzepliński oraz właśnie rzecznik KRS Waldemar Żurek. Podział na PiS oraz prawników wspierających opozycję stał się na tyle jaskrawy, że opowieści o apolityczności sędziów trudno było komukolwiek bronić. Po prostu z czasem widok sędziego Żurka, który na imprezach KOD oklaskuje Donalda Tuska, przestał dziwić.

Na początku 2018 r. nowa prezes Sądu Okręgowego w Krakowie Dagmara Pawełczyk-Woicka odwołała Żurka z funkcji rzecznika prasowego krakowskiego sądu. Antypisowski sędzia został następnie przeniesiony do innego wydziału, co potraktował jako przejaw represji. W marcu natomiast, w związku z reformą wprowadzoną przez PiS, skończyła się jego kadencja w KRS.

– Ja jestem obecnie gnojony instytucjonalnie – deklarował w rozmowie z Onetem. Sędzia wymieniał, że jest poddawany kontrolom z ministerstwa, dostaje anonimowe SMS-y i telefony z pogróżkami, którymi prokuratura się nie interesuje, a służby sprawdzają finanse jego ciężarnej żony. Również w miejscu pracy przeciwko Żurkowi składano wyjątkowo liczne sprawy dyscyplinarne – łącznie zebrało się ich przez lata aż 23. Część ze stawianych mu zarzutów dotyczyła rzekomego fałszowania orzeczeń (po zmianie władzy wiele spraw zostało umorzonych). W środowiskach lewicowo-liberalnych Żurek zyskał renomę nie tylko nieustępliwego krytyka PiS, lecz także cierpiętnika „autorytarnego reżimu". W kwietniu 2025 r. sędzia pozwał Skarb Państwa o naruszenie dóbr osobistych i represje w latach 2015–2023 (domaga się miliona złotych rekompensaty). W przeszłości procesował się również z krakowskim sądem okręgowym o własne zęby, które uszkodził wskutek „żucia i zgrzytania" spowodowanego stresem w pracy. Jak utrzymywał, stres miał być wywołany mobbingiem przełożonej i atakami politycznymi.

EUROPEJSKA DEMOKRACJA

Kolejnym polem, na którym sędzia Żurek próbował walczyć z PiS-owską władzą, była Unia Europejska. W 2018 r. wraz z grupą ponad 20 sędziów pojechał do Parlamentu Europejskiego z donosem w sprawie zmian w systemie sprawiedliwości. Spotkał się wówczas m.in. z wiceprzewodniczącym Komisji Europejskiej Fransem Timmermansem, komisarz UE do spraw sprawiedliwości Věrą Jourovą, sędziami Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości w Luksemburgu oraz sędziami z innych państw członkowskich.

Z kolei w 2019 r. doszło do spotkania w Brukseli, które organizowała Fundacja Otwarty Dialog (w wydarzeniu brali udział m.in. Ludmiła Kozłowska

eprasa.pl 025d2d1ac6

i Bartosz Kramek). Żurek domagał się wówczas od Komisji Europejskiej większego zaangażowania w polską politykę. – Naszym zdaniem o wiele skuteczniejsze są wyroki TSUE, pod warunkiem że Unia będzie monitorować wcielanie w życie wykonywanie tych wyroków […]. Od państwa zależy, czy prawo unijne będzie respektowane w Polsce czy będzie fikcją – apelował.

Indywidualną skargą Żurka zajął się również Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu, który orzekł, że polskie władze nie uzasadniły braku drogi odwoławczej od decyzji o przedterminowym wygaszeniu mandatu sędziego w KRS oraz naruszone zostały prawa sędziego do dostępu do sądu, a także wolność wypowiedzi. ETPC zasądził na jego rzecz łącznie 25 tys. euro tytułem zadośćuczynienia. Było to duże zwycięstwo Żurka nad obozem władzy, które dowiodło, że sędziemu nie brak determinacji i że nawet nie posiadając żadnych formalnych narzędzi, potrafi walczyć z PiS.

PLAN ŻURKA NA „DEPISYZACJĘ"

Z czasem Żurek zaczął być postrzegany nie tylko jako krytyk, lecz także główny propagator „depisyzacji" państwa. – Ci, którzy świadomie biorą udział w łamaniu prawa, nie powinni dłużej być sędziami – mówił w rozmowie z Onetem. Dopytywany o los polityków Żurek odpowiadał wprost: „Mowy nie ma o żadnej »grubej kresce«. Odpowiedzialność, i to odpowiedzialność karną, przed Trybunałem Stanu, za łamanie konstytucji, powinni ponieść także ci na najwyższych stanowiskach".

Sędzia wielokrotnie deklarował brak jakichkolwiek sentymentów i twardą rozprawę z PiS-owcami. – Jeśli politycy [PO – przyp. J.F.] nie będą takich wniosków składać, to ja będę tym, który zrobi wszystko, by ci „łamacze" konstytucji stanęli przed niezawisłym trybunałem. Jeśli nie będę mógł tego robić jako sędzia, zrobię to jako zwykły obywatel – zapewniał.

Trzeba przyznać, że sędzia nie rzucał słów na wiatr i w 2020 r. faktycznie wniósł do Sądu Najwyższego pozew przeciwko Kamilowi Zaradkiewiczowi, który wówczas decyzją prezydenta pełnił obowiązki I prezesa SN. Żurek chciał, by Izba Pracy uznała, że Zaradkiewicz nie jest sędzią Sądu Najwyższego, gdyż został powołany w nieprawidłowy sposób. Jego zdaniem rekomendacja KRS była wadliwa, ponieważ sama Rada została powołana w sposób niezgodny z konstytucją. Właściwie wszystkie zmiany w sądownictwie zdaniem Żurka były bezprawne, a instytucje, które przeszły z rąk liberałów w ręce PiS, zasłużyły na miano atrapy. Jak np. przekonywał w rozmowie z Deutsche Welle, cały Trybunał Konstytucyjny stał się „wydmuszką". – Nawet jeśli coś orzeknie, poważni prawnicy w Polsce nie uznają tego orzeczenia – zapewniał. Z wizji Żurka jasno wynika, że lata 2015–2023 to jedna wielka polityczno-prawna otchłań, w której rozpanoszyli się „sędziowie niepoważni" uznający wyroki TK, orzeczenia SN i decyzje KRS.

Jaki jest zatem plan na „przywrócenie praworządności"? Realia są takie, że przy Karolu Nawrockim w Belwederze Żurek nie będzie w stanie reformować wymiaru sprawiedliwości, gdyż nowy prezydent mu po prostu nie podpisze kluczowych ustaw. Jedyne, co mu pozostało, to „depisyzacja" państwa. A więc wojna. Jeszcze długo przed powołaniem na urząd ministra Żurek deklarował, że tzw. neosędziów nie chroni immunitet, w związku z czym można im bez żadnych problemów stawiać zarzuty. Kolejnym polem, na którym toczyć się będzie batalia, jest oczywiście KRS – zdaniem Żurka grzech pierworodny całego bałaganu w wymiarze sprawiedliwości. Obecnie na czele Rady stoi Dagmara Pawełczyk-Woicka, dawna przełożona ministra, która przed laty go zdegradowała w krakowskim sądzie. Odwet jest tutaj jedynie kwestią czasu. Na celowniku znajdą się również Sąd Najwyższy oraz Małgorzata Manowska, która zdaniem ministra bezprawnie okupuje stanowisko I prezesa SN. Jak przekonywał w rozmowie z portalem Prawo.pl, Manowska nie mogła zostać prezesem i nie podlega ochronie, dokładnie tak „jak nie można zasiedzieć kradzionego roweru".

A co z pozostałymi podmiotami, których nie sposób w ten sposób spacyfikować? Również tutaj nowy minister ma pomysł – wystarczy zabrać fundusze i zagłodzić niepokorne instytucje. To jednak nie wszystko, w rozmowie z Tomaszem Lisem Żurek sugerował bowiem, że „neosędziowie" powinni osobiście ponosić koszty spraw, które Polska przegrała przed TSUE. – Wydałeś takie rozstrzygnięcie, Polska zapłaciła 30 tys. euro, musisz oddać te pieniądze, bo to jest z twojej wyłącznej winy – przekonywał.

O determinacji nowego ministra dobitnie świadczy to, że wchodząc do polityki, musiał zrzec się funkcji sędziego, co oznaczało de facto rezygnację z zawodu (zgodę na jego powrót musieliby wyrazić „neo-KRS" i prezydent Nawrocki) oraz immunitetu. Kariera polityczna to dla niego bilet w jedną stronę.

HARDCORE'OWY MINISTER

– To jest harcore'owy kandydat. Człowiek, który moim zdaniem nie będzie brał jeńców" – tak nominację Waldemara Żurka ocenia Piotr Zgorzelski, wicemarszałek Sejmu. „To wielka nadzieja na prawdziwe rozliczenia" – dodaje z kolei Roman Giertych. „Waldemar Żurek jako minister sprawiedliwości i prokurator generalny to strzał w dziesiątkę" – podkreśla prokurator Ewa Wrzosek. Faktycznie, nowy minister wydaje się być zradykalizowaną wersją Adama Bodnara, o której marzyli ludzie zgrupowani w organizacjach typu Obywatele RP czy Silni Razem.

– Problem neosędziów to jest problem tykającej bomby w państwie. Po każdym reżimie musi być rozliczenie, żeby to pokolenie zapamiętało, że nie jest bezkarne niszczenie państwa – deklarował Żurek kilka miesięcy temu w rozmowie z TVP Info i trudno nie słyszeć w tego typu wypowiedziach manifestu politycznego, a nie analizy prawnej.

Decyzja Donalda Tuska, by postawić właśnie na „hardcore'owego kandydata" (wspomaganego Marcinem Kierwińskim w roli nowego szefa MSWiA) jest oczywistym sygnałem – po porażce w wyborach prezydenckich nie będzie cofania się nawet o krok. Kolejne wypowiedzi ekssędziego to miód na uszy radykalnego elektoratu antypisowskiego, który od miesięcy domagał się ostrych rozliczeń czy też po prostu – zemsty. Dobrym wyznacznikiem tych nastrojów i nadziei jest felieton Bartosza Kramka z „Gazety Wyborczej", w którym autor deklaruje: „Albo dorżniemy watahę, albo stracimy demokrację, jaką znamy". Lepszego ministra do „dorzynania watahy" premier Tusk nie mógł znaleźć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 025d2d1ac6

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

RZYSZTOF WYRZYKOWSKI

POLACY I WĘGRZY NA WOJNIE Z BOLSZEWIĄ

Fundament wiktorii 1920 r. – Jak biedna, dopiero co odrodzona Polska wyposażyła milionową armię i jaką rolę odegrała w tym pomoc z Węgier

Czerwony sztandar nad Budapesztem – Przez kilka krwawych miesięcy 1919 r. Węgrzy na własnej skórze przekonali się, jak wyglądają bolszewickie „porządki"

Czarna noc papiestwa – Wydawać by się mogło, że pod względem etycznym i moralnym Stolica Piotrowa najniżej upadła w epoce renesansu. Nic bardziej mylnego – w wiekach IX i X papieże bywali zepsuci w sposób wręcz karykaturalny

Ratunek przed rozbiorami – Aż do samego końca istnienia I Rzeczypospolitej dało się odwrócić upadek i uratować państwo – mówi w wywiadzie Jacek Komuda, historyk i pisarz, autor głośnej książki „Upadek"

Zaginiony świat Edo – Na przełomie wieków XVII i XVIII najludniejsze miasto ówczesnego świata wcale nie znajdowało się w obrębie cywilizacji zachodniej. Tym megalopolis było japońskie Edo, siedziba szogunów z rodu Tokugawa

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 025d2d1ac6

Pięć herkulesowych prac prezydenta Nawrockiego

Piotr Semka

Stojące przed prezydentem elektem zadania to prawdziwe herkulesowe wyzwania. Jednak jest to jednocześnie szansa na prezydenturę wybitną, prezydenturę, która będzie godnym uzupełnieniem tradycji, którą symbolizują kadencje Lecha Kaczyńskiego i Andrzeja Dudy

Prezydent elekt Karol Nawrocki jest politykiem, który obdarzony jest największym zaufaniem spośród polskich polityków – ufa mu 46,8 proc. Polaków – tak wynika z sondażu pracowni IBRiS dla Onetu z 29 lipca br. Nawrocki wyprzedził Radosława Sikorskiego i Rafała Trzaskowskiego. Uzyskał wynik lepszy o 4,9 p.p. niż w zeszłym miesiącu, kiedy liderem badań był Radosław Sikorski. Biorąc po uwagę agresywność i skalę ataków mających na celu zdyskredytowanie historyka z Gdańska, można mówić o dużym kapitale zaufania Polaków. Jak prezydent elekt po zaprzysiężeniu zamierza wykorzystać to ogromne zaufanie? Przed przyszłą głową państwa pięć niezwykle ważnych wyzwań i zadań. Spróbujmy je zdefiniować i opisać.

WYZWANIE NR 1: Skupić wokół siebie najlepszych

To sugestia pozornie banalna, ale trzeba ją mocno podkreślać. Prezydent musi mieć wokół siebie jak najlepszych doradców. Musi pracować z najlepszymi, bo Pałac Prezydencki to miejsce, w którym zapadają decyzje decydujące o losie państwa i narodu. Dlatego przy doborze członków gremiów, które mają prezydentowi pomagać, trzeba zastosować z jednej strony jak największy pluralizm opinii, a z drugiej strony umieć słuchać. Decyzje – tak czy inaczej – w końcu będzie podejmować sam prezydent.

Przez długi okres między 1995 a 2005 r. Polska żyła w warunkach swoistej „pauzy strategicznej". Spora część elit uznała, że wejście Polski do Unii Europejskiej i NATO to „koniec historii", okres budowania zamożności w warunkach stabilizacji na naszym kontynencie. Wraz z agresją Rosji na Gruzję w 2008 r. ten czas, gdy można było trwać w swoistej drzemce politycznej, dobiegł końca. I dlatego nie jest przypadkiem, że Karol Nawrocki nawiązuje do prezydentury Lecha Kaczyńskiego jako początku refleksji nad bezpieczeństwem Polski i całego regionu w warunkach recydywy imperializmu rosyjskiego. Teraz prezydentura Karola Nawrockiego musi antycypować coraz bardziej realne zagrożenie ze Wschodu. Niezależnie od tego, ile nowy prezydent przeczytał na temat polityki zagranicznej i ile doświadczenia zdobył w trakcie kampanii wyborczej, wkroczy teraz w okres, który będzie niezwykle wymagający. Musi znaleźć w sobie gotowość do uczenia się i nie ulec przekonaniu, że samo używanie autorytatywnego stylu bycia i tonu może zastąpić żmudne uczenie się reguł światowej polityki. Kampania wyborcza pokazała, że jest do tego zdolny, ale to dopiero początek głębokiej i wnikliwej nauki reguł polityki zagranicznej, geostrategii, wiedzy wojskowej i wreszcie abecadła poruszania się na dyplomatycznych salonach.

Znamy już z grubsza skład kancelarii prezydenckiej, ale nie wiemy jeszcze, kogo nowa głowa państwa uzna za swoje autorytety wśród speców od geopolityki i wojskowości. To prezydent będzie musiał już niedługo podpisywać nominacje generalskie i współpracować z niechętnym mu rządem Donalda Tuska w kwestii obsady stanowisk ambasadorskich. To zadaniem prezydenta będzie stworzenie nowej strategii obrony Polski. Prezydent musi wyważyć i wiedzieć, na ile możemy w tej kwestii liczyć na państwa Zachodu, na ile potencjał bezpieczeń-

eprasa.pl 025d2d1ac6

stwa zapewniać nam będzie Ameryka, a w jakim stopniu tworzyć powinniśmy coś w rodzaju obronnego sojuszu Międzymorza. Ten nieformalny pakt ścisłej współpracy obronnej między państwami północnej Europy, takimi jak Norwegia, Szwecja i Finlandia, dalej państwami bałtyckimi i wreszcie Ukrainą i Rumunią, musi być uzupełniony o specjalne relacje z Wielką Brytanią.

Polityka światowa to umiejętność nawiązywania osobistych relacji. I w tej kwestii wzorcem dla Karola Nawrockiego może być prezydent Lech Kaczyński. Potrafił on z wieloma głowami państw naszego regionu nawiązać bardzo osobiste znajomości, które wykazały swoją jakość, gdy z inicjatywy polskiej głowy państwa udało się zgromadzić prezydentów Europy Środkowej w Tbilisi w najgorszym momencie parcia sowieckich czołgów na stolicę Gruzji. Kaczyński nie uzyskał tej pozycji za darmo. Musiał najpierw w rozmowach ze swoimi kolegami z Kijowa, Wilna i Tallinna pokazać swoją wiedzę i przenikliwość w dziedzinie polityki zagranicznej. Dopiero wówczas mógł uzyskać ich poparcie dla swoich pomysłów politycznych.

Wiążą się z tym dwa podstawowe i trudne zadania. Pierwsze to ułożenie relacji z Donaldem Trumpem na zasadzie partnerstwa. Gospodarz Białego Domu wiele razy już komplementował Karola Nawrockiego, ale nie może to doprowadzić do sytuacji, w której prezydent USA będzie przekonany, że każda jego inicjatywa z założenia musi być akceptowana przez jego odpowiednika z Warszawy. Problem ten pojawi się choćby przy tradycyjnej manierze dyplomacji amerykańskiej, która dobre relacje ze swoimi partnerami mechanicznie łączy z oczekiwaniem jak największych zakupów amerykańskiej broni. To naturalne, że kupujemy broń od Amerykanów, ale musimy doskonale wiedzieć, co jest nam potrzebne i w jakiej ilości. Jest takie złośliwe przysłowie dyplomatów mających doświadczenie w stosunkach z Waszyngtonem: „Utrzymywanie dobrych relacji z USA jest bardzo łatwe. Wystarczy mówić to, co się Amerykanom podoba, i robić to, czego oczekuje Departament Stanu". Problem jednak w tym, że trzeba umieć tak rozmawiać z jankesami, żeby nie zakłócić z nimi relacji, a jednocześnie twardo bronić swoich interesów. Dla Karola Nawrockiego będzie to bardzo trudny egzamin. W naturalny sposób musi dbać o to, aby go Trump polubił, ale nie może stracić umiejętności przekonywania go do polskich racji. Deklarowana przyjaźń nie może grać tylko na rzecz Trumpa.

Drugi problem to wypracowanie swego własnego sposobu kontaktów z Wołodymyrem Zełenskim. Tu paradoksalnie dotychczasowe obawy strony ukraińskiej, że z Nawrockim nie będzie tak łatwo jak z Andrzejem Dudą, mogą zadziałać na korzyść polskiego prezydenta. Zarówno Nawrocki, jak i Zełenski to urodzeni fighterzy. Pytanie tylko, czy zderzenie tak silnych i ofensywnych osobowości przyniesie klincz czy jakieś przesilenie w relacjach Kijowa z Warszawą. Strona ukraińska na szczęście dostała już pewną lekcję, z której – miejmy nadzieję – wyciągnie wniosek. Rachuby Kijowa, że dojście do władzy Donalda Tuska rozwiąże problemy na linii Warszawa – Kijów, okazały się iluzją. Teraz, wraz dojściem do władzy Nawrockiego, Zełenski ma okazję do korekty swojej polityki wobec Polski.

WYZWANIE NR 2: Co z energetyką?

Tajemnicze blackouty, które przydarzyły się w ostatnim czasie w paru krajach Europy, przypomniały nam, że w momencie zagrożenia wojennego bezpieczeństwo energetyczne kraju jest równie ważne jak bezpieczeństwo militarne. Tymczasem Polska zmarnowała sporo czasu, nie dokonując rozstrzygnięcia w kwestii budowy systemu energetyki atomowej. Ostatnio Donald Tusk zasugerował, że nasz kraj mógłby się zwrócić w kierunku oparcia się na systemie małych, modułowych reaktorów modułowych, tzw. SMR-ów.

Pytanie, czy oznacza to porzucenie planów budowy wielkich reaktorów atomowych. I kto wreszcie miałby być partnerem Polski w tym dziele? Francuzi się wycofali, Koreańczycy wydają się być raczej zniechęceni, a Amerykanie przedłużają rozmowy.

Dlatego prezydent powinien powołać centrum strategii w formie rady specjalistów, która mogłaby być umiejscowiona

FOT. PIOTR NOWAK/PAP

eprasa.pl 025d2d1ac6

czy to przy kancelarii prezydenckiej, czy BBN, czy wreszcie Narodowej Radzie Rozwoju. Ale bez solidnej analizy, kto może zapewnić krajowi energię także w wypadku wojny, nasza obronność będzie niczym kolos na glinianych nogach.

WYZWANIE NR 3: Obrona praworządności

Ekipa Donalda Tuska od momentu dojścia do władzy 13 grudnia 2023 r. lekceważy lub wręcz łamie zasady praworządności. W tej sytuacji prezydent Karol Nawrocki musi wystąpić w obronie zapisów konstytucji i szacunku dla prawa. To oczywiście wytworzy stan zimnej wojny pomiędzy Pałacem Prezydenckim a Kancelarią Prezesa Rady Ministrów. Prezydent musi umieć znaleźć odpowiedni ton, aby docierać ze swymi racjami do zwykłych obywateli. Na pewno w jego zasięgu jest tworzenie „czarnych ksiąg", które rejestrowałyby posunięcia rządu budzące wątpliwości prawne. Łatwo nie będzie, bo Donald Tusk już np. na spotkaniu w Pabianicach 26 lipca głosił, że ma sposoby, aby zablokować inicjatywy referendalne Karola Nawrockiego.

Można też się spodziewać, że dwóch najbardziej wojowniczych członków rządu po rekonstrukcji – minister sprawiedliwości Waldemar Żurek i nowy szef MSW Marcin Kierwiński – będzie się starało testować i prowokować prezydenta. Celem tych akcji może być wykazanie bezsilności kancelarii prezydenckiej wobec jawnego łamania prawa. Taki charakter miało za rządów Andrzeja Dudy zatrzymanie Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika w Pałacu Prezydenckim. Karol Nawrocki musi wymyślić skuteczne sposoby reakcji na takie prowokacje. Musi też zgromadzić wokół siebie dobrych znawców prawa i pamiętać, że jego obowiązkiem jest przemawiać do Polaków ponad głowami niechętnego mu rządu.

WYZWANIE NR 4: Pamięć o tradycji socjalnej

Karol Nawrocki podpisał z NSZZ „Solidarność" umowę o spełnieniu wielu postulatów socjalnych. Są wśród nich deklaracje ochrony miejsc pracy, powstrzymania Zielonego Ładu, utrzymania wieku emerytalnego na poziomie 60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn. Nawrocki obiecał też Solidarności utrzymanie emerytur pomostowych w kształcie, w którym zostały one przywrócone w 2024 r., a także utrzymanie emerytur 13. i 14. Te obietnice Solidarność traktuje bardzo serio.

Siłą rzeczy logika polityki postawi prezydenta w sytuacji, gdy powiększająca się dziura budżetowa skłaniać będzie ekipę Donalda Tuska do cięcia przywilejów socjalnych. Pytanie, czy obecny premier będzie gotowy do lojalnej dyskusji z głową państwa na temat jakiejś korekty świadczeń i podwyższenia podatków. Najbliższym testem na relacje Nawrocki–Tusk będzie stosunek głowy państwa do przyszłego budżetu. Prezydent może skierować budżet do oceny przez Trybunał Konstytucyjny, a ten może z kolei uznać go za niezgodny z konstytucją z powodu przekroczenia konstytucyjnego limitu długu publicznego do PKB. A jeśli budżet nie zostanie uchwalony w terminie, to prezydent może zarządzić skrócenie kadencji Sejmu.

Wszystko to powinno skłaniać Donalda Tuska do mitygowania konfliktu z prezydentem. Ale logika polaryzacji zazwyczaj kusiła lidera Platformy bardziej niż żmudne dogadywanie się z głową państwa w ramach polskiego „cohabitation".

WYZWANIE NR 5: Integrator prawicy

Ostatnie dwa miesiące dostarczają licznych przykładów konfliktu między Prawem i Sprawiedliwością a Konfederacją. Druga pod względem wielkości partia opozycyjna źle przyjęła dwie kolejne inicjatywy Jarosława Kaczyńskiego – propozycję utworzenia rządu technicznego oraz tzw. Deklarację Polską. Istotnie, może dziwić przekonanie lidera PiS, że można skłonić Konfederację do daleko idących deklaracji drogą ogłaszanych publicznie projektów politycznych, które nie były wcześniej po cichu konsultowane z konfederatami. Z drugiej strony ostrość reakcji Sławomira Mentzena na propozycję PiS i nazwanie Jarosława Kaczyńskiego politycznym gangsterem to przekroczenie wszelkich norm agresji po prawej stronie. W tej sytuacji prezydent może odegrać rolę kogoś, kto będzie przypominał dwóm najważniejszym partiom prawicy o skali wyzwań i historycznych szans, które stoją przed oboma partnerami w wypadku zwarcia silnej i rzeczowej koalicji.

Powtarza się sytuacja z 2005 r., kiedy politycy PiS i PO byli pewni, że dojdzie do wspólnego rządzenia po upadku lewicy postkomunistycznej, ale właśnie ta pewność skłoniła obie partie do bolesnej wymiany ciosów w celu umocnienia swoich indywidualnych pozycji. To kopanie po kostkach wywołało w końcu świętą wojnę między Donaldem Tuskiem a braćmi Kaczyńskimi, która trwa do dziś. Prezydent może wykorzystać swoją pozycję do skłaniania polityków obu partii do dyskusji programowych i merytorycznych. W kancelarii prezydenckiej może powstać coś na kształt Centrum Dialogu Prawicy z Karolem Nawrockim w roli patrona myśli o tym, jak zmienić polską politykę po rządach koalicji 13 grudnia. I znów będzie to dla Karola Nawrockiego ogromny test umiejętności dyplomacji i umiejętnego łagodzenia sporów, które dają Platformie szansę na polityczne przetrwanie także po 2027 r. Stara dewiza „zgoda buduje, niezgoda rujnuje" może być prezydenckim mottem.

Jak widać, te pięć wyzwań to prawdziwe herkulesowe wyzwania. Ale jest to jednocześnie szansa na prezydenturę wybitną, prezydenturę, która będzie godnym uzupełnieniem tradycji, którą symbolizują kadencje Lecha Kaczyńskiego i Andrzeja Dudy. Jeśli Polacy zauważą, że nowy prezydent chce sprostać tym tradycjom, to na pewno udzielą mu swojego głębokiego poparcia. A jednocześnie nieomylnie wyczują każdy fałsz czy próbę udawania kogoś, kim się nie jest. Polacy to surowi, ale sprawiedliwi jurorzy.

Karol Nawrocki musi wystąpić w obronie zapisów konstytucji i szacunku dla prawa

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 025d2d1ac6

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/FORUM

Czyim prezydentem będzie Karol Nawrocki?

Kacper Kita

Przez najbliższe dwa i pół roku Nawrockiemu będzie względnie nietrudno zachować popularność. Ma szansę być odbierany jako przywódca opozycji wobec Tuska, a także bardziej aktualny „głos narodu" mający świeższy mandat społeczny i występujący z całą powagą urzędu. O czym musi pamiętać?

Karol Nawrocki jest największą niewiadomą na stanowisku prezydenta w dotychczasowej historii III RP. W przeciwieństwie do poprzedników nie sprawował wcześniej funkcji politycznej ani partyjnej. Jego poprzednik, Andrzej Duda, był wiceministrem, posłem, europosłem i wieloletnim działaczem PiS. Start prezesa IPN był oczywiście decyzją Jarosława Kaczyńskiego, a za jego kampanię odpowiadali politycy Prawa i Sprawiedliwości oraz ludzie z nim związani. Jednocześnie te wybory pokazały bezprecedensowy wzrost poparcia dla alternatywnych sił prawicowych. Nawrocki wygrał dzięki wyborcom Mentzena i Brauna. Jak wpłynie to na jego prezydenturę?

TRENDY ZACHODNIE NA DOBRE W POLSCE

Na początek wypada zauważyć kluczową zmianę, która dokonała się wskutek wyborów. Odkąd PiS powstał w 2001 r., partia ta zdominowała prawą stronę sceny politycznej, po wypadnięciu LPR w 2007 r., stając się bezkonkurencyjna w Sejmie. Jarosław Kaczyński nie chciał dopuścić do wyrośnięcia jakiejkolwiek konkurencji, dążąc do zdobycia monopolu na patriotyzm i odwołania do chrześcijaństwa. Było to dla niego bardzo wygodne – mógł zawsze powiedzieć niezadowolonej z rozmaitych działań PiS katolickiej i konserwatywnej opinii: „Możecie mnie krytykować, ale na koniec dnia i tak będziecie musieli mnie popierać, bo jeśli nie ja, to Tusk". Równolegle wszelkie siły konkurencyjne były atakowane jako świadomie lub nieświadomie działające na korzyść Platformy i lewicy – najczęściej „giertychowcy". Gdy w 2019 r. próg przekroczyła Konfederacja, przez wielu polityków PiS i bliskich mu komentatorów była traktowana z lekceważeniem. Ot, „chłopcy w krótkich spodenkach" i stary skandalista Korwin-Mikke – uda się ich rozegrać jak wielu posłów LPR i Kukiz'15, część kupić stanowiskami rządowymi i fruktami, resztę zepchnąć w niebyt.

W praktyce PiS w swojej drugiej kadencji rządów był w stanie pozyskać posłów z każdego innego klubu, ale z Konfederacji nie. Co więcej, Konfederacja okazała się trwałą formacją parlamentarną. Mozolnie, ze wzlotami i z upadkami, zmniejszała dystans do partii prezesa Kaczyńskiego. W punkcie wyjścia – pierwszych wyborach Konfederacji, do PE w 2019 r. – PiS miał od niej 10 razy więcej głosów. W I turze w 2020 r. Andrzej Duda miał poparcie 6,4 razy wyższe od Krzysztofa Bosaka. W wyborach do Sejmu w 2023 r. PiS był pięć razy silniejszy. W zeszłorocznych do PE – już tylko trzy razy. Teraz Nawrocki zdobył dwa razy więcej głosów niż Mentzen, a tylko 1,4 razy więcej niż Mentzen i Braun razem wzięci.

Dotarło więc do nas zjawisko, które znamy ze wszystkich większych od Polski krajów europejskich – Niemiec, Francji, Wielkiej Brytanii, Włoch, Hiszpanii. Tradycyjnej partii centroprawicy po latach dominacji spadło poparcie i wyrósł poważny konkurent. W niektórych państwach ów konkurent z czasem prześcignął dawnego monopolistę, w innych nie – nic nie jest zdeterminowane.

KTO ZYSKA DŁUGOFALOWO NA WYBORZE NAWROCKIEGO?

Politycy PiS zdają sobie z tego sprawę. Dlatego o ile Andrzej Duda był wybierany jako kandydat, który miał przede wszystkim nie zrazić centrum, o tyle teraz podstawowym kryterium – obok lojalności wobec Jarosława Kaczyńskiego i nienaruszenia wewnętrznego układu sił w partii – była zdolność pozyskania wyborców Konfederacji w drugiej turze. Nawrocki wywiązał się z postawionego mu zadania celująco, w czym oczywiście wydatnie

eprasa.pl 025d2d1ac6

pomógł ekstremizm Rafała Trzaskowskiego, otwarcie reprezentującego lewacki globalizm i wprost deklarującego wyborcom prawicy, że jest gotowy niszczyć im życie i wsadzać do więzienia za poglądy.

Skala mobilizacji w drugiej turze była naprawdę niezwykła. Mało kto zwrócił uwagę, że Nawrocki pozyskał nie tylko znacząco wyższy odsetek wyborców alternatywnej prawicy niż Duda w 2020 r. ze słynnym 51,5 proc. Bosaka. Obecne 93 proc. od Brauna i 88 proc. od Mentzena to także więcej, niż zdobył Duda w 2015 r., który przekonał do siebie przeciw Bronisławowi Komorowskiemu 85 proc. wyborców Brauna, 80 proc. Mariana Kowalskiego, 72 proc. Korwin-Mikkego i 61 proc. Jacka Wilka.

W 2020 r. trzy grupy elektoratu, które przepłynęły do Dudy w drugiej turze – wyborcy Bosaka, centrolewicy i niegłosujący – były mniej więcej równoliczne. Teraz wyborców Mentzena i Brauna było wśród zwolenników Nawrockiego aż dziewięć razy więcej od tych z centrolewicy i sześć razy więcej od niegłosujących. Tym samym upadł ważny mit demokracji liberalnej, wedle którego wybory wygrywa się w mitycznym centrum i warto być możliwie „umiarkowanym" – w praktyce często mdłym oraz milcząco akceptującym hegemonię kulturową lewicy. Teraz kluczowi byli wyborcy coraz bardziej niepoprawnej politycznie prawicy. Braun przeskakujący pieszczochów wielkich mediów Hołownię i Zandberga jasno pokazał, że jest przestrzeń dla przesuwania okna Overtona i naruszania nawet największych liberalno-lewicowych tabu.

Najciekawsze jest jednak pytanie, kto zyska na tym w dalszej perspektywie. Krótkoterminowo wygrana Nawrockiego była oczywiście przede wszystkim w interesie partii Kaczyńskiego. Jednocześnie jednak PiS, by wygrać, musiał retorycznie zaakceptować pluralizm na prawicy. Intensywne zaangażowanie Krzysztofa Bosaka przeciw Trzaskowskiemu oraz poparcie Nawrockiego przez Grzegorza Brauna w kluczowym momencie oznaczają, że nie będzie można już łatwo cofnąć wajchy i z powrotem nazywać ich odpowiednio „ukrytym giertychowcem" oraz „ruską onucą", którzy rzekomo tak naprawdę służą Tuskowi, gdy krytykują PiS. W tej kampanii Mentzen i Bosak, a nawet Braun, zaczęli być też wyraźnie częściej zapraszani do bliskich partii Kaczyńskiego mediów.

To wszystko zaś otworzyło Konfederacji i Koronie drogę do dalszego pozyskiwania rozczarowanych wyborców PiS. Ponadto Braun szybko zdecydował się wykonać ruch w przeciwnym kierunku – ekscentryczna wypowiedź o nieistnieniu komór gazowych w hitlerowskich obozach koncentracyjnych nie pomoże mu w podbieraniu głosów Kaczyńskiemu, choć prezes Korony pewnie „utwardzi" najbardziej oddanych zwolenników. Dla porównania: Bosak dwa miesiące od wyborów wykorzystał głównie na dalsze nagłaśnianie tematu imigracji, na którym może wygodnie krytykować tak PO, jak PiS i który dotyka bezpośrednio Polaków w ich codziennym życiu.

CO OPŁACA SIĘ NOWEMU PREZYDENTOWI?

Podstawowym interesem Karola Nawrockiego jest w tych okolicznościach spłacenie kredytu zaufania, który otrzymał od wyborców Mentzena i Brauna – także w perspektywie walki o reelekcję w 2030 r. Jeśli ich rozczaruje, to jednocześnie wzmocni swoich rywali w przyszłej pierwszej turze oraz będzie mu trudniej wygrać w drugiej (w skrajnym przypadku jego obecność w niej byłaby zagrożona). Bycie odbieranym jako stricte PiS-owski, partyjny prezydent szkodziłoby mu zresztą także w oczach wyborców centrum i lewicy oraz tych niemających jednoznacznych poglądów.

Trzeba też pamiętać, że PiS ma najwyższe poparcie wśród najstarszych roczników, których będzie w kolejnych latach ubywać. Nawrocki będzie zaś pierwszym prezydentem lub premierem urodzonym już w latach 80. Ma przy sobie aktywnego publicznie syna, który ma odpowiadać za politykę młodzieżową. Wreszcie jego sztab w kampanii tworzyli w dużej mierze politycy młodszego pokolenia PiS, a nie tzw. zakonu PC. Ich ambicje będą siłą rzeczy narastać. Czas będzie grał na korzyść ich i Nawrockiego, choć z drugiej strony czas na tę rozgrywkę to dwa lata z ogonkiem, które zostały do wyborów do Sejmu – to nie jest odległa perspektywa. W tym czasie Nawrocki będzie miał komfort bycia jedynym ośrodkiem władzy odwołującym się do prawicy. Na tle Tuska nie będzie mu trudno utrzymać popularność. Musi ten czas mądrze wykorzystać, jeśli chce sprzyjać zmianie w 2027 r. i liczyć się w późniejszym układzie władzy.

Oczywiście nie oznacza to, że Nawrocki pójdzie na frontalną konfrontację z Kaczyńskim. Znalazł się jednak na jedynym stanowisku, z którego prezes nie jest w stanie go zdjąć w trakcie kadencji. Premier ma znacznie większą władzę, ale tak nad Beatą Szydło, jak i nad Mateuszem Morawieckim wisiał zawsze miecz Damoklesa w postaci faktycznej możliwości odwołania przez naczelnika. Zobaczymy, czy Nawrocki będzie w stanie zbudować własną frakcję w PiS – choćby przy pomocy swoich dotychczasowych sztabowców. Nie zrobił tego Andrzej Duda.

Nowy prezydent ma tu dwa dobra, które będzie musiał jakoś wyważyć. Z jednej strony opłaca mu się promocja konkretnych „swoich" ludzi (zwłaszcza posłów i kandydatów na posłów). Do tego potrzebuje zachować pewien poziom zaufania Kaczyńskiego. Z drugiej, jeśli nie chce być odbierany jako nadmiernie „PiS-owski" i przedłużenie woli prezesa, powinien zachować dystans wobec samej rywalizacji między PiS a Konfederacją, która będzie narastać wobec zbliżania się wyborów do Sejmu. Stopniowa budowa podmiotowości wydaje się więc dla niego optymalną strategią.

JAKIE MA NARZĘDZIA?

Nawrocki obok prób blokowania destrukcyjnych działań rządu może samodzielnie wychodzić z inicjatywami ustawodawczymi i wnioskami o referendum, a następnie promować je przez orędzia i wystąpienia sejmowe. Jest sporo obszarów, na których byłoby to dobrze odbierane jednocześnie przez wyborców PiS, Konfederacji i Brauna – choćby walka z imigracją (tak legalną, jak nielegalną), ograniczenie wpływu zagranicznych pieniędzy na Polskę, w tym za pośrednictwem pseudoorganizacji pozarządowych (co wyraźnie widzieliśmy w minionej kampanii), asertywność wobec UE, obrona rodziny (np. dzieci przed transowaniem, okaleczaniem i propagandą). Jeśli cokolwiek udałoby się zrealizować, to byłoby to wielkie dobro, a jeśli nie, to ustawiałoby debatę przed wyborami do Sejmu. Warto także, by Nawrocki powtarzał jako prezydent, że Polska potrzebuje nowej konstytucji, o czym wspominał pod koniec kampanii.

eprasa.pl 025d2d1ac6

Tradycyjnym obszarem działalności prezydenta jest polityka zagraniczna. Poprzeczka jest zawieszona szczególnie nisko, gdy chodzi o stosunek do Ukrainy, gdzie działania Andrzeja Dudy szły wbrew znacznej części opinii publicznej. Nawrocki ma też szansę zbudować pozycję na europejskiej i amerykańskiej prawicy. Zainteresowanie tym kierunkiem sugeruje pierwszy zagraniczny wywiad, którego udzielił nie któremuś medium głównego nurtu (które na pewno wysyłały zaproszenia), ale węgierskiemu tygodnikowi „Mandiner", bliskiemu Fideszowi. Przez ostatnie lata to Viktor Orbán był gwiazdą międzynarodowej prawicy i prawdopodobnie będzie chciał pomóc w promocji Nawrockiego, którego wybór spotkał się z naprawdę dużym zainteresowaniem poza naszymi granicami. Wielu zachodnich konserwatystów i patriotów patrzy z nadzieją na Polskę – często mając wyidealizowany obraz naszego kraju – ale podczas rządów PiS żaden polityk nie wypracował sobie choćby jednej setnej rozpoznawalności Orbána. Nawrocki ma szansę nadrobić to, co byłoby po prostu dobre i co mogliby docenić także rodzimi wyborcy wobec umiędzynarodowienia konfliktu między globalizmem a jego przeciwnikami oraz wobec podatności Polaków na zagraniczne pochwały. Oczywiście powinien przy tym unikać nadmiernego przypodobywania się komukolwiek z zewnątrz.

W sferze symbolicznej istotne będzie wreszcie zapraszanie (lub nie) do ciał doradczych oraz odznaczanie przez prezydenta także tych autorytetów i osób zasłużonych dla sprawy polskiej czy katolickiej, które potrafiły krytykować PiS i nie są z nim kojarzone.

Na alternatywnej prawicy pojawi się zaś inny dylemat. Z jednej strony otwarty na współpracę prezydent to szansa na instytucjonalizację, pokazywanie się jako politycy poważni i pozyskiwanie dzięki temu wyborców. Krzysztof Bosak pokazał przez ostatnie półtora roku, jak wykorzystywać do tego stanowisko wicemarszałka Sejmu. Z drugiej strony Konfederacja będzie potrzebowała podkreślać własną tożsamość i autonomię. Jako niedostatecznie opozycyjnych będzie zapewne atakował wszystkich – włącznie z nowym prezydentem – Grzegorz Braun walczący o budowę listy zdolnej do wejścia do Sejmu, choć na razie prezes Korony deklaruje danie szansy Nawrockiemu.

W politycznej codzienności pojawi się przykładowo szybko pytanie, czy Nawrocki zaprosi do Rady Bezpieczeństwa Narodowego przedstawiciela Korony, która właśnie stała się samodzielnym kołem. Szerzej: zobaczymy, w jakiej mierze Braun będzie postrzegany przez swoich silniejszych konkurentów jako niebezpieczny rywal, a w jakiej jako użyteczny przesuwacz dyskursu. Powracanie przez niego do tematyki Holokaustu zwiększa szanse, że będzie „wrogiem publicznym numer jeden", którego dojściem do władzy będą straszyć liberalno-lewicowe media. Nawrocki będzie pewnie po prostu unikał tematu Brauna, by nie antagonizować jego sympatyków, a także nie kojarzyć się z wypowiedziami takimi jak ta o nieistnieniu komór gazowych.

CZY MOŻE POŁĄCZYĆ POLAKÓW?

Frazes o „byciu prezydentem wszystkich Polaków" jest całkowicie zużyty, a w dodatku nierzadko służył do uzasadnienia propozycji w praktyce destrukcyjnych dla narodu. Nawet przy tak ułomnej konstytucji jak obecnie obowiązująca można jednak napełnić pozytywną treścią naturalną potrzebę zjednoczenia wokół głowy państwa – swego rodzaju instynkt monarchiczny znany od starożytności.

Nawrocki ma zalety, które dają mu rzeczywiście szansę być prezydentem ciągłości, a nie zerwania. Głowa państwa ma łączyć Polaków – i nie tylko aktualnie żyjących, ale pokolenia obecne, przeszłe i przyszłe. Poprzez głębokie zakorzenienie w tradycji i dorobku, które nam powierzono, we wszystkim, co wypracowało poprzednich 50 pokoleń Polaków, a czego my nie mamy moralnego prawa odrzucić. Ponadto przez kierowanie się dobrem tych, którzy przyjdą po nas, a nie hulaszczy egoizm na zasadzie „używajmy życia, a po nas choćby potop". Jedno i drugie idzie wbrew dominującemu dziś w świecie zachodnim paradygmatowi liberalnemu, który uświęca przyjemność i kaprys jako normę moralną, a społeczeństwo postrzega wyłącznie jako zbiór chwilowo obecnych tu jednostek, które umówiły się na miłe spędzanie razem czasu.

Nawrocki ma na to szansę jako historyk, który całe życie zajmował się przypominaniem bohaterów i polityką pamięci. A z drugiej strony może też kierować naród w przyszłość jako ojciec trojga dzieci, w tym dwojga małych. Podobnie jak pierwsza dama, która urodziła dziecko w bardzo młodym wieku i trudnych okolicznościach życiowych, by następnie zbudować wraz z mężem trwałą rodzinę, z najstarszym synem ewidentnie kochającym ojca, który go wychował. Taka „pierwsza rodzina" to przykład bardzo potrzebny wobec zapaści kulturowej i katastrofy demograficznej.

Rzeczywiste, a nie mdłomarketingowe jednoczenie narodu musi być wreszcie oparte na Prawdzie. Nawrocki jako prezydent elekt odwołał się publicznie do Trójcy Świętej i podziękował za modlitwę jako mającą realny wpływ na jego wygraną. Ma szansę budować, jeśli będzie miał odwagę przyznawania się do Chrystusa oraz oddawania Bogu należnej Mu czci. Tylko wyraźniejszy stał się w ostatnich dniach kontrast z rywalem, który zdejmował krzyże i objął patronatem paradę z udziałem satanistów. Ma to także wymiar wspomnianej ciągłości cywilizacyjnej z historycznym polskim narodem. Tym bardziej w 1000-lecie koronacji Bolesława Chrobrego, który łączył odwagę, siłę i pokorę, miecz i Krzyż.

Przez najbliższe dwa i pół roku Nawrockiemu będzie względnie nietrudno zachować popularność. Ma szansę być odbierany jako przywódca opozycji wobec Tuska, a także bardziej aktualny „głos narodu" mający świeższy mandat społeczny i występujący z całą powagą urzędu. Będzie jednak potrzebował być bardziej asertywny niż Andrzej Duda, który podpisywał prawie wszystkie ustawy przygotowane przez rząd Tuska, kilkakrotnie rozczarowując. Na Nawrockiego głosowało zdecydowanie więcej Polaków oczekujących aktywnej konfrontacji z centrolewicą niż tych, dla których ważniejsza jest „stabilność instytucjonalna" – tym bardziej że aktualnie Tusk, Bodnar i ich ekipa robią wszystko, by być odbierani jako zagrożenie dla jakiejkolwiek stabilności państwa.

Czas pokaże, w jakiej mierze Nawrocki udźwignie zadanie, które mu powierzyli Bóg i Polacy. Rolą opinii będzie go z tego rzetelnie oraz wymagająco rozliczać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 025d2d1ac6

Z Robertem Bąkiewiczem, liderem Ruchu Obrony Granic
rozmawia Ryszard Gromadzki

Czuję się trochę jak Brygada Świętokrzyska

FOT. JAKUB PORZYCKI/FORUM

RYSZARD GROMADZKI: Zdrajca, cyniczny hipokryta, kłamca, obrzydliwa postać, siewca zamętu – to tylko fragment długiej listy inwektyw kierowanych pod pana adresem przez ludzi z obozu rządzącego. Prokuratora chce oskarżyć pana o znieważenie funkcjonariuszy Straży Granicznej. Szybko awansuje pan w hierarchii największych wrogów publicznych. Dlaczego Ruch Obrony Granic tak bardzo denerwuje władzę?

ROBERT BĄKIEWICZ: Można by te kalumnie skwitować gorzkim śmiechem, bo kiedy mowa o znieważaniu Straży Granicznej, przypomina mi się to wszystko, co wyprawiali na granicy polsko-białoruskiej panie Jachira, Kurdej-Szatan czy panowie Frasyniuk i Sterczewski. Ale i to, co mówił o działaniach Straży Granicznej Donald Tusk, było czymś niedopuszczalnym. Były oczywiście Agnieszka Holland i jej film „Zielona granica", przedstawiający polskich pograniczników jako przestępców i bandytów, kolportujący ten fałszywy obraz na całym świecie. Nigdy nie spotkała ich z tego tytułu żadna odpowiedzialność, choć powinna.

Dzisiaj ta władza, niczym dobry hipokryta, staje w obronie polskiego munduru i wyciąga w stosunku do mnie oskarżenia, które nie mają żadnych podstaw. Oczywistym celem tych ruchów jest zneutralizowanie Ruchu Obrony Granic i podejmowanych przez niego działań, które są obecnej władzy bardzo nie na rękę, bo pokazują jej uległość wobec Niemiec. Zwracają uwagę Polaków na problem masowej migracji czy paktu migracyjnego. Z perspektywy unijnego establishmentu to bardzo niebezpieczne.

Czym jest Ruch Obrony Granic? Kto go tworzy? Czy to faszyści i bojówkarze, jak nazywają ich ludzie władzy i wspierające ją media?

To normalni Polacy, którzy kochają własną ojczyznę. Przede wszystkim wyróżnia ich to, że mają świadomość skutków związanych z masową migracją, które dotknęły wiele państw Zachodu. W Ruchu Obrony Granic są mężczyźni i kobiety, robotnicy i kierowcy, lekarze i prawnicy. Dosłownie cały przekrój polskiego społeczeństwa. Są wśród nich osoby związane z Rotami Marszu Niepodległości, ale przychodzi też wielu nowych ludzi, których przyciągnęła idea Ruchu, skuteczność naszych działań. Zainicjowaliśmy je już na początku roku. Pierwsza demonstracja w obronie granic miała miejsce w Słubicach 8 marca. Wcześniej staraliśmy się oddziaływać i wywierać presje na samorządy, żeby przyjmowały uchwały blokujące powstawanie centrów integracji cudzoziemców lub odcinały się od polityki migracyjnej rządu Tuska.

To działanie, które inicjowaliśmy w ostatnich miesiącach, ale trzeba pamiętać, że już w 2015 r. organizowaliśmy masowe demonstracje przeciw przyjęciu przez Polskę narzucanych nam wówczas przez Unię tzw. kwot migrantów.

Jak liczny jest dziś Ruch Obrony Granic?

Liczbę osób, które wstąpiły do ROG, szacuję dziś na ok. 7,5 tys.

Według ministrów spraw wewnętrznych – byłego, Tomasza Siemoniaka, i obecnego, Marcina Kierwińskiego – samozwańcze patrole Ruchu Obrony Granic przeszkadzają Straży Granicznej i dezorganizują jej pracę. Ich działania są nielegalne, w związku z czym ludzie działający w Ruchu muszą liczyć się z konsekwencjami prawnymi. Jak na co dzień układają się relacje ROG ze Strażą Graniczną i z innymi służbami?

Układają się dobrze, dlatego że my nie łamiemy prawa. Gdyby było inaczej, to gwarantuję, że ten rząd wykorzystałby to do cna i zrobił z nami porządek. Co do relacji ze Strażą Graniczną, to – jak powiedziałem – są one pozytywne, choć widać po tamtej stronie pewne napięcie, które związane jest, jak przypuszczam,

eprasa.pl 025d2d1ac6

z dyspozycjami politycznymi, które oni dostają. Wiem, że osoby, które rozmawiały z nami off-the-record, ponosiły konsekwencje służbowe, stąd obawy wśród funkcjonariuszy.

Czy ludzie angażujący się w Ruch Obrony Granic byli celem agresywnych działań ze strony Straży Granicznej, policji czy Wojsk Obrony Terytorialnej?

Był jeden taki incydent, kiedy nasi ludzie zostali wypchnięci z przejścia granicznego w Słubicach. Wypychano nas stamtąd pod pretekstem, że znajduje się tam infrastruktura krytyczna. Jak bardzo krytyczna, można było się przekonać za chwilę, kiedy w tym samym miejscu odbył się wielki bieg maratoński z udziałem kilku tysięcy osób, nagrywany i fotografowany ze wszystkich stron.

Wobec uczestników społecznych patroli granicznych prowadzone są obecnie jakieś postępowania karne?

Na tę chwilę, oprócz postępowania, które wszczęli Niemcy wobec grupy naszych kolegów, dotyczącego przemytu migrantów – jakkolwiek śmiesznie by to brzmiało – nie znam innych przypadków, poza moim własnym. Wiem, że mają być postawione mi zarzuty, choć do tej pory nikt mi ich nie postawił. Czekam na reakcję prokuratury. Myślę, że nie było chętnych, żeby podpisać się pod tą decyzją, dlatego że od wydarzeń, które mają być dla mnie obciążające, minął już miesiąc, a z tego, co wiem, prokuratura w Gorzowie Wielkopolskim miała dostać wytyczne z wyższej instancji, jak podejść do zarzutów wobec mojej osoby, bo – kolokwialnie mówiąc – są one całkowicie dęte.

Czy działalność Ruchu Obrony Granic przyczyniła się do lepszej ochrony polskiej granicy zachodniej? Od 7 lipca przywrócono na niej kontrole.

Jestem przekonany, że nasze działania przyczyniły się do lepszej ochrony polskiej granicy. To efekt sposobu działania Ruchu Obrony Granic, polegającego na monitorowaniu granicy i informowaniu Polaków o zachodzących na niej procesach. Wielu przypisuje nam zatrzymywanie silą migrantów wpychanych do Polski przez Niemcy, chociaż takie sytuacje też miały miejsce, gdzie dochodziło do obywatelskich zatrzymań.

Naszym głównym celem jest jednak upublicznianie procederu nieskutecznej ochrony polskich granic i agresywnej polityki Republiki Federalnej Niemiec. W tym kontekście przywrócenie kontroli granicznych należy odbierać jako pośredni efekt naszych działań. Presja społeczna była ogromna. Pamiętajmy, że temat masowej migracji, obrony polskich granic był jednym z wiodących wątków w kampanii prezydenckiej, jeśli nie jej tematem przewodnim. Finał był taki, że Tusk musiał przywrócić kontrole na granicy. Pewnie więcej było w tym politycznego teatru niż szczerych chęci, ale ten krok w jakimś stopniu poprawia sytuację na zachodniej granicy Polski. Innym efektem naszych działań było trwałe ulokowanie tematu masowej migracji w przekazie mediów. Dzięki temu Polacy mogli zorientować się, że masowa migracja to nie tylko migawki z kolejnej fali zamieszek w Paryżu czy najazdu przybyszów z Afryki na Lampedusę, ale realny problem, który puka do naszych drzwi. To z kolei generuje coraz silniejszy opór społeczny.

Naszym głównym celem jest upublicznianie procederu nieskutecznej ochrony polskich granic i agresywnej polityki Republiki Federalnej Niemiec

Kardynał Ryś w liście pasterskim do wiernych wyraził pogląd, że odmowa przyjęcia migrantów i umożliwienie im godnego życia są niezgodne z Ewangelią. A ci, którzy to kwestionują, powinni mieć odwagę i zamilknąć.

List kard. Rysia potwierdza, że Kościół znajduje się w ogromnym kryzysie. Nie tylko tożsamościowym, lecz także intelektualnym i teologicznym. Przecież w nauce Kościoła katolickiego jest pojęcie „ordo caritatis", czyli porządek miłości, który każe w pierwszym rzędzie zadbać o siebie, swoją rodzinę, swój naród, a dopiero w dalszej kolejności pomagać innym.

Nie wszyscy hierarchowie polskiego Kościoła podzielają poglądy kard. Rysia w sprawie migracji. Byłem niedawno na Jasnej Górze świadkiem słów bp. Antoniego Długosza, w których wprost wyraził poparcie dla Ruchu Obrony Granic. Biskup Długosz podkreślił, że mamy prawo, a wręcz obowiązek bronić własnej ojczyzny, a masową migrację nazwał bez ogródek złem, generowanym przez globalistów, którzy finansują hojnie projekty w tym obszarze. Jako katolik nie odczuwam żadnego moralnego dysonansu w związku ze swoim sprzeciwem wobec masowej migracji. Opieram się choćby na nauce św. Tomasza z Akwinu, który pisał wprost, jak chrześcijanie, katolicy powinni się zachowywać w sytuacji zagrożenia inwazją migracyjną. Jeśli mielibyśmy przyjąć naiwną argumentację, której w sprawie migracji używają kard. Ryś i środowiska lewicowe, to nie moglibyśmy strzelać do wrogów, którzy najechali nasz kraj, bo przecież odbieramy im życie, piąte przykazanie Dekalogu mówi przecież: nie zabijaj.

Na prawicy można spotkać głosy, że jest pan agentem PiS do specjalnych poruczeń. W tym wypadku chodzi o osłabianie wpływów Konfederacji. Właśnie dlatego stworzył pan Ruch Obrony Granic?

To nonsensowne oskarżenia. Wie pan, czuję się trochę jak Brygada Świętokrzyska. Idę pomiędzy dwoma frontami. Z jednej strony Sowieci, z drugiej Niemcy. Oczywiście nie jest to porównanie wprost Konfederacji i PiS. Ale dla obydwu tych środowisk jestem ciałem obcym. Ci pierwsi ze mną walczą, choć tożsamościowo jest nam najbliżej, bo zadeklarowali mnie jako wroga politycznego. Drudzy też nie uznają mnie za swojego, bo jestem dla nich dalej narodowcem. Mój problem polega na tym, że muszę przebijać się naprzód pomiędzy tymi dwoma frontami. Optymistyczne w tym porównaniu jest to, że Brygada Świętokrzyska jako jedyny zwarty oddział niepodległościowego podziemia ocaliła życie swoich żołnierzy, chociaż Polski nie odzyskała. Mówiąc już serio, myślę, że Konfederacja wpycha mnie na tę PiS-owską rafę, bo chce mnie zneutralizować. PiS chce też korzystać z zasobów działań, które prowadzę. Nie zaprzeczam, że startowałem z listy PiS w wyborach parlamentarnych w 2023 r. Ale nie znaczy to, że wykonuję czyjeś polecenia. Robię to, co uważam, że jest dobre dla Polski. Śmiem twierdzić, że robię to skutecznie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 025d2d1ac6

Nabeta Gyokuei, „Kasha", 1881, „Ilustrowana księga potworów", drzeworyt barwny

FOT. MUZEUM SZTUKI I TECHNIKI JAPOŃSKIEJ MANGGHA

Między japońską zjawą a polskim upiorem

Łukasz Czarnecki

W krakowskim Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha do końca wakacji można oglądać wystawę „Sto nocnych zjaw. Duchy, demony i upiory w sztuce Japonii i Zachodu". To idealna okazja, by wejść w strefę mroku i spotkać jej mieszkańców: zarówno tych wywodzących się z rodzimej tradycji, jak i przybyszów z Dalekiego Wschodu

Wydawać by się mogło, że letnia pora nie sprzyja opowieściom o duchach. W naszym kręgu kulturowym przyzwyczailiśmy do tego, że światy żywych i umarłych, racjonalnego umysłu i pokrętnej logiki zaświatów, stykają się ze sobą jesienią. Wtedy to ludy słowiańskie obchodziły święto dziadów, dziś schrystianizowane jako Dzień Zaduszny, a w obszarze cywilizacji anglosaskiej świętowane jest hucznie Halloween (wywodzące się, nie jak chcą niektórzy panikarze, z czarnych mszy, lecz z obrzędów zaduszkowych katolickich Irlandczyków migrujących do USA). Również z tego, co nam wiadomo, pogańscy Celtowie z Zielonej Wyspy właśnie na przełom października i listopada wyznaczali szczególną noc, kiedy lepiej było nie wypuszczać się z domu. Ponoć niejednego śmiałka porwały wtedy istoty, które dzisiaj nazywamy mianem elfów (choć wtedy mówiło się o nich zgoła inaczej i bliżej było im do upadłych bogów). Dlatego dla Europejczyka naturalne jest, że właśnie jesień, gdy kolejne noce się wydłużają i po każdym zmroku przychodzi dłużej czekać na świt, stanowi dogodną porę do snucia przerażających opowieści o duchach i widmach.

ODDECH OD SPIEKOTY

W Japonii jest inaczej. Tamtejsze buddyjskie święto zmarłych O-bon wypada w środku lata, pomiędzy połową lipca a sierpnia, i to wtedy właśnie, jak wierzą Japończycy, przodkowie wracają do swych domostw, a zbiorniki wodne przemieniają się w niebezpieczną strefę pogranicza rozdzielającego rzeczywistość żywych i umarłych. Lepiej się wtedy nie kąpać, o czym przekonał się pod koniec XIX w. osiadły w Japonii irlandzko-grecki pisarz Lafcadio Hearn. Niedługo po swym przybyciu do Kraju Kwitnącej Wiśni doprowadził małżeństwo, u którego wówczas mieszkał, do przerażenia, gdy w wieczór O-bon wybrał się popływać w miejscowym jeziorze.

Jednak lato wiąże się w Japonii z zaświatami i strefą mroku nie tylko z powodu obrządku religijnego. Od epoki Edo najgorętsze miesiące roku stanowią czas opowieści o duchach, kiedy to Japończycy chętnie słuchają niesamowitych, mrożących krew w żyłach historii. Właśnie w wyrazie „mrożenie" tkwi cała tajemnica. W czasach przed wynalezieniem klimatyzacji letnie upały spowijały Kraj Kwitnącej Wiśni całunem, dusząc jego mieszkańców. Radzono sobie z ową niedogodnością, m.in. nosząc cieńsze i bardziej przewiewne kimona, inną zaś z metod walki ze skwarem stanowiło raczenie się opowieściami, które dziś zaliczylibyśmy do gatunku horrorów. Dawni Japończycy uważali bowiem, że naprawdę straszna gawęda, przyprawiając odbiorców o dreszcz, schładza ich ciała i daje oddech od spiekoty.

eprasa.pl 025d2d1ac6

O sens takiego rozumowania pytać trzeba już adeptów medycyny (mnie osobiście ta logika wydaje się wątpliwa), ale utarło się za czasów szogunatu Tokugawów, że to właśnie lato stało się sezonem napawających grozą historii. Wystawiano je na scenach teatrów kabuki, gdzie pomysłowe efekty specjalne i maszyneria sceniczna pozwalały prezentować przed widownią najdziwniejsze i najkoszmarniejsze wizje. Drukowano książki zawierające antologię opowieści niesamowitych (wśród nich arcydzieło literatury japońskiej „Po deszczu przy księżycu"), a wieczorami grupy znajomych zbierały się w domach i świątyniach, by snuć przerażające opowiadania. Po finale każdego z nich, gasząc jeden z oświetlających imprezę knotków – ponoć gdy wszystkie zgasły, na zgromadzeniu mogła pojawić się istota nie z tego świata…

W powyższym kontekście wybór wakacji na prezentację wystawy „Sto nocnych demonów" staje się zrozumiały. Muzeum, udostępniając nadwiślański gmach barwnej czeredzie widm, demonów i dziwostworów (bo tak tłumaczyć można obszerny japoński termin yōkai), działa zgodnie z logiką kultury japońskiej, równocześnie jednak konfrontując przybyszów z wyobrażonego świata Dalekiego Wschodu z tubylcami pochodzącymi z rodzimego legendarium, których wspomagają m.in. upiory i czarownice Goi, uchwycone przezeń przy swych niecnych sprawkach, oraz fantastyczne byty uwiecznione przez Odilona Redona, takie jak roześmiany gnom czy melancholijny kwiat z ludzką twarzą. Jednakże w przeważającej części czarodziejska reprezentacja Europy pochwalić może się polskimi paszportami. Wśród autorów dzieł prezentujących rusałki, upiory, smoki i słowiańskich bogów znajdziemy malarzy: Zofię Stryjeńską, Wojciecha Weissa, Stanisława Wyspiańskiego, Leona Wyczółkowskiego, a także rzeźbiarzy, takich jak Konstanty Laszczka czy Jan Raszka. „Perkun" tego drugiego ma w sobie uchwyconą moc właściwą wszystkim bóstwom gromowładnym, od greckiego Zeusa do skandynawskiego Thora.

Wymienieni wyżej artyści są klasykami tworzącymi na przełomie wieków XIX i XX. Na szczęście Manggha nie zamyka się w przeszłości i w ramach „Stu nocnych zjaw" dała przestrzeń oraz swobodę grupie współczesnych, niezwykle utalentowanych rodzimych twórców, których prace szczególnie mocno prezentowane są w wydzielonych częściach ekspozycji zatytułowanych „We śnie" i „Ja, demon". Obrazy przedstawione na płótnach wchodzących w skład działu „We śnie" budzą zarówno fascynację, jak i niepokój swoją groteskowością, w której kierują się logiką sennych majaków. Jakub Julian Ziółkowski w dziele „Bez tytułu" czerpie inspiracje z chińskiego i japońskiego malarstwa tuszowego. Przed naszymi oczyma prezentuje górski krajobraz, który mógłby widnieć również na zwoju z czasów Północnej Dynastii Song, jednak obecną w tradycyjnych malunkach tego typu harmonię przyrody niszczy wyrastająca ponad wzgórza, zgarbiona postać mająca zamiast głowy czaszkę o gorejących oczach.

Z kolei rzeźba „Kiedy jestem" to wysoka istota o nieokreślonej płci, skryta w przepastnej szacie z kapturem, pokrytej tajemniczymi znakami. Czyżbyśmy w pierwszym przypadku mierzyli się z nieuchronnością śmierci nieustannie wiszącej nad światem, a w drugim konfrontowali z przeznaczeniem, którego oblicza nie znamy? Za to Michał Zawada przedstawia nam apokaliptyczny pejzaż górzystego pustkowia, na które z martwych niebios spadają płonące żywcem ptaki.

Zwiedzając część zatytułowaną „Ja, demon", przekonujemy się, jak mało dzielić może człowieka od istoty piekielnej. Zarówno z obiektywnego puntu widzenia (co prezentują prace nawiązujące do postaci niemieckiej reżyserki Leni Riefenstahl w czasach III Rzeszy, tworzącej propagandowe superprodukcje dla hitlerowców), jak i w ujęciu czysto subiektywnym, gdy inny homo sapiens demonizuje bliźniego, odmawia mu prawa do miana istoty ludzkiej, a w końcu także życia, czego najpełniejsze ucieleśnienie stanowił Holokaust, do którego wprost odwołują się niektóre z dzieł, jak np. „Golem" Michała Kastory'ego.

KOLEKCJA JAPOŃSKICH DRZEWORYTÓW

Naszą podróż przez świat nadprzyrodzony zaczęliśmy od tego, co swojskie, a zarazem jakby od końca, ponieważ gości odwiedzających wystawę wita kolekcja japońskich drzeworytów ukiyo-e z epoki Edo (ze szczególnie liczną reprezentacją prac artystów ze szkoły Utagawa). Obejmuje ok. połowy ekspozycji, prezentując niezwykłe bogactwo japońskiego świata wyobrażonego. Znajdziemy tu wizerunki smoków, bogów szczęścia, duchów i widm nawiedzających żywych oraz wszelkiej maści dziwostworów.

Te ostatnie tłoczą się zwłaszcza na niezwykle intrygującym eksponacie, którym jest ilustrowany, kilkumetrowy zwój zawierający obraz w konwencji znanej jako „nocna parada stu demonów". Chociaż słowo „demon" używane w tym kontekście przez tłumacza może być mylące, to grafika przedstawia nie mieszkańców piekła dręczących grzeszników (kultura buddyjska ma własne piekło, którego demoniczni lokatorzy mogliby się wydać Dantemu znajomi), lecz wesoły pochód yōkai – czasem strasznych, czasem pociesznych, zawsze groteskowych „dziwostworów". Wśród owej korzystającej z nocnej pory rozrywkowej kompanii znaleźć można tak dziwnych imprezowiczów, jak… ożywione sprzęty gospodarstwa domowego, a do tańca barwnej czeredzie przygrywa lutnia biwa, której wyrosły ręce i nogi! W Japonii istnieje przesąd, że wystarczająco stary przedmiot, który osiągnie wiek 100 lat, może przemienić się w yōkai, a wówczas biada jego właścicielom, figlom i wybrykom nie będzie końca! Stąd też wziął się obyczaj wyrzucenia bardzo starych rzeczy, nim dociągną do owej metryki, aby swojej magicznej transformacji dokonały gdzieś na śmietniku. Prawdopodobnie przedmioty, takie jak widoczna na zwoju lutnia i inne utensylia, nie tyle gniewają się na swych dawnych właścicieli, ile czują względem nich wdzięczność za darowaną wolność. Zamiast zajmować się obowiązkami, mogą teraz szaleć w towarzystwie innych dziwostworów, w każdym razie do rana, bo – jak pokazuje ów zwój kończący się wchodem rozżarzonej czerwonej kuli – gdy słońce znów wchodzi na niebo, yōkai porzucają zabawę i umykają przed ludzkim okiem. Ukryte w ciemnych zakamarkach zapewne odsypiają całonocne imprezy, by mieć siły na kolejną balangę.

Wystawa jest interesującą propozycją, która powinna znaleźć się na liście każdego turysty, który w te wakacje odwiedzi gród Kraka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Ekspozycja „Sto nocnych zjaw" jest dostępna dla zwiedzających do 31 sierpnia.

eprasa.pl 025d2d1ac6

Składka na artystów

Radosław Wojtas

Zakończyły się konsultacje publiczne projektu ustawy, który ma zagwarantować gorzej zarabiającym artystom dopłaty do składek ZUS. Próbuje też określić, kim jest zawodowy artysta. Tylko że na to proste pytanie nie ma równie łatwej odpowiedzi

Trzeba wiedzieć, kiedy ze sceny zejść" – śpiewa Grzegorz Markowski. Gorzej, jeśli chce się zejść, ale emerytura na to nie pozwala, a oszczędności topnieją w oczach. Na przykład Maryla Rodowicz zadeklarowała, że będzie śpiewać do śmierci. – Mam 2600 zł emerytury. Zwiększyła się. Była mniejsza. Na początku dostawałam 1300 zł – powiedziała „Super Expressowi". – Muszę śpiewać do końca życia. Na szczęście lubię to robić. Tak się dobrze składa. Bo wiadomo, jakie są emerytury. To nie są pieniądze, za które można się utrzymać. Nie wiem, kto może się utrzymać za 1500 zł na przykład – dodawała. Nie da się, zwłaszcza jeśli – jak Maryla, która opisywała tę historię na Facebooku – człowiek pojedzie do Carrefoura po chrupiącą bagietkę, zapomni się, nakładzie innych rzeczy do koszyka i przy kasie dostanie paragon na ponad 1200 zł. (Na szczęście akurat ta emerytka miała dość gotówki w portfelu).

Rodowicz narzeka, ale niektórzy jej koledzy ze sceny (o zwykłych Polakach, którzy muszą dawać radę za 2600 zł, nie wspominając) mogą jej pozazdrościć świadczenia z ZUS. Na przestrzeni ostatnich lat niektóre gwiazdy pochwaliły się odłożonymi składkami i prognozowaną lub naliczoną wysokością emerytury: Ryszard Rynkowski – 1160 zł, Krzysztof Cugowski – 600 zł, Katarzyna Skrzynecka – 35 zł, Marek Piekarczyk – 8 zł.

Wszystkie wspomniane tu gwiazdy zarabiają lepiej niż dobrze. Ich skromne emerytury są oczywiście efektem odprowadzania niskich składek. Odkładali mało (choć stać ich było na dużo więcej), to emerytura niska. „Na emeryturze każdy z nas dostanie tyle, ile odłożył, pracując. ZUS wyliczył Krzysztofowi Cugowskiemu dokładnie taką kwotę emerytury, jaka należała mu się z tytułu opłaconych składek na ubezpieczenia społeczne przez całą karierę wokalną. Jak się okazało, składek tych nie było za dużo. Każdy z narzekających mógł płacić składki większe, ale odprowadzali jedynie po 14 gr miesięcznie" – zareagował swego czasu na utyskiwania artystów rzecznik ZUS.

GWIAZDA SIĘ SAMA WYŻYWI

Przykłady świetnie zarabiających gwiazd w dyskusji o prawnym uregulowaniu statusu artysty zawodowego,

eprasa.pl 025d2d1ac6

Na projekcie Ustawy o zabezpieczeniu socjalnym osób wykonujących zawód artystyczny nie skorzystają artyści, którzy – jak np. Maryla Rodowicz – zarabiają dużo, ale nie odprowadzają składek do ZUS lub odprowadzają bardzo niskie składki FOT. PIOTR MATUSEWICZ/EAST NEWS

a przy tym o wprowadzeniu mechanizmu wsparcia przy opłacaniu składek emerytalnych są nieporozumieniem. Ale to takie nieporozumienie – zarzuty o wspieranie bogatych, niemyślących o przyszłości, a w dodatku w większości wyznających lewicowe wartości artystów – było jednym z powodów niewprowadzenia przez Prawo i Sprawiedliwość ustawy o uprawnieniach artysty zawodowego.

Sprawą emerytur artystów zajęła się teraz nowa władza. Zakończyły się konsultacje publiczne Ustawy o zabezpieczeniu socjalnym osób wykonujących zawód artystyczny, przygotowanej przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Zakłada ona dopłaty do składek ZUS, ale tylko dla tych artystów, których średnie dochody z ostatnich trzech lat nie przekroczyły 125 proc. płacy minimalnej, czyli w obecnej sytuacji nieco powyżej 5800 zł brutto miesięcznie (dziś płaca minimalna wynosi 4666 zł brutto miesięcznie) i 6300 zł w przyszłym roku, kiedy przepisy mogłyby zacząć obowiązywać.

Z kieszeni podatników artystom uzupełnione zostaną składki na ubezpieczenia społeczne i zdrowotne, by zrównać je z poziomem wynikającym z minimalnego wynagrodzenia za pracę. Jak informuje MKiDN, będą one ewidencjonowane na kontach w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych i przelewane automatycznie, bez konieczności podejmowania na tym etapie działania ze strony artysty, do momentu uzyskania przyjętego progu dochodu. „Projekt ustawy odpowiada na dwie potrzeby środowiska artystów zawodowych – zapewnienie posiadania przez artystów bieżącego ubezpieczenia społecznego i zdrowotnego oraz zapewnienie posiadania przez artystów wystarczającej ilości okresów składkowych, pozwalających na minimalną emeryturę w przyszłości" – podkreśla resort kultury.

Z raportu „Policzone i policzeni artyści, twórcy i wykonawcy w Polsce" z 2024 r. wynika, że środowisko artystów – choć trudno ich zdefiniować, o czym dalej – liczy 62,4 tys. osób. Tylko 11 proc. z nich jest zatrudnionych na podstawie umowy o pracę. 18,7 proc. deklaruje samozatrudnienie. Reszta wykonuje swój zawód na podstawie umów cywilnoprawnych: 37 proc. na podstawie umów o dzieło, 13,9 proc. – umów-zleceń lub wykonuje działalność artystyczną bez żadnej umowy, co deklaruje 15,3 proc. uczestników badania.

Większość – 67,3 proc. – respondentów odpowiada jednak, że posiada ubezpieczenie w ZUS wynikające z formy zatrudnienia. 8,4 proc. opłaca je dobrowolnie, 15,2 proc. korzysta z różnych form prywatnych ubezpieczeń, a 11 proc. jest ubezpieczonych zdrowotnie przy członku rodziny. Ale niemała grupa – 10,4 proc. – nie posiada żadnej formy ubezpieczenia.

Przyjrzyjmy się jeszcze zarobkom. Po pierwsze, dochody z pracy artystycznej często są nieregularne. Po drugie – jak informuje MKiDN – sytuacja dużej części środowiska artystycznego jest trudna: ok. 69 proc. tych osób ma przychody poniżej średniej krajowej, ok. 30 proc. osiąga

10,4 proc.

TAKI ODSETEK ARTYSTÓW DEKLARUJE, ŻE NIE POSIADA ŻADNEJ FORMY UBEZPIECZENIA

średnie przychody poniżej minimalnego wynagrodzenia. Przychody wyłącznie z pracy artystycznej 28,5 proc. respondentów raportu „Policzone i policzeni…" plasują się poniżej progu ubóstwa, czyli mniej niż 776 zł miesięcznie. Przychody 29,5 proc. – między 776 zł a 3545 zł miesięcznie, 24,8 proc. badanych deklaruje przychody z działalności artystycznej na poziomie od 3545 do 7155 zł. Większych powodów do narzekań na przychody nie ma 15,3 proc. artystów, którzy zarabiają od 7155 do 20 000 zł miesięcznie. Ponad 20 000 zł inkasuje 1,9 proc. przedstawicieli tego środowiska.

Tylko czy taka sytuacja na rynku jest powodem, by kolejną grupę Polaków obejmować przywilejami emerytalnymi? Tu zdania są podzielone. „Teraz czekam na inicjatywę resortu sportu, aby dopłacać do składek piłkarzom, których nikt nie chce wystawić do pierwszego składu" – ironizuje Leszek Kostrzewski z „GW". „PiS-owscy przeciwnicy głosili, że projekt ustawy o ubezpieczeniach dla artystów to łup dla celebrytów. Teraz ultraliberalni publicyści piszą z kolei, że projekt oznacza skandaliczne przywileje dla nieudaczników. Kto tak mówi, nie rozumie, jak działa rynek sztuki" – odpowiada mu Witold Mrozek na tych samych łamach. A była już minister kultury Hanna Wróblewska projekt zachwalała: – Największą inwestycją w polską kulturę jest inwestycja w tych, którzy tę kulturę tworzą – w artystki, artystów, twórców i twórczynie. Ten projekt ustawy jest pierwszym krokiem w kierunku zbudowania odpornego systemu widzącego wszystkich ludzi kultury. Wsparcie dedykowane jest osobom potrzebującym w okresie, w którym tego będą potrzebować, nie zaś osobom, które osiągają znaczne przychody.

MALARZ ZAWODOWIEC

Skorzystać z pomocy będą mogły tylko te osoby, które otrzymają status

eprasa.pl 025d2d1ac6

artysty zawodowego. Nadawać go będzie powołana do tego celu instytucja na podstawie opinii wydanej przez Komisję Opiniującą. Co ciała te wezmą pod uwagę, opisuje – choć dość nieprecyzyjnie – projekt ustawy. A zatem aby zostać uznanym za artystę zawodowego, należy spełnić trzy podstawowe warunki: mieć udokumentowany dorobek artystyczny, istotną część aktywności zawodowej takiej osoby musi stanowić wykonywanie zawodu artystycznego, w każdym z poprzednich trzech lat podatkowych osoba ubiegająca się o status artysty zawodowego musiała osiągnąć dochody w związku z wykonywaniem zawodu artystycznego, z uwzględnieniem uzasadnionych przerw w wykonywaniu działalności artystycznej. I o ile ten ostatni zapis jest jasny, o tyle dwa pierwsze wymagania są nieostre, bo nie zawsze da się obiektywnie zważyć dorobek artystyczny. No i jaka część aktywności zawodowej jest istotna, a jaka nieistotna? Gdzie przebiega granica?

O status artysty zawodowego mogą się ubiegać obywatele Polski oraz m.in. cudzoziemcy zamieszkujący na terytorium RP na podstawie zezwolenia na pobyt stały, a także osoby mające status uchodźcy. Za artystę zawodowego będzie można zostać uznanym na trzy lata. Po tym czasie należy ponownie złożyć odpowiedni wniosek i czekać na jego rozpatrzenie. Projekt ustawy zakłada, że po trzykrotnym, nieprzerwanym przyznaniu statusu artysty zawodowego można otrzymać go na dłuższy, pięcioletni okres, „jeśli artysta zawodowy posiada istotny dorobek artystyczny oraz daje rękojmię wykonywania zawodu artystycznego w przyszłości". I znowu bardzo płynne kryteria.

KTO JEST ARTYSTĄ?

Przede wszystkim trzeba będzie ustalić, kto artystą jest, a kto nie. Co nie jest wcale proste. Bo np. w raporcie „Policzone i policzeni artyści, twórcy i wykonawcy w Polsce" za artystów uznaje się architektów i MKiDN bierze tę grupę pod uwagę jako potencjalnych beneficjentów ustawy. Jest ich niemało, a właściwie stanowią oni jedną z liczniejszych grup ze wszystkich 62,4 tys. artystów uwzględnionych w badaniu. Architektura: 13 693 osób, film: 6996 osób, literatura: 3010 osób, muzyka: 16 346 osób, taniec: 3222 osoby, teatr: 3960 osób, sztuki wizualne: 13 176 osób, twórczość ludowa: 2020 osób. I o ile nie można architektom odmówić tego, że współtworzą kulturę przestrzenną, o tyle pojawia się pytanie, czy aby na pewno jest to grupa zawodowa, która potrzebuje wsparcia i którą należy obejmować przywilejami emerytalnymi.

Podczas konsultacji publicznych Izba Wydawców Prasy oraz Stowarzyszenie Dziennikarzy i Wydawców Repropol zwróciły uwagę, że jako artystów można zaklasyfikować dużą część dziennikarzy. „Dziennikarze tworzą obecnie różnego rodzaju materiały, które z powodzeniem można zaliczyć zarówno do literatury (eseje, reportaże), jak i do twórczości audiowizualnej (podcasty, materiały wideo). Istnieje zatem obecnie w projekcie podstawa, by uznać część dziennikarzy za beneficjentów programu, tym bardziej że często są to osoby wykonujące w sposób stały profesjonalną działalność twórczą w dziedzinie kultury" – piszą.

Czy zatem obok ludowych skrzypków, śpiewaczek, hafciarek podtrzymujących zanikające tradycje – którzy rzeczywiście mogą potrzebować wsparcia i którym się ono należy – powinniśmy w jednym rzędzie ustawiać architektów i dziennikarzy? A jeśli tak, to dlaczego wykluczać operatorów kamer, którzy co prawda wykonują zlecenia komercyjne, ale tworzą dzieła artystyczne? A rzemieślnicy? A kucharze zajmujący się także rekonstrukcjami kulinarnymi? Lista potencjalnych zajęć, które można podciągnąć pod artystyczne, jest długa.

Ustawa co prawda określa, że „dziedziny kultury, w których jest wykonywany zawód artystyczny, obejmują: muzykę, sztuki wizualne, sztuki performatywne, sztuki cyrkowe, teatr, film, literaturę, taniec, twórczość audiowizualną oraz twórczość ludową", a każde z tych pojęć jest mniej, bardziej lub bardzo rozciągliwe.

Weźmy np. sztuki wizualne. Obejmują one klasyczne dziedziny, takie jak malarstwo, grafika czy rzeźba, oraz nowe zjawiska, jak instalacja czy performance. Przykładami czegoś, co dziś niektórzy nazywają sztuką, co klasyfikują jako sztuki performatywne, może być występ łysego, grubawego jegomościa po sześćdziesiątce, który paraduje przed tłumem w rajstopach, gaciach (albo i bez nich), który maluje sobie klatkę piersiową, okleja się folią i wyczynia jeszcze inne dziwactwa mogące świadczyć o nie najlepszym samopoczuciu. I nie, nie zmyśliłem tego, taką „sztukę" uprawia Krzysztof „Leon" Dziemaszkiewicz, a podoba się ona ludziom wpływowym w polskiej kulturze na tyle, że ten człowiek był ich dumnym reprezentantem w Berlinie, gdzie goły tyłek faceta w butach na obcasie stał się częścią programu kulturalnego wspierającego prezydencję Polski w Radzie Unii Europejskiej.

Czy zatem obok ludowych skrzypków, śpiewaczek, hafciarek podtrzymujących zanikające tradycje – którzy rzeczywiście mogą potrzebować wsparcia i którym się ono należy – powinniśmy w jednym rzędzie ustawiać architektów i dziennikarzy?

A dorobek Jasia Kapeli? Wszak otrzymał on roczne stypendium z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, 5000 zł brutto miesięcznie, „na pisanie piosenek do musicalu o historii zakazania aborcji w Polsce". Dumny z siebie artysta (w programie stypendialnym zdobył 90 pkt na 100 możliwych) wysłał do „Super Expressu" fragmenty wierszy, które w ramach stypendium już napisał: „Jako matka boska jestem radosna. Lecz gdy się wkurzę, to bójcie się chu... Spadacie do zsypu, nie przyjdzie wiosna. Najpierw was opluję, potem abortuję".

Jeśli sztuka ma wartość, to artysta też powinien ją mieć – również wtedy, gdy przestaje tworzyć. Każda złotówka mądrze wydana na kulturę (a zatem i na twórców) jest dobrą inwestycją. Ale niech to będą pieniądze wydane na wartościową kulturę i prawdziwych artystów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 025d2d1ac6

FOT. WOJCIECH SZUBARTOWSKI/POLSKA PRESS/EAST NEWS

Letnie widowiska poza schematem

Grzegorz Kondrasiuk

Wakacje to czas, kiedy teatr opuszcza budynki, rozprzestrzeniając się w miejsca nieoczywiste. Przyjrzyjmy się najciekawszym propozycjom plenerowym

Polska regionalna i lokalna potrafi niejednym zaskoczyć. Proponuję zatem krótki przegląd festiwali „trochę innych", choć przy okazji wakacyjnych eksploracji samemu warto sprawdzić, co nieoczywistego dzieje się w odwiedzanych miejscach. Standardem są miejskie festyny pokazujące uroki lokalnego kolorytu, ale są też miejsca tworzone przez zapaleńców i warte odwiedzenia, które koloryt ten wytwarzają w ramach uprawiania albo wspierania różnych odmian sztuki.

Na Białostocczyźnie, dzięki obecności silnego i produktywnego środowiska teatrów offowych i lalkowych, odbywają się niepowtarzalne, na wysokim poziomie artystycznym spotkania z twórcami pracującymi w materii teatru formy – i to niekoniecznie tylko dla dzieci. Na przełomie lipca i sierpnia w miasteczkach regionu odbywa się wędrowny festiwal Wertep. Na finał (22–24 sierpnia) warto zajrzeć do Kleszczeli, Nurca i Hajnówki, gdzie w kolejowych okolicznościach Stacji Kultura siedzibę ma organizujące Wertep Stowarzyszenie Kulturalne „Pocztówka". Inny niezależny ośrodek – Siedlisko Kultury Solniki 44, założone przez Grupę Coincidentia, znane z eksperymentalnych spektakli lalkowych – zaprasza na LasFest. Solniki 44 w lesie sąsiadującym z Puszczą Knyszyńską mają własną, profesjonalną scenę teatralną. Zapraszają na międzynarodowy LasFest2025 (8–15 sierpnia), którego patronem w tym roku jest… Nietoperz. W programie m.in. premierowy spektakl „Ubu Król" (koprodukcja grup Coincidentia i Chorea), „Nosferatu – dziennik zarazy" Teatru Łątek z Supraśla, „Pupile" białostockiej filii Akademii Teatralnej, „Superheroes" (Coincidentia/Figurentheater Wilde & Vogel), pokazy filmowe, warsztaty (np. tworzenia teatru cieni) czy koncerty do zachodu słońca i spadających gwiazd grup Transkapeli i Beryllium.

Na początku lipca w podwarszawskim Brwinowie wystartował festiwal Stowarzyszenia Teatr Na Pustej Podłodze. Odbywa się on, już od pięciu lat, na… miejskim targowisku. Scena Letnia dla Dzieci im. Jadwigi Warnkówny pokazuje autorskie, unikatowe propozycje, do końca wakacji jest okazja do spotkania z teatrami z Poznania (TeatRyle), Rzeszowa (Nemno), Lądka-Zdroju (Akademia Wyobraźni).

Także w metropoliach teatr opuszcza budynki, rozprzestrzeniając się w miejsca nieoczywiste. W Poznaniu odbywa się Festiwal Teatrów Podwórkowych (21–24 sierpnia), z programem dla dzieci i młodzieży, w Warszawie jak co roku repertuar muzyczno-teatralny ma Zamek Królewski (Festiwal Arkady Sztuki, 1–30 sierpnia), w Trójmieście i na całym Wybrzeżu przez całe wakacje pracuje właściwie każda instytucja kultury, w Katowicach odbywa się Letni Ogród Teatralny, trwająca do końca sierpnia impreza z dużymi tradycjami i bogatym programem.

Wśród sierpniowych plenerowych propozycji operowych uwagę zwraca nowa impreza o znaczącej nazwie Break in Classic. Festiwal stworzyli Jakub Józef Orliński (młody kontratenor o światowej sławie) wraz z kompozytorem i pianistą Aleksandrem Dębiczem. W malowniczym parku barokowego pałacu Bielińskich w Otwocku Wielkim (Muzeum Wnętrz, placówka Muzeum Narodowego) w dniach 15–17 sierpnia wystąpi, obok obu dyrektorów artystycznych, prawdziwa plejada wykonawców, m.in. Il Giardino D'Amore, duet Lucie Horsch–Plínio Fernandes, francuski mistrz bandoneonu William Sabatier czy Atom String Quartet.

Wreszcie – last but not least – warto wspomnieć o propozycjach cyrkowych. Mamy dziś renesans cyrku, nie tylko ulicznego (tzw. buskerzy albo highlinerzy, chodzący po rozpiętych na ulicami taśmach) albo w formie dużych widowisk, granych pod namiotem, lecz także na teatralnych scenach. Na festiwalach (np. w Lublinie, na Carnavalu czy Cyrkulacjach) pojawiają się spektakle tworzone w bardzo ciekawym nurcie zwanym cyrkiem nowym lub współczesnym, a polscy artyści nowego cyrku często występują na regionalnych imprezach i festynach, niekoniecznie z prostymi, rozrywkowymi i widowiskowymi formami (choć takich też nie brakuje). Ambitny, wielowymiarowy program mieszczący wszystkie wspomniane wyżej formaty przygotował festiwal OFCA, odbywający się w podwrocławskiej Oleśnicy (15–17 sierpnia), gdzie przyjedzie światowa czołówka artystów żonglerki, akrobatyki i klownady, m.in. Fabrizio Roselli i Wes Peden. ©℗

eprasa.pl 025d2d1ac6

Ministerstwo Kultury na nowej drodze życia

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Remigiusz Włast-Matuszak

Po stylu działań i zarządzania MKiDN w ciągu kilku tygodni dowiemy się, jaka będzie w praktyce polityka nowej minister kultury. Wyzwań nie brakuje

Przeżyłem „w kulturze" 33 ministrów. Pierwszym był partyjny stupajka z moczarowskiego skrzydła PZPR Stanisław Wroński – lata 1971–1974. Zachowałem szacunek dla „wyważonego w decyzjach" Józefa Tejchmy, który wicepremierem i ministrem kultury był w latach 1974–1978 i 1980–1982. Zupełnie bezbarwni byli tacy szefowie kultury jak Jan Mietkowski czy Zygmunt Najdowski. Po 1989 r. źle zapamiętałem Kazimierza Michała Ujazdowskiego w latach 2000–2001 i 2005–2007 oraz Bogdana Zdrojewskiego w latach 2007–2014 i oczywiście ppłk. Bartłomieja Sienkiewicza (13 grudnia 2023 r –14 maja 2024 r.), który bezprawnie i siłowo przejął TVP, Polskie Radio i PAP.

Ostatnio po reanimacji rządu koalicji 13 grudnia ppłk Sienkiewicz udzielił wywiadu redaktorowi Marcinowi Fijołkowi w Polsat News, w którym stwierdził, że ostatni rok to rok stracony dla działań rozliczających PiS, a zaniechanych tak przez ministra Bodnara, jak przez innych szefów resortów, a więc i odchodzącą „ministrę" kultury.

W Pałacu Prezydenckim w obecności prezydenta RP Andrzeja Dudy premier Tusk, wygłaszając bezczelny i pełen totalnych kłamstw monolog sceniczny, chwalił przez kilka minut odchodzącego ministra sprawiedliwości Adama Bodnara i nawet minister Leszczynę. Osobiście wyczekiwałem, co oznajmi narodowi na temat zdymisjonowanej szefowej MKiDN Hanny Wróblewskiej.

Premier Tusk oświadczył: „Objęła pani urząd w czasach zamętu, gdy podstawowe instytucje kultury były i noszą do dzisiaj blizny po ośmiu latach deptania wolności słowa i pluralizmu mediów i udało się pani to zrealizować". Premier Tusk mówił z głowy, a więc z niczego, i dlatego niektóre pochwały uległy niezamierzonej zbitce słownej.

SKANDALIKI I SKANDALE

Litości, panie Tusku. Przez rok pani Hanna Wróblewska odwołała, zrywając kadencję, ok. 40 szefów placówek kulturalnych. Zaczynając od Muzeum Historii Polski, Muzeum Narodowego itd. Jej „osiągnięcia" w skrócie, to: zaczynając od fatalnej antypolskiej polityki historycznej, poprzez cofnięcie dotacji kilkudziesięciu niezależnym redakcjom i wydawnictwom, aż do głośnego skandalu w Polskim Instytucie Sztuki Filmowej związanego z odwołaniem po czterech miesiącach urzędowania dyrektor Karoliny Rozwód.

Większy skandal „w kulturze" wywołała tylko w 1974 r. ministrowa Wrońska, przyłapawszy towarzysza Wrońskiego w jego gabinecie z kochanicą. Minister Wroński szarpany i głośno lżony salwował się ucieczką do samochodu na podwórku MKiSz, jednak małżonka uwiesiła się drzwi limuzyny i spory kawałek była wleczona po mokrym bruku. Obdarta i podrapana dobiegła do autobusu na Krakowskim Przedmieściu i dalej płacząc, dojechała aż do gmachu KC PZPR, gdzie rozganiając straże, wdar-

eprasa.pl 025d2d1ac6

ła się do wnętrza i poinformowała całe zbiegowisko, kim jest minister Wroński. Jako że Komitet Centralny nie tolerował takich niemoralnych zachowań w partii, natychmiast odwołano ministra Wrońskiego z funkcji szefa MKiSz. Towarzysz Wroński został za karę dożywotnim przewodniczącym Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

W skandalu z 2024 r. w PISF, poza bezprawnym odwołaniem Karoliny Rozwód, miał również „erupcję" wątek obyczajowy. Otóż małżonka wiceministra kultury Andrzeja Wyrobca, po publikacji na oficjalnej stronie MKiDN zdjęcia wiceministra obejmującego dyrektor Kamilę Dorbach, wezwała Andrzeja Wyrobca do szybkiego powrotu na łono rodziny. Co też uczynił, składając 31 grudnia 2024 r. nagłą dymisję i wracając do Krakowa na deski teatru Bagatela.

„MINISTRA" W KINIE

24 lipca 2025 r. nową „ministrą" kultury i dziedzictwa narodowego została „politolożka" i „menedżerka" kultury Marta Cienkowska, która od 20 grudnia 2023 r. była podsekretarzem stanu w MKiDN i nadzorowała trudne oraz ważne departamenty: Departament Funduszy i Spraw Europejskich oraz Departament Współpracy z Zagranicą. Oficjalna strona MKiDN anonsuje nowego szefa kultury jako „ministrę", więc przełknijmy ten feminatyw. Pani „ministra" urodziła się i wychowała w spokojnym Ciechanowie, ma 37 lat. Marta Cienkowska była odpowiedzialna za cyfrową transformację sektora kultury (udanie rozpoczął ją wiceminister Paweł Lewandowski w 2019 r.), zrealizowała kilkaset projektów kulturalnych w kraju i za granicą oraz była producentką wielu spektakli teatralnych w Niemczech, we Francji i w Chinach. (Podlizuję się bezwstydnie pani „ministrze"? Oczywiście, że tak. Chciałbym bowiem zostać jej podsekretarzem stanu do spraw kinematografii. Są ku temu przesłanki! Na naszych oczach partia Polska 2050 zaczyna zbliżać się w „założeniach politycznych" do Prawa i Sprawiedliwości i w najbliższych dniach marszałek Szymon Hołownia może akceptować „Deklarację Polską".)

Poza cyfryzacją Marta Cienkowska finalizuje duże i pilnie wyczekiwane przez środowiska kulturalne trzy projekty, w tym ustawę medialną. Po stylu działań i zarządzania MKiDN w ciągu kilku tygodni dowiemy się, jaka będzie w praktyce polityka nowej „ministry". Martę Cienkowską czeka lawina spraw bieżących. Już wciągu kilku dni nowy gabinet polityczny i sekretariat zostaną zasypane prośbami twórców oraz „tfurców" o pilne audiencje, o dotacje, o jeden podpis zapewniający im dalszą karierę. Wielki krzyk o KASĘ! Z konkretów Martę Cienkowską czeka udział w 50. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni (22–27 września), a nawet konfrontacja z nim. Po niespodziewanej śmierci długoletniego i wysoce sprawnego organizacyjnie oraz dyplomatycznie dyrektora Leszka Kopcia sześć kucharek organizujących obecnie FPFF postanowiło, by nie wybierać dyrektora festiwalu. One same świetnie go wypichcą. Dyrektora nie ma i nie będzie dopóty, dopóki minister Cienkowska go nie wybierze, by ratować festiwal. Na FPFF z 52 zgłoszonych filmów fabularnych zobaczymy 16, w tym 12 wyłonionych przez dyrektor artystyczną i tajną komisję selekcyjną, oraz cztery filmy dołączone decyzją MKiDN (dyrektor Dydo). Będzie też osiem filmów w Konkursie Perspektywy, tak że pozostałych 28 filmów fabularnych nie zobaczymy, by móc stwierdzić, z jakich powodów je odrzucono.

Otwierając czy wręczając Złote Lwy na zakończeniu FPFF Marta Cienkowska będzie musiała skonfrontować się z „polityczką" i realizatorką doktryny „żeby było tak, jak było" Agnieszką Holland, która zaprezentuje swoje najnowsze dzieło, czyli film pt. „Franz Kafka". Odbierając Złote Lwy z rąk minister Cienkowskiej, Agnieszka Holland wygłosi zapewne tradycyjne orędzie polityczne krytykujące „brunatny" PiS oraz premiera Donalda Tuska za opieszałość, a nawet zdradę zielonej granicy, brak ustawy aborcyjnej i uznania małżeństw jednopłciowych oraz w obronie demokracji, o której Holland pisała w interwencyjnym liście z lipca 2021 r. do Kamali Harris. Sugerowałbym pani „ministrze", by film Holland umieścić poza konkursem, jako otwierający FPFF w Gdyni, a Złote Lwy przyznać zasługującym na to filmom: superprodukcji „Chopin, Chopin!" w reżyserii Michała Kwiecińskiego lub wyśmienitej „Wielkiej Warszawskiej" Bartłomieja Ignaciuka. Czytałem scenariusze wszystkich wyżej wymienionych filmów i o ile „Chopin, Chopin" oraz „Wielka Warszawska" są świetne, o tyle „Franz Kafka" jest filmem „kolażowym", składającym się z 35 retrospekcji. Pretensjonalny koszmar. Prawie tak samo zakalcowaty jak „Zima pod znakiem wrony" zrealizowany przez córkę Agnieszki Holland – Kasię Adamik (Katarzyna Maria, lat 54). Brakuje tylko kolejnego Golema dla dzieci autorstwa ich siostry i ciotki w osobie Magdaleny Łazarkiewicz.

Zderzenie minister Marty Cienkowskiej z finansowymi żądaniami rodziny Agnieszki Holland i wpływowej dyrektor Gołdy Tencer (budowa Teatru Żydowskiego, najchętniej przy Marszałkowskiej obok klocka Muzeum Sztuki Nowoczesnej) może zrujnować budżet MKiDN. Ledwie przetoczą się Złote Lwy, a tu już wiosną nadlecą Polskie Orły i gala w Teatrze Polskim u dyrektora Seweryna (tego, który wzywał, by nam wszystkim „przy….dolić, a karierę zaczynał w Czerwonym Harcerstwie u Jacka Kuronia). Potem trudny konkurs na dyrektora Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych przy ul. Chełmskiej itd., itp.

MEDIA I KULTURA LUDOWA

Po kinematografii problemy z TVP, Polskim Radiem i PAP. Ponoć Donald Tusk zabronił „ministrze" wtrącać się w sprawy mediów w likwidacji, ale mam pewność, a czas to pokaże, że dłużej klasztora niż przeora. Wszystkie inne działy kultury – muzealnictwo, teatr, filharmonie, szkoły artystyczne – czekają na „rekonstrukcję" po fatalnych, nieprzemyślanych decyzjach minister Wróblewskiej.

Na koniec kultura ludowa. W Bułgarii, na Węgrzech, w Czechach, na Słowacji, w Rumunii, na Bałkanach kultura ludowa jest stale atrakcyjna, powszechna i cieszy się społecznym uznaniem. W Polsce ludowość to „obciach" – pojęcie skutecznie narzucane przez demoliberalną lewicę. Apeluję do pani minister o okazanie uwagi i wsparcia polskim zespołom ludowym, muzycznym i tanecznym, nie tylko wielkim, powszechnie uznanym, lecz także tym małym, amatorskim z przysłowiowej Mszany Dolnej. Jeśli coś ma uratować polską kulturę, język i obyczaj, to właśnie upowszechnianie naszej polskiej kultury ludowej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 025d2d1ac6

FOT. WARNER BROS. ENTERTAINMENT INC.

Imigrant ze stali

Piotr Gociek

Czy potrzebowaliśmy nowego filmu o Supermanie? Być może. Ale nie takiego

Odłóżmy na chwilę wszelkie czysto merkantylne powody i kalkulacje stojące za najnowszym dokonaniem reżysera Jamesa Gunna. Udawajmy przez moment, że nie interesują nas wyliczenia księgowych, rozbuchane kinowe franczyzy i rywalizacja między dwoma wielkimi komiksowymi imperiami (ach, jak bardzo DC Studios zazdrości Marvelowi fortuny zarobionej na Marvel Cinematic Universe). Bo przecież ostatecznie to, czy film nas porusza czy nie, zależy przede wszystkim od tego, czy ma duszę, a ta zwykle objawia się w kinie tylko wtedy, gdy twórca głęboko wierzy w swój projekt, uważa, że świat byłby gorszy bez niego, i przelewa w projekt serce, duszę, marzenia, umiejętności.

Jeśli zatem zgodzimy się, że postacie herosów nas fascynują, a nasze marzenie o wielkich bohaterach nigdy nie umiera, potrzebowaliśmy nowego filmu o Supermanie. Tak jak potrzebujemy i będziemy zawsze potrzebować filmów o Achillesie, Aleksandrze Wielkim, Napoleonie – mityczni czy realni, ci, którzy są „larger than life" i ich dzieje zawsze będą doskonałym źródłem rozrywki, a często i zadumy. Co ważniejsze – zwierciadłem, w którym przyglądać się możemy własnym cnotom i wadom. Problem polega na tym, że nie potrzebowaliśmy takiego filmu o Supermanie, jaki nakręcił James Gunn, gdyż jest to wersja, w której skupiają się wszystkie negatywne tendencje niszczące współczesne kino popularne.

UCZŁOWIECZANIE HEROSÓW

Kiedy kino o mitycznych herosach (zgódźmy się – Superman jest bohaterem jednego z najsilniejszych XX-wiecznych mitów) ma sens i coś w nas porusza? Po pierwsze wtedy, kiedy z jednej strony dotyka czegoś archetypicznego, obaw, nadziei bardzo głęboko w nas zakorzenionych, wręcz pierwotnych. Po drugie, gdy możemy jednocześnie widzieć w herosach nasz własny obraz – wady mitologicznych bohaterów czyniące ich bardziej ludzkimi były tu bezcenne. Był Achilles bohaterem wielkim, był mistrzem bitewnego fachu, był niezwyciężony, a zarazem gniewny, zazdrosny czy głęboko przygnieciony żałobą po śmierci Patroklesa lub zakochany w Bryzeidzie.

Uczłowieczanie herosów musi mieć jednak granice, gdyż kiedy stają się po prostu zwyczajni, przestają być interesujący. Wpadli w tę pułapkę twórcy Marvel Cinematic Universe, bo w filmach z ostatnich lat pogawędki sprzymierzo-

eprasa.pl 025d2d1ac6

nych superbohaterów i ich wzajemne relacje ocierają się o parodię – to nieraz dialogi rodem z telenowel, jakby wszyscy razem żyli w jednej bursie dla niezbyt rozwiniętych emocjonalnie osobników. James Gunn (który wcześniej kręcił z sukcesem filmy dla Marvela) w „Supermanie" balansuje na granicy, za którą superheros dotknięty rozterkami staje się już irytujący.

A co z komponentem superbohaterskim? Co z owym wymiarem mitycznym? Głównym wrogiem Supermana jest u Jamesa Gunna wstrętny wynalazca i bogacz Lex Luthor, który zaprzęga całą swą fortunę, naukowy talent i całe swe łotrostwo, by konkurenta z Kryptona pokonać i zniszczyć. Czyni to za pomocą intrygi, która prowadzi nas do kolejnego wielkiego problemu z filmem Gunna: do polityki.

Uczłowieczanie superbohaterów poprzez politykę to zadanie bardzo ryzykowne. Ryzykowne nawet w przypadku zwykłych bohaterów: nie chcielibyśmy słuchać Odyseusza przemawiającego na mityngu Partii Jedności Achajów – takie rzeczy sprawdzają się jedynie w komediach (patrz: spory Żydów w „Żywocie Briana" grupy Monty Pythona). W „Supermanie" polityka pojawia się zarówno w wymiarze wewnętrznym, jak i międzynarodowym. Niestety, w sposób bliźniaczo podobny do tego, jak wykorzystana została w Marvel Cinematic Universe. To znaczy – po pierwsze pojawia się problem prawnej (a nawet karnej) odpowiedzialności superbohaterów za swoje czyny. Cóż z tego, że Superman ratuje przed eskalacją wojenną odległy dziki kraj (oczywiście Europy Wschodniej, jakżeby inaczej), kiedy łamie przy tym prawo międzynarodowe, nie mówiąc już o tym, że nie konsultuje swej interwencji z Departamentem Stanu czy prezydentem.

W filmie Marvela „Kapitan Ameryka: Wojna bohaterów" („Captain America: Civil War", 2016) główną kontrowersją napędzającą fabułę był spór między lojalistami a niezależnymi – ci pierwsi superherosi godzili się na nadzór rządowy, ci drudzy chcieli działać niezależnie, więc trafili do specjalnego więzienia. Myślę, że nie jestem jedynym widzem, który maszerując do kina na popcornowy blockbuster, wolałby na ekranie nie widzieć tak wątpliwych atrakcji. W filmie Jamesa Gunna siłą napędzającą akcję antysupermanową jest Lex Luthor wykorzystujący lęki i ambicje władzy politycznej. Oraz zmutowane małpy piszące fake newsy w Internecie (cóż za subtelna metafora).

Warto zauważyć, że owe dalekie kraje, których dotyka wojna, nie tylko zwykle leżą gdzieś w Europie Wschodniej czy na granicy Europy i Bliskiego Wschodu, lecz także wyglądają jak skrzyżowanie Mołdawii z Palestyną, czasem okraszone zdjęciami kamieniczek w Estonii czy tramwajów w Belgradzie. Owo „zagraniczne nigdzie" ukazywane jest przez Hollywood poprzez dwa filtry: nieznośnej liberalnej wyższości oraz interwencjonizmu/kolonializmu w wydaniu superbohaterskim. I to jest ów drugi, międzynarodowy wymiar polityki w nowym „Supermanie", filmie – znów to podkreślę – zadziwiająco podobnym w tych kwestiach do najmniej ciekawych pomysłów z uniwersum kinowego Marvela.

NOWE FILMOWE UNIWERSUM

Jakby tego było mało, James Gunn nakręcił blogosferę tudzież zajmujących się rozrywką dziennikarzy (a są oni wszak osobnikami wielbiącymi Kamalę Harris i Baracka Obamę, nienawidzącymi zaś Donalda Trumpa) deklaracjami o ważnym przesłaniu nowego „Supermana". Że niby, widzicie, łatwo jest nakręcić falę nienawiści wobec przybysza z Kryptona, gdyż jest on imigrantem (skoro już idziemy w taką narrację, to dopiszę: nielegalnym imigrantem, w końcu nikt go oficjalnie na Ziemię nie wpuszczał). Na YouTube obejrzeć można serię żenujących występów amerykańskich reporterów (zwłaszcza osobnika z branżowego „Variety"), którzy zamiast pytać o film, podsuwali reżyserowi i aktorom pod nos mikrofony, domagając się wypowiedzi o tym, czy są dumni, że wkurzyli w ten sposób zwolenników MAGA.

Ciekaw jestem, kiedy twórcy Hollywood odkryją, jak fatalną pułapkę przygotowali sami na siebie. Poniesieni falą liberalnego wzmożenia, koniecznością walki z rzekomą dyktaturą, ksenofobią, homofobią i czym tam chcecie zamienili już jakiś czas temu swoje filmy

REŻ. JAMES GUNN „SUPERMAN" USA 2025

w partyjne trybuny. Gdy okazało się, że nie jest to biznesowo najmądrzejszy ruch (vide: kłopoty koncernu Disneya), zaczęli się z tego wycofywać tylko po to, by odkryć, że wycofać się nie mogą, bo stworzony przez nich golem – rozrywkowi amerykańscy „silni razem" od filmu, telewizji i innych przejawów kultury popularnej – domaga się: Więcej! Mocniej! Bardziej aktualnie!

James Gunn zatrudniony został przez koncern DC, by stworzyć od podstaw nowe filmowe uniwersum z udziałem najważniejszych komiksowych bohaterów tej korporacji – Supermana, Batmana, Wonder Woman itd. Wcześniej dla Marvela nakręcił dwa filmy „Strażnicy Galaktyki". Jego znakiem firmowym są sztubacki humor, wartka akcja, stylistyczny eklektyzm, na pewno bliżej mu do Taikiego Waititi niż J.J. Abramsa.

Z jednej strony takie podejście do opowieści o Supermanie jest uprawnione. Pamiętam pierwsze komiksy o przybyszu z Kryptona, które czytałem w latach 80. (zwykle były to małe zeszyciki przywożone z RFN). W porównaniu z komiksami Christy, Rosińskiego, Baranowskiego czy Papcia Chmiela, na których się wychowywałem, wydawały mi się te przygody Supermana bardzo głupiutkie i na siłę zabawne (tak, latał w nich wokół Człowieka ze Stali ten sam piesek Krypto, którego zobaczycie w filmie). James Gunn próbuje wskrzesić to dziecięce niemal podejście do tematu w wielu scenach (najczęściej tych z udziałem robotów sług Supermana), ale wszystko to nijak nie składa się z zadęciem politycznym obecnym w innych scenach.

Powstała sieczka, kolorowa sieczka, w której mało co do siebie pasuje. I tylko aktorów szkoda: David Corenswet jako Superman ma w sobie coś uroczo chłopięcego, coś, co przypomina Christophera Reeve'a. Nicholas Hoult jako Lex Luthor jest znakomity, sprawdziłby się jako łotr w którymś z „Bondów". Ot, wszystko. Reszta to rutyna. Marzenie księgowych o nowym źródle dochodów. Dowód nie tylko na to, że współczesna popkultura zjada własny ogon, lecz także na to, że nie potrafi go już nawet dobrze przyprawić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 025d2d1ac6

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Nowe życie

★★★★★★

SEZON 4
„THE BEAR"
USA 2025

wyst. Jeremy Allen White, Ebon Moss-Bachrach, Ayo Edebiri

Ostatni odcinek czwartego sezonu „The Bear" przejdzie do historii telewizyjnej rozrywki – to znakomita robota, rzecz świetnie napisana i zagrana. To także logiczne, emocjonalnie satysfakcjonujące i niegłupie zamknięcie całej historii. Niepotrzebna więc zdaje mi się zapowiedź dokręcenia wkrótce sezonu piątego.

Podróż mistrza kuchni Carmena „Carmy'ego" Berzatto (wciąż świetny Jeremy Allen White) dobiega końca. O co w niej chodziło? Nękany wyrzutami sumienia wrócił do rodzinnego miasta, porzucając wielką karierę w najlepszych restauracjach świata. Zamienił blichtr Nowego Jorku na nędzną jadłodajnię, którą prowadził tragicznie zmarły brat (gra go Jon Bernthal). Relacja ich łącząca była mocno skomplikowana, tak naprawdę zbliżamy się do jej zrozumienia dopiero w otwierających sezon czwarty retrospekcjach.

Pierwszy sezon „The Bear" był znakomity, drugi niewiele gorszy, trzeci niepotrzebny i przeciągnięty, w czwartym znów mamy do czynienia z jednym z najlepszych seriali ostatnich lat. Jego przesłanie podobne jest do tego, które dostaliśmy ostatnio od Jamesa Mangolda w „F1: Film" – mamy oto grupę ludzi, którzy współpracują ze sobą, bo chcą być lepsi, bo szukają drugiej szansy, bo sami chcą sobie stworzyć lepsze miejsce na świecie. Jednocześnie jest to opowieść o tym, jak bardzo sami komplikujemy sobie sprawy najprostsze – relacje rodzinne, związki z przyjaciółmi – kiedy żyjemy w kłamstwie. Nie jest to jakieś wielkie kłamstwo, po prostu kłopot z przyznaniem przed samym sobą, czego tak naprawdę pragniemy.

Mądrość tkwi tymczasem także w tym, by wiedzieć, kiedy odpuścić, by wiedzieć, kiedy marzenie, które nas napędza, zamienia się w niebezpieczne uzależnienie, w pogoń za mrzonką. Nie oznacza to, że mamy żyć w rezygnacji i ćwiczyć się w przegrywaniu – chodzi po prostu o to, by wybierać bitwy, które toczyć warto, i odróżniać je od batalii, na które czasu i sił marnować nie powinniśmy. Jeżeli to, czego pragniesz, czyni cię nieszczęśliwym, to może po prostu pragniesz rzeczy niewłaściwych? Główni bohaterowie „The Bear" będą musieli przyswoić sobie tę lekcję. ©℗

GRA TYGODNIA: „DONKEY KONG: BANANZA" ★★★★★★

Donkey Kong wdziera się na Switcha 2 przebojem i z miejsca staje się pozycją obowiązkową. Także dlatego, że to dopiero duży ekskluzywny tytuł na nową konsolę Nintendo. A jako taki nie mógł być nieudany. Mamy tu wszystko, czego po tym tytule oczekiwaliśmy: przemyślane i ciekawe poziomy, pomysłowe zagadki i dużą grywalność. Kamera czasem potrafi się zgubić, być może twórcy poprawią to w jakiejś łatce. I to – oprócz braku polskiej wersji językowej, tu nic się niestety u Nintendo nie zmienia – w zasadzie jedyne poważniejsze mankamenty nowego „DK". ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** ***zręcznościowe***
- ***Platforma:*** ***Nintendo Switch 2***
- ***Producent, wydawca PL:*** ***Nintendo; ConQuest***

eprasa.pl 025d2d1ac6

Poeta obrazu

arte

Federico Fellini i Sofia Loren najbardziej kojarzą się ze złotą epoką włoskiego kina. Urodzony 100 lat temu Carlo Di Palma rzadziej udzielał wywiadów, lecz był równie wpływową postacią. Syn kwiaciarki żartował, że wychował się w studiu filmowym, bo ojciec naprawiał kamery, a wuj dochrapał się stanowiska w jednej z wytwórni. Carlo terminował u Viscontiego i przyłożył rękę do powstania arcydzieł neorealizmu („Rzym: miasto otwarte", „Złodzieje rowerów"). Skrzydła rozwinął w duecie z Michelangelo Antonionim. Po sukcesie „Czerwonej pustyni" i „Powiększenia" kusiło go Hollywood, ale kalifornijską fabrykę snów postrzegał jako molocha tłumiącego kreatywność.

Di Palma wyreżyserował trzy komedie, których gwiazdą była jego ówczesna partnerka, Monica Vitti. Mistrzowskie papiery zdobył, jednak pracując z kamerą. W dawnej Italii najbardziej utalentowanych rzemieślników zaczęto w pewnym momencie nazywać artystami. W branży filmowej podobny awans stał się udziałem autorów zdjęć. Di Palma miał nader rozwinięty zmysł estetyczny. Jako jedno ze źródeł inspiracji wymieniał „Sąd ostateczny" Michała Anioła. Obejrzał ten fresk z najbliższej odległości, dokumentując proces renowacji. Sam też malował, ale obrazem. Znakami rozpoznawczymi współpracownika Antonioniego były elegancja i finezja, bezbłędne operowanie światłocieniem i kolorem. Miał również szacunek do literatury, zawsze czytał scenariusze. Lubił aktorów. Tworzył im przestrzeń i nie żałował zbliżeń. Jak przystało na Włocha, był przyjazny w obyciu. Hołdował przekonaniu, że na planie powinna panować rodzinna atmosfera.

Półtoragodzinny dokument, wbrew tytułowi, koncentruje się raczej na twórczości niż biografii Di Palmy. Zbudowany jest ze wspomnień jego bliskich, współpracowników (część z nich już nie żyje) oraz wypowiedzi samego bohatera. Unika kontrowersji, przez co można odnieść wrażenie, że kiedyś branża filmowa składała się z samych samarytan.

W wieku, w którym inni myślą o emeryturze, Di Palma zaczął współpracować z Woodym Allenem i na 10 lat porzucił ojczyznę. Wtedy też zdradził swój sposób na sukces: wystarczy unikać rutyny. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. FARIBORZ KAMKARI

„WODA I CUKIER: CARLO DI PALMA, KOLORY ŻYCIA" („ACQUA E ZUCCHERO. CARLO DI PALMA, I COLORI DELLA VITA")

WŁOCHY 2016

W OKU CYKLONU

KINO

Karel relacjonował wojnę w Afganistanie i pomarańczową rewolucję w Kijowie, lecz domniemana zdrada narzeczonej sprawia, że traci zimną krew. Zamiast monitorować zamieszki w emiracie dysponującym bronią jądrową, cichaczem wraca do Pragi. Szefostwo domaga się świeżych informacji, więc korespondent zaczyna je zmyślać. Satyra na czwartą władzę? Chybiona, bo konfabulacje są najmniejszym z grzechów dzisiejszych mediów. Hřebejk wyszydza promowanie idiotyzmów i spiskowych teorii, natomiast problem dziennikarzy sprzedajnych, jedzących z ręki politykom, służbom specjalnym oraz bogaczom nie interesuje go wcale. W efekcie popełnił tępą farsę, w której ostoją demokracji jest… szkoła. „Swojej prawdy zawsze trzeba bronić" – śpiewają nauczyciele. Niestety wiara, że poczciwość kiedyś spotka się z rozumem, z wiekiem przechodzi. ©℗

★★☆☆☆☆

REŻ. JAN HŘEBEJK

„STAN WYJĄTKOWY" („VÝJIMECNÝ STAV")

CZECHY 2024

Ondřej Vetchý, Tatiana Dyková, Jordan Haj

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Powrót do domu

Uważam, że powinniśmy rozbudzać piękno wśród ludzi. Może, gdy trafi do ich serc, mniej będzie egoizmu, sobkostwa, znieczulicy i cwaniactwa. Mnie się zdaje, że człowiek o złym sercu nie może kochać piękna i sztuki" – mówił rzeźbiarz ludowy Jarosław Furgała. Czy może być lepszy powód, by tworzyć?

Sam zaczął rzeźbić w drugiej połowie długiego (1919–2020) życia. Pierwsza była skomplikowana, bo i czasy takie były. W jego twórczości dominowała tematyka sakralna. Artysta traktował dłuto jak różaniec – rzeźbienie było dla niego formą modlitwy. Dwie „wymodlone" przez niego figury trafiły w ręce Jana Pawła II, z którym rzeźbiarz miał okazję dwukrotnie się spotkać.

Furgała większość życia spędził w dolnośląskiej wsi Polwica, ale urodził się w Lubaczowie.

FOT. MUZEUM KRESÓW W LUBACZOWIE

Wystawa w tamtejszym Muzeum Kresów jest więc powrotem do domu. – Na wystawie zobaczymy rzeźby przedstawiające postacie i wydarzenia, które były dla niego szczególnie ważne – ujęte tak, jak je zapamiętał – mówi kuratorka Marta Derejczyk. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Kresów w Lubaczowie***
KIEDY? ***do 1 lutego 2026 r.***

eprasa.pl 025d2d1ac6

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Polski dokument osobisty

Takich pytań, jak to postawione w tytule książki, dziś się nie stawia. Znasz dwie zwrotki hymnu? I wystarczy. Masz być Europejczykiem, a szkoła, polska szkoła, zadba o to, byś wiedział wszystko o seksie i Holokauście. Od tego są nauczyciele. Ktoś taki jak Czesław Kurek jawi się niczym dinozaur z jakiejś prehistorycznej epoki, w której dzieciom wbijano do głów, że tę ziemię, na której żyją, zdobyto „krwią i blizną".

Kim był Czesław Kurek? Pochodził z Myślenic, a dokładnie z Górnej Wsi. To tam żył i umarł Andrzej Średniawski, jeden z trzech pierwszych posłów chłopskich w Sejmie Galicyjskim, w wolnej Polsce senator Rzeczypospolitej. To o nim Witos mówił, że był sumieniem Stronnictwa Ludowego. Jego historia zajmuje niemałą część wspomnień Czesława Kurka. Ale poświęca wiele uwagi i innym postaciom, które zaważyły na życiu tamtej małej społeczności, jak np. ks. Płaziak: „[...] spowiadał bez przerwy od pierwszej mszy świętej aż do końca sumy. Zawsze spokojny, cichutki, chociaż szli do niego i najwięksi grzesznicy z niejednej parafii, jak też i nieskromne panny z najdalszej okolicy, a wszyscy tonęli w wielkiej zawsze u niego ciżbie.

Jedno tylko przy tym powodowało zakłopotanie – przed rozgrzeszeniem zawsze pytał:

– A kochasz ty Polskę?".

Płaziak to nie było jego prawdziwe nazwisko. Ten były powstaniec poszedł w ślady Jacka Soplicy, czego w Górnej Wsi nie trzeba było specjalnie tłumaczyć. „Pan Tadeusz" był tam bowiem lekturą, rzec można, obowiązkową.

Czesław Kurek (1910–1979), dumny ze swoich chłopskich korzeni, związany z ruchem ludowym, miłośnik poezji Mickiewicza i Słowackiego, nauczycielem zostać po prostu musiał. Praca ta była jego powołaniem i pasją. Ukończył studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, by następnie krzewić oświatę i polskość na Kresach Wschodnich, potem na Mazowszu – w trudnych warunkach okupacyjnych, aż w końcu na Opolszczyźnie, gdzie pielęgnował śląskie tradycje kulturowe, prowadząc ze znakomitym skutkiem uczniowskie zespoły folklorystyczne i teatry kukiełkowe. Jak wspominał, „[...] zarówno w tajnym nauczaniu, a przede wszystkim w Opolu, moja wyobraźnia nie dałaby się nigdy tak ponieść, a potem ukonkretnić w dokonaniach, gdyby mi nie dane było przeżyć tak ważnych lat w życiu na Podolu, a zwłaszcza w Krzemieńcu. Owo, zwane przeze mnie przymusowe – a jak dawniej mówiono – pójście »w kozaki« chłopa z karpackich żwirów na kresowy czarnoziem, na ziemię pełną kontrastów i największych napięć, ale również rozmachu, fantazyjnych porywów, gdzie można było ludzi poderwać w każdym kierunku, o czym świadczyły i wydarzenia wojenne. To wszystko wyrwało mnie z krakowskiego, centusiowego patrzenia".

W swojej pracy stykał się z problemami narodowościowymi, często bolesnymi. W Opolu jego uczennica, a potem koleżanka w nauczycielskim fachu, sama z kaszubskim rodowodem, długo wstrzymywała się z decyzją wyjazdu do Niemiec, w końcu uległa jednak presji rodziny, choć z goryczą pytała: Dlaczego Niemcy wyrywają ludzi tej ziemi? I odpowiadała: „Bo u nich jest gospodarczy cud. Kiedyś głosili, że mają prawo do każdej ziemi, bo mają swego Boga, cuda działającego Boga i w imię Jego innych szli bić. Dziś tyle winni światu, oni głoszą, że do tych dusz mają prawo, bo mają na dzisiejszy czas też ważny cud!".

„Jak nie bez słuszności przestrzegał James Clifford – pisze w posłowiu prof. Dorota Heck: »Jeśli biograf przystępuje do pracy z przekonaniem, że kiedy ogólnie znany i szanowany obywatel coś stwierdza, to musi to być niewątpliwa prawda, można być pewnym, iż czekają go kłopoty«. W kraju, który doświadczył prawie 150 lat zaborów, sześciu lat okupacji i kilkudziesięciu lat deficytu suwerenności, zrozumiała jest ostrożność pamiętnikarzy. Aby informacje zawarte w pamiętniku, autobiografii, wspomnieniach lub dzienniku nikomu nie zaszkodziły, stosuje się przemilczenia, wprowadza elementy fikcji, unika się nazwisk, a w końcu zamienia się autobiografię w powieść autobiograficzną, a cykl wspomnień w zbiór opowiadań. Taki też jest przypadek wspomnieniowej prozy Czesława Kurka, wybitnego nauczyciela, inteligenta w dobrym, przedwojennym znaczeniu. Należy ona do literatury dokumentu osobistego. Cechuje ją autobiografizm [...]".

Tak, niektóre tematy, choćby rzezi na Wołyniu, potraktował Czesław Kurek z ostrożnością, niemal nieobecne są też w jego książce krytyczne akcenty wobec powojennej Polski. Jednak w końcu miała to być wreszcie, wytęskniona przez przedwojennego wiciowca, Polska Ludowa. A że z ludem wspólną miała jedynie nazwę, to już zupełnie inna sprawa.

Prozę Czesława Kurka, ze szczególnym uwzględnieniem jego pedagogicznych wspomnień, zadedykowałbym wszystkim polskim nauczycielom. Że o członkach Polskiego Stronnictwa Ludowego tylko wspomnę. ©℗

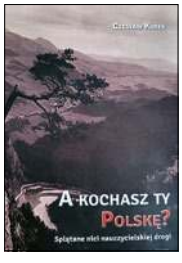

★★★★★★

CZESŁAW KUREK „A KOCHASZ TY POLSKĘ? SPLĄTANE NICI NAUCZYCIELSKIEJ DROGI"
OPOLE 2024

eprasa.pl 025d2d1ac6

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Podręcznik samoobrony

Każda publikacja tego typu przypomina polskiemu czytelnikowi, jak bardzo zafałszowany obraz świata przekazują tzw. wiodące polskie media. Kłamstwa na temat Trumpa, MAGA, amerykańskich republikanów, konserwatywnej rewolucji w USA serwowane są obok absurdalnych wywodów na temat uciskanych rzekomo w Ameryce mniejszości. Pamiętam tę retorykę jeszcze z mediów PRL: Stany Zjednoczone były wedle nich pełne rasistów oraz generałów podżegających do wojny atomowej, a każdy Afroamerykanin żył mniej więcej w takich warunkach, jak Kunta Kinte z książki i serialu „Korzenie".

Skąd te podobieństwa? Gonzalez i Gorka dają jasną odpowiedź: ten sam marksizm, tylko w nowym wydaniu, stawia sobie te same cele, które definiował 100 czy 50 lat temu. Tyle że zamiast nadawać swój przekaz z „ojczyzny światowego proletariatu" i w imieniu uciskanych mas pracujących miast oraz wsi, przebiera się w ruchy takie jak BLM (Black Lives Matter). Nie było dotąd po polsku tak wyczerpującej i demaskatorskiej publikacji analizującej prawdziwe cele oraz praktykę działania BLM, ruchu, w którym wcale nie chodzi ani o sprawiedliwość rasową, ani o reparacje za niewolnictwo, lecz o zdemontowanie kapitalistycznej Ameryki od wewnątrz. Czyli to, co nie udało się Sowietom z zewnątrz.

Pod nowym szyldem maszerują starzy wrogowie. Jaka jest recepta nowego marksizmu na lepszą Amerykę? Zabrać bogatym i dać biednym, opornych reedukować, nieprawomyślne opinie karać więzieniem. Precz z wolną przedsiębiorczością, religią, tradycyjną rodziną, precz z państwem (kapitalistycznym), które jest jedynie aparatem opresji (jakże ważnym nurtem BLM był i jest ruch Defund The Police).

Gonzalez i Gorka pokazują też, jak sprawni są nowi marksiści w pozyskiwaniu pieniędzy na swoją działalność. Ta część analizy jest niesłychanie ważna, bo autorzy książki (zgodnie z podtytułem „Jak z nim walczyć") dają nam pod koniec podręcznik samoobrony. Odcięcie nowych marksistów od pieniędzy jest kluczowe i to właśnie, zauważmy, robi prezydent Donald Trump. Drogą jak najbardziej legalną, wygrywając kolejne sprawy w sądach, uderzając nawet w święte krowy lewicy, czyli promujące marksizm uniwersytety. Czy Europa jest w stanie pójść tym śladem? Przypuszczam, że wątpię. Niestety. ©℗

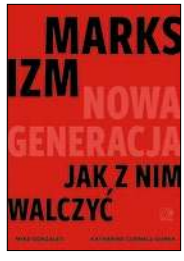

★★★★★☆

MIKE GONZALEZ, KATHARINE CORNELL GORKA „MARKSIZM. NOWA GENERACJA" WEI 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Znienawidzony przez lewicę, opisywany przez prasę jako wariat, prezydent Argentyny, libertarianin Javier Milei, w pół roku dokonał cudu gospodarczego. Jego hasło? „Nie jestem tu po to, żeby cię kupować, tylko żeby cię uwolnić".

PHILIPP BAGUS „ERA MILEIA" INSTYTUT MISESA

Thriller rodzinny z tradycyjnym przesłaniem – gdy córka wpada w kłopoty, liczyć może jedynie na ojca, choćby i nawet bardzo dawno niewidzianego. Ten zaś zrobi wszystko, by ocalić ją nie tylko przed fatalnym małżeństwem.

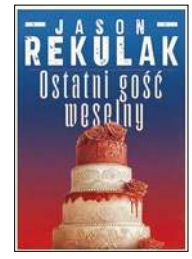

JASON REKULAK „OSTATNI GOŚĆ WESELNY" ZYSK I S-KA

Wbrew tytułowi nie jest to instruktaż kolonizacji Marsa, ale przegląd najważniejszych „za" i „przeciw" w kwestii możliwości podboju kosmosu. Nauka rozwiązała już wiele kwestii, ale wciąż nie te najważniejsze.

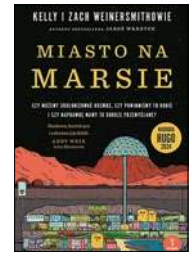

KELLY I ZACH WEINERSMITHOWIE „MIASTO NA MARSIE" INSIGNIS

Podobnie jak Dawid Kain Gunia wykracza poza ramy literatury grozy i daje nam po prostu dobrą literaturę. Tom ośmiu nowych opowiadań o ludziach samotnych i osobnych w sytuacjach próby. Wstęp autorstwa Kseni Olkusz. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

WOJCIECH GUNIA „KIEDY BĘDZIESZ GOTOWY, IDŹ" WYDAWNICTWO IX

KOMIKS TYGODNIA: ŻYCIE W KAWAŁKACH

Komiksowa opowieść oparta na pomyśle przypominającym serial „Rozdzielenie" czy klasyczne opowiadanie „Tylko we wtorek" Philipa José Farmera. Młody bohater opowieści Le Bouchera (autor znany w Polsce z tomu „Pacjent") odkrywa, że żyje tylko co drugi dzień, dzieląc swoje ciało z inną osobą. Dlaczego? I co ważniejsze: Jak długo jeszcze? ©℗

Piotr Gociek

TIMOTHE LE BOUCHER „DNI, KTÓRYCH NIE ZNAMY" NON STOP COMICS 2025

eprasa.pl 025d2d1ac6

Michał Krupa

Prezydent Andrzej Duda odchodzi jako człowiek sympatyczny, lojalny, lecz pozbawiony wizji, odwagi i suwerenności politycznej. Pozostawia kraj bardziej zależny, bardziej rozbrojony i bardziej rozmyty, niż zastał go w 2015 r.

FOT. MARCIN BANASZKIEWICZ/FOTONEWS/FORUM

Gdy Andrzej Duda obejmował urząd prezydenta w 2015 r., wielu Polaków miało nadzieję, że nareszcie pojawi się ktoś, kto nada polskiej polityce zagranicznej wyrazistość, podmiotowość i godność. Kto, w przeciwieństwie do Bronisława Komorowskiego, nie będzie jedynie notariuszem ośrodków znajdujących się poza Polską. Dziś – po dwóch kadencjach – możemy z całą mocą powiedzieć: zawiódł.

Nie tylko nie wzmocnił pozycji Polski na arenie międzynarodowej, lecz także przez brak własnych inicjatyw, całkowitą uległość wobec USA, NATO i Ukrainy oraz brak jakiegokolwiek kanału komunikacji z Rosją pogrążył Polskę w pozycji pionka cudzej gry.

BEZ INICJATYWY

Andrzej Duda przez całą swoją prezydenturę nie przedstawił ani jednej poważnej koncepcji strategicznej dla polityki zagranicznej Polski. Nie zainicjował żadnej regionalnej inicjatywy integracyjnej, która nie byłaby kalką projektu amerykańskiego (np. Trójmorze). Nie zbudował żadnej długofalowej strategii dyplomatycznej względem Azji, Afryki czy Ameryki Południowej – kontynentów kluczowych w nowym wielobiegunowym porządku świata.

Jego wizyty zagraniczne ograniczały się do rytualnych pielgrzymek do Brukseli, Berlina i Waszyngtonu – bez wyraźnego celu, bez efektów, za to z licznymi uśmiechami i pustymi deklaracjami. Nawet w czasach dramatycznych (pandemia, wojna na Ukrainie) nie zainicjował żadnej samodzielnej mediacji, żadnego okrągłego stołu, żadnego bilateralnego otwarcia. Był obecny – i tylko tyle.

ATLANTYCKA ULEGŁOŚĆ

Andrzej Duda to prawdopodobnie najbardziej bezkrytycznie proamerykański prezydent w historii III RP. W jego retoryce i działaniach nie znajdziemy ani jednej próby zrównoważenia wpływów USA, chociażby poprzez wzmacnianie polityki europejskiej (ale na zasadach korzystnych dla Polski) czy choćby przez dyplomację wielowektorową (jak robi to np. Turcja).

Polska za jego kadencji podpisała umowy wojskowe, które oddały kontrolę nad fragmentami terytorium Polski w ręce armii amerykańskiej – bez żadnej debaty publicznej. Polacy de facto płacą za obecność amerykańską w Polsce, nad którą mamy znikomą kontrolę. Prezydent Duda z entuzjazmem oddał ponad 300 czołgów, samoloty i tysiące ton amunicji Ukrainie, mimo że osłabiało to bezpośrednio zdolności obronne Polski.

Na szczególną uwagę zasługuje także rosnące podporządkowanie struktur wywiadowczych i bezpieczeństwa Polski interesom amerykańskim, zwłaszcza po 2022 r. Pod prezydenturą Andrzeja Dudy Polska stała się de facto operacyjnym zapleczem

eprasa.pl 025d2d1ac6

Dekada pasywności

dla działań CIA na wschodniej flance NATO, bez żadnej debaty publicznej ani realnej kontroli politycznej nad tym procesem.

Jak pisał „Newsweek" w jednym z artykułów śledczych z 2023 r.: „Mniej niż miesiąc po tym, jak rosyjskie czołgi przekroczyły granicę, zmierzając w stronę Kijowa, dyrektor CIA William Burns wylądował w Warszawie, by spotkać się z szefami polskich służb wywiadowczych i dopiąć finalne ustalenia, które pozwoliły CIA wykorzystać Ukrainę i sąsiadującą z nią Polskę jako bazę działań tajnych".

To nie wyjątek, lecz kontynuacja znacznie wcześniejszej linii podporządkowania. Ten sam tekst przypomina: „Od końca zimnej wojny Polska i Stany Zjednoczone, za pośrednictwem CIA, nawiązały szczególnie bliskie relacje. Polska gościła czarne więzienie CIA do tortur w miejscowości Stare Kiejkuty w latach 2002–2003. Po rosyjskiej inwazji na Donbas i Krym w 2014 r. aktywność CIA jeszcze się rozszerzyła, czyniąc Polskę trzecią największą stacją tej agencji w Europie".

Trudno o mocniejszy dowód na to, że za kadencji Andrzeja Dudy Polska z państwa podmiotowego stała się strukturą pomocniczą w amerykańskich operacjach wywiadowczych – często prowadzonych na granicy legalności lub poza nią. Nie było żadnego oficjalnego komunikatu, żadnej kontroli parlamentarnej, żadnej zgody narodu. Tylko poklepywanie po plecach i lojalność ponad rozsądek.

Tego rodzaju służalczy atlantyzm, bez jakichkolwiek warunków czy korzyści dla własnego państwa, to nie sojuszniczość – to polityczna wasalizacja. Profesor Bronisław Łagowski zauważył kiedyś, że „Polska solidarnościowa upaja się swoją rolą bycia pionkiem w bezterminowej grze Stanów Zjednoczonych o panowanie nad Eurazją". Kończąca się właśnie prezydentura przejdzie do historii jako najbardziej dobitna egzemplifikacja tej obserwacji.

ANTYROSYJSKOŚĆ JAKO DOGMAT

Najbardziej rażącym aspektem polityki Dudy było jego bezwarunkowe, ideologiczne nastawienie antyrosyjskie, które nie miało nic wspólnego z realizmem politycznym. Przez całą swoją dekadę na urzędzie nie odbył ani jednego spotkania z prezydentem Rosji Władimirem Putinem – nawet w czasach względnego spokoju przed 2022 r.

Nie chodzi tu o przyjaźń z Moskwą, ale o minimum racjonalnej dyplomacji: nawet w czasie zimnej wojny zachodni liderzy regularnie spotykali się z przywódcami ZSRS. Tymczasem Polska za prezydentury Dudy całkowicie zrezygnowała z jakichkolwiek kanałów rozmowy z największym i najgroźniejszym sąsiadem – krajem posiadającym broń jądrową, energię, wpływy i historię relacji z Polską.

To dyplomatyczne samobójstwo, które zamknęło Polsce drogę do jakiejkolwiek gry w regionie i oddało całe pole do działania USA, Turcji, Chinom i Niemcom.

BEZWARUNKOWA LOJALNOŚĆ WOBEC UKRAINY

Po 2022 r. polityka Andrzeja Dudy wobec Ukrainy przybrała wręcz absurdalny, emocjonalny charakter, pozbawiony chłodnej kalkulacji interesów narodowych. Prezydent z entuzjazmem wspierał rząd w Kijowie, nie domagając się w zamian absolutnie niczego – ani gwarancji dla Polaków na Ukrainie, ani uznania prawdy

eprasa.pl 025d2d1ac6

historycznej, ani ochrony interesów gospodarczych.

Uchodźcy ukraińscy zalali polskie miasta – w dużej mierze objęci przywilejami równymi obywatelom RP. Tymczasem prezydent nie zajął jasnego stanowiska w kwestii społecznych i kulturowych skutków tego zjawiska ani szerszego fenomenu problemów związanych z masową legalną imigracją do Polski – a jest tych problemów coraz więcej.

Zamiast tego mieliśmy festiwal gestów: przemówienie w Radzie Najwyższej, deklaracje o „braterstwie", o „walce za wolność waszą i naszą". Brakowało tylko podpisania formalnej unii lub zaproszenia Wołodymyra Zełenskiego do Pałacu Prezydenckiego jako współlokatora. Niedawne „przebudzenie" prezydenta w kwestii ukraińskiej, gdzie używał mocniejszych i krytycznych słów pod adresem władz w Kijowie, pokazują, że Andrzej Duda albo nie miał odwagi stanąć w obronie polskich interesów, gdy to się najbardziej liczyło, albo ma problemy z pojmowaniem nawet najbardziej oczywistych spraw, takich jak otwarte funkcjonowanie państwa ukraińskiego w oparach kultu bandytów i sadystów z UPA.

BRAK SPRZECIWU WOBEC GLOBALIZMU

Andrzej Duda formalnie uchodzi za konserwatystę. Ale w praktyce nie sprzeciwił się ani razu presji instytucji międzynarodowych na liberalizację polskiego porządku społecznego.

Nie zablokował udziału Polski w konwencjach genderowych, nie postawił żadnej zapory przeciwko promowaniu ideologii LGBT w instytucjach publicznych przez NGO finansowanych z Zachodu. Nigdy nie postawił sprawy suwerenności kulturowej na forum międzynarodowym. A przecież jako prezydent miał do tego pełne prawo.

Wszędzie tam, gdzie można było pokazać konserwatywny kręgosłup i cywilizacyjny opór, Andrzej Duda wybierał milczenie albo aluzje, które nic nie znaczyły. Zamiast prezydenta narodowego mieliśmy notariusza geopolitycznego liberalizmu. Zasadniczo poza ustawowym ograniczeniem handlu w niedzielę prezydentura Dudy przypomina tytuł książki jednego z byłych autorów przemówień Richarda Nixona, Pata Buchanana: „Konserwatywni wyborcy, liberalne zwycięstwa".

Prezydentura nie musi być bierna, ceremonialna ani podporządkowana. Może być osobną instytucją autorytetu narodowego. Andrzej Duda tej szansy nie wykorzystał

PREZYDENT STRACONYCH SZANS

Niektórzy mogą bronić Andrzeja Dudy, mówiąc, że „prezydent w Polsce nie prowadzi polityki zagranicznej" – że to kompetencje rządu, ministra spraw zagranicznych, premiera. To prawda – ale tylko częściowa. Bo prezydent ma konstytucyjne kompetencje w zakresie reprezentowania państwa na arenie międzynarodowej, podpisywania umów, a przede wszystkim tworzenia wizji i nadawania kierunku. Jeśli tych funkcji nie wykorzystuje, to nie z powodu systemu, lecz z braku woli lub odwagi.

Dowodem na to, że nawet przy ograniczonych kompetencjach można pozostawić trwałą i mądrą spuściznę, są przykłady innych prezydentów parlamentarnych republik.

Pierwszym z nich jest Richard von Weizsäcker, prezydent Niemiec w latach 1984–1994. Choć jego rola była głównie symboliczna, to potrafił przemawiać w imieniu narodu z powagą, autorytetem i moralną siłą. Jego słynne przemówienie z okazji 40. rocznicy zakończenia drugiej wojny światowej, w którym uznał 8 maja 1945 r. za dzień wyzwolenia, a nie klęski, było przełomem – aktem pojednania i fundamentem nowoczesnej niemieckiej tożsamości. Weizsäcker wpłynął na odbudowę niemieckiej pozycji w Europie, nie mając przy tym żadnych instrumentów władzy wykonawczej.

Drugim przykładem jest Václav Havel – pierwszy prezydent Czech po rozpadzie Czechosłowacji. On także nie miał realnych uprawnień władczych, ale dzięki osobistemu autorytetowi, intelektualnej odwadze i jasnym wartościom był ambasadorem czeskiej demokracji i wolności na całym świecie. Havel utrzymywał dialog ze Wschodem i z Zachodem, sprzeciwiał się zarówno imperializmowi rosyjskiemu, jak i liberalnemu nihilizmowi Zachodu. Był postacią, która budowała mosty – bez służalczości i bez kompleksów.

Trzecim współczesnym przykładem jest Michael D. Higgins, prezydent Irlandii od 2011 r. Choć jego kompetencje są ściśle ceremonialne, to Higgins aktywnie uczestniczy w międzynarodowym dyskursie – wypowiada się na temat globalizacji, zachodniego imperializmu, zmian klimatu, a także broni tożsamości Irlandii wobec unifikacyjnych trendów Unii Europejskiej. Jego kadencje pokazały, że prezydent może być głosem narodu i sumieniem państwa, jeśli tylko chce – nawet bez bezpośredniego wpływu na politykę.

A zatem można. Prezydentura nie musi być bierna, ceremonialna ani podporządkowana. Może być osobną instytucją autorytetu narodowego, która przemawia, inspiruje i reprezentuje godność państwa. Andrzej Duda tej szansy nie wykorzystał.

Po 10 latach prezydentury Andrzeja Dudy Polska nie ma większej podmiotowości w NATO (w przeciwieństwie do Węgier, Słowacji czy Turcji), nie ma wpływu na politykę UE, nie ma własnej strategii wobec Rosji, nie ma narzędzi wpływu na Ukrainę, nie ma pozycji lidera regionalnego.

Jesteśmy państwem frontowym – ale nie takim, które gra we własną grę, lecz takim, które gra w grę cudzą w cudzym interesie.

Prezydent Duda odchodzi jako człowiek sympatyczny, lojalny, lecz pozbawiony wizji, odwagi i suwerenności politycznej. Pozostawia kraj bardziej zależny, bardziej rozbrojony i bardziej rozmyty, niż zastał go w 2015 r.

Czy będzie rozliczenie? Być może. Historia lubi wracać i rozliczać tych, którzy nie umieli podjąć wyzwań swojego czasu. A jeśli nie historia, to być może nowa generacja polityków – mniej uległa, bardziej trzeźwa i naprawdę służąca interesowi Rzeczypospolitej, nieskażona sztucznym manicheizmem rodem z PRL o „wspaniałym Zachodzie" i „złym Wschodzie".

Bo Polska nie może pozwolić sobie na kolejne 10 lat grzeczności, uległości i milczenia wśród wielkich tego świata.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 025d2d1ac6

Dla naszego dobra. Cyfrowego dobra

Mariusz Jagóra

Cyfrowe euro, cyfrowy paszport, cyfrowa tożsamość. Pod pretekstem dobra i wygody ludzi unijni biurokraci wprowadzają rozwiązania, które mogą znacznie ograniczyć naszą wolność. Czy zapatrzyli się na komunistyczne Chiny?

FOT. ADOBE STOCK

Komisja Europejska i Europejski Bank Centralny (EBC) od kilku lat opracowują ważne inicjatywy cyfrowe: Cyfrową Walutę Banku Centralnego, czyli tzw. cyfrowe euro, oraz Europejski Portfel Tożsamości Cyfrowej. Równolegle z tymi działaniami Komisja Europejska uruchomiła Europejski Program Szczepień poza COVID-19 (EUVABECO – European Vaccination Beyond COVID-19), którego jednym z kluczowych celów ma być opracowanie i wdrożenie Europejskiej Karty Szczepień (EVC).

CYFROWE EURO

Projekt Digital Euro, któremu przewodzi Europejski Bank Centralny, ma wprowadzić cyfrową walutę banku centralnego (CBDC) w celu „ułatwienia płatności elektronicznych w całej strefie euro". Przewiduje się, że cyfrowa forma pieniądza banku centralnego ma być wykorzystywana do płatności w sklepach, on-line lub między osobami fizycznymi, a ten „bezpieczny i prywatny środek płatniczy", jak zapewnia szefowa banku Christine Legarde, uzupełni istniejący system monetarny.

Jego celem jest „zwiększenie dostępności płatności cyfrowych, wzmocnienie suwerenności monetarnej strefy euro i zwiększenie konkurencji w sektorze płatności". Użytkownicy będą zarządzać cyfrową walutą za pośrednictwem portfeli elektronicznych dostarczanych przez ich banki lub publicznych pośredników, co ma ułatwić zarówno transakcje on-line,jak i off-line. Projekt wszedł w fazę przygotowawczą w listopadzie 2023 r.

EUROPEJSKI PORTFEL TOŻSAMOŚCI CYFROWEJ

Równolegle do cyfrowego euro Komisja Europejska sfinalizowała ramy prawne dla Europejskiego Portfela Tożsamości Cyfrowej. Ten cyfrowy europejski e-dowód osobisty ma „umożliwić obywatelom UE bezpieczny dostęp do publicznych i prywatnych usług on-line w całej Europie". Został on zaprojektowany do przechowywania tożsamości cyfrowej, rachunków bankowych, płatności i dokumentów cyfrowych, takich jak prawa jazdy i recepty lekarskie. Portfel ma na celu „zapewnienie przyjaznej dla użytkownika alternatywy dla identyfikacji

eprasa.pl 025d2d1ac6

on-line, zwiększając bezpieczeństwo i prywatność danych osobowych".

Komisja Europejska wymaga, aby duże platformy internetowe, a także usługi wymagające uwierzytelnienia użytkownika, akceptowały portfel. Po formalnym zatwierdzeniu państwa członkowskie będą zobowiązane do zaoferowania portfeli swoim obywatelom, a specyfikacje techniczne zostaną przyjęte w ciągu 6–12 miesięcy od przyjęcia rozporządzenia.

CYFROWY SARS-COV-2

Po zakończonej niedawno pandemii COVID-19 trudno jest uwierzyć w zapewnienia chronionych immunitetem biurokratów, że celem wprowadzanych cyfrowych rozwiązań jest wyłącznie zwiększenie naszego bezpieczeństwa i prywatności danych. To właśnie COVID zapoczątkował cyfrową inwigilację obywateli, wprowadzając segregację sanitarną wna podstawie statusu szczepienia, co pozwoliło na niebywałe wręcz ograniczenie praw i swobód obywatelskich, takich jak zakaz podróżowania, prowadzenia biznesu, wychodzenia z domu czy robienia zakupów.

Podczas pandemii COVID-19 opracowano i wdrożono na świecie kilka cyfrowych narzędzi „zdrowotnych", które dotyczyły różnych aspektów zdrowia i zarządzania pandemią poza powszechnie znanymi paszportami COVID-19. Narzędzia te oficjalnie miały na celu zwiększenie „gotowości na wypadek pandemii, usprawnienie świadczenia opieki zdrowotnej i poprawę wyników w zakresie zdrowia publicznego" dzięki tzw. innowacyjnym rozwiązaniom cyfrowym.

Wprowadzane na całym świecie technologie cyfrowe odegrały, pod pozorem dbania o zdrowie publiczne, znacząca rolę w inwigilacji społeczeństw. Narzędzia takie jak HealthMap i platforma WHO EPI-BRAIN wykorzystały technologie cyfrowe do śledzenie kontaktów, funkcja niezwykle kontrowersyjna ze względu na zarzut łamania prawa do prywatności. W Korei Południowej kontakty potwierdzonych przypadków były śledzone poprzez wykorzystanie powiązanych danych dotyczących lokalizacji, nadzoru i transakcji. W Chinach aplikacja AliPay HealthCode automatycznie wykrywała kontakty międzyludzkie na podstawie lokalizacji i zautomatyzowała egzekwowanie surowych środków kwarantanny poprzez ograniczenie dozwolonych transakcji dla użytkowników uznanych za obarczonych wysokim ryzykiem. Aplikacje do śledzenia kontaktów zbierały dane o lokalizacji za pomocą globalnego systemu pozycjonowania (GPS) lub sieci komórkowych. Norwegia zakazała korzystania z aplikacji Smittestopp po tym, jak krajowy organ nadzorczy do spraw ochrony danych sprzeciwił się gromadzeniu danych o lokalizacji, uznając je za działanie „nieproporcjonalne".

Wracając na unijne podwórko – w czerwcu 2023 r. Komisja Europejska i WHO ogłosiły porozumienie, na mocy którego WHO przejmie system certyfikacji cyfrowej COVID-19 Unii Europejskiej w celu ustanowienia systemu globalnego, który „ułatwi mobilność i ochroni obywateli na całym świecie przed obecnymi i przyszłymi zagrożeniami dla zdrowia, w tym pandemiami". Jest to pierwszy element Globalnej Sieci Certyfikacji Zdrowia Cyfrowego WHO (GDHCN), globalnego mechanizmu umożliwiającego weryfikację dokumentów zdrowotnych, w tym cyfrowych certyfikatów testów na COVID-19 i szczepionek.

Po pandemii COVID-19 trudno jest uwierzyć w zapewnienia chronionych immunitetem biurokratów, że celem wprowadzanych cyfrowych rozwiązań jest wyłącznie zwiększenie naszego bezpieczeństwa i prywatności danych

WHO twierdzi, że Globalna Cyfrowa Sieć Certyfikacji Zdrowia przyniesie same korzyści: osoby fizyczne uzyskają kontrolę nad własnymi informacjami zdrowotnymi (jakby do tej pory jej nie miały), świadczeniodawcy będą mogli łatwiej weryfikować dokumentację zdrowotną, a rządy będą w stanie łatwo zweryfikować, czy dokumentacja jest powiązana z upoważnionymi instytucjami w obrębie kraju i między krajami. Stella Kyriakides (to ta pani, której podpis widnieje pod umowami o zakupie szczepionek) uważa, że nie ma lepszego partnera niż WHO, aby kontynuować prace rozpoczęte w UE i rozwijać globalne cyfrowe rozwiązania zdrowotne: „Korzystając z najlepszych europejskich praktyk, przyczyniamy się do tworzenia cyfrowych standardów zdrowotnych i interoperacyjności na całym świecie – z korzyścią dla najbardziej potrzebujących. Jest to również mocny przykład tego, w jaki sposób zgodność między UE a WHO może zapewnić lepsze zdrowie dla wszystkich, w UE i na całym świecie".

Wtóruje jej Thierry Breton, komisarz do spraw rynku wewnętrznego: „UE ustanowiła globalny standard. Certyfikat UE nie tylko był ważnym narzędziem w naszej walce z pandemią, lecz także ułatwił międzynarodowe podróże i turystykę. Cieszę się, że WHO będzie opierać się na zasadach ochrony prywatności i najnowocześniejszej technologii unijnego certyfikatu, aby stworzyć globalne narzędzie przeciwko przyszłym pandemiom". Bo te z pewnością nadejdą, znamy już nawet nazwę nowego wirusa – X (zbieżność nazwy z popularną platformą społeczną przypadkowa), ale może to być też małpia ospa czy wirus ptasiej grypy.

EUROPEJSKA KARTA SZCZEPIEŃ

W 2020 r. Komisja Europejska opublikowała raport, będący wynikiem ankiet przeprowadzonych w państwach członkowskich, dotyczący stanu zaufania do szczepionek w UE i Wielkiej Brytanii. Mimo że z konkluzji raportu wynika, iż zaufanie do szczepień w UE i Wielkiej Brytanii było w 2020 r. wysokie zarówno wśród społeczeństwa, jak i pracowników służby zdrowia, Rada Europejska zauważyła „krytyczną potrzebę przywrócenia zaufania do programów szczepień", a Komisja Europejska zaczęła finansować projekt EUVABECO, mający na celu „rozwijanie i wdrażanie innowacyjnych praktyk szczepień w całej Unii Europejskiej", w tym opracowanie i wdrożenie Europejskiej Karty Szczepień (EVC).

Projekt obejmuje 14 partnerów z dziewięciu krajów i przewiduje realizację pilotażowych działań w siedmiu krajach UE, w tym w Polsce, które rozpoczną się

eprasa.pl 025d2d1ac6

we wrześniu 2024 r. Wśród partnerów są m.in. Uniwersytet Jagielloński, Uniwersytet Medyczny we Wrocławiu, a także Vaccines Europe, której członkami są największe firmy produkujące szczepionki, jak Moderna, Novavax, Pfizer, AstraZeneca, Janssen czy Sanofi. Obecnie firmy zrzeszone w Vaccines Europe pracują nad wprowadzeniem na rynek ok. 100 szczepionek na wiele chorób, zarówno istniejących, jak i nowych, potencjalnych zagrożeń.

CYFROWY DOBROSTAN

Próby cyfrowego ułatwiania życia podejmowane są też przez inną organizację: Światowe Forum Ekonomiczne, które wspólnie z rządem Kanady realizuje projekt pt. „Known Traveller Digital Identity" (KTDI – cyfrowy identyfikator zaufanego podróżnego). Według Światowego Forum Ekonomicznego Known Traveller Digital Identity to „wspieranie bezpiecznego i bezproblemowego podróżowania. Projekt ten ma na celu opracowanie i pilotaż zdecentralizowanej platformy tożsamości cyfrowej, która wykorzystuje technologie czwartej rewolucji przemysłowej, aby pomóc liderom rządowym i przemysłowym w ułatwieniu bezproblemowego i bezpieczniejszego podróżowania międzynarodowego. Projekt będzie realizowany we współpracy ze społecznością ekspertów do spraw bezpieczeństwa podróży, decydentów politycznych, przedsiębiorstw i organizacji międzynarodowych".

Rząd Kanady ogłosił, że będzie pionierem w testowaniu systemu cyfrowej tożsamości zaufanego podróżnego, koncepcji poprawiającej bezpieczeństwo i płynny przepływ osób przez granice. Cyfrowa tożsamość zaufanego podróżnego wykorzystuje biometrię, kryptografię i technologię księgi rozproszonej, aby dać podróżnym kontrolę i możliwość dzielenia się swoimi informacjami z władzami przed podróżą w celu przyspieszenia odprawy, jednocześnie budując zaufanie między władzami publicznymi względem poprawy wykrywania ryzyka i zagrożeń.

Co to oznacza w praktyce? Inwigilację podróżnych na ogromną skalę. KTDI wykorzystuje księgę rozproszoną opartą na blockchainie, aby poprzez aplikację na urządzeniu mobilnym podróżnego powiązać wszystkie następujące zbiory danych: dane biometryczne (początkowo obrazy twarzy, potencjalnie również odciski palców itp.), wydane przez rząd dane identyfikacyjne (numer paszportu itp.), historię podróży, w tym rejestry przekroczeń granic, pobytów w hotelach, być może również wynajmu samochodów i/lub innych zdarzeń, rejestry zakupów i ewentualnie informacje o kontach bankowych i/lub inne zapisy finansowe i transakcyjne. Wstępna predykcyjna „ocena ryzyka" i wyniki profilowania będą generowane w każdym punkcie „interwencji" przed każdą podróżą lub transkacją i w ich trakcie. Każdy pobyt w hotelu, zakup lub inna transakcja stałyby się – jak przejście graniczne – na stałe wbite do paszportu jako część cyfrowej „przepustki", podlegającej kontroli na żądanie władz w kolejnych punktach „interwencji". Wszystkie te dane mają być połączone i wykorzystane do rozróżnienia podróżnych, których profile przed przestępstwami, powiązane z ID, są oceniane jako „wysokie ryzyko" lub „niskie ryzyko".

29 lutego 2024 r. Parlament Europejski dał zielone światło dla rozporządzenia dotyczącego wprowadzenia portfela tożsamości cyfrowej stosunkiem głosów 335 do 190, przy 31 głosach wstrzymujących się, a Rada Ministrów UE przyjęła rozporządzenie 26 marca 2024 r. Po opublikowaniu rozporządzenia w Dzienniku Urzędowym UE stanie się ono obowiązującym prawem. Portfel ma być używany na zasadzie dobrowolności, mają temu sprzyjać przepisy chroniące prawa obywateli w celu uniknięcia dyskryminacji osób decydujących się na niekorzystanie z portfela cyfrowego – ale dokładnie to samo mówiono o szczepieniach i certyfikatach covidowych. Skończyło się na segregacji sanitarnej i stygmatyzacji „antyszczepionkowców". Tym bardziej że, jak mówią biurokraci, celem jest, żeby po wdrożeniu 80 proc. populacji używało cyfrowego identyfikatora do 2030 r. w prawie wszystkich dziedzinach życia. Od podróży, mediów społecznościowych i logowania on-line aż do wizyt lekarskich i transportu publicznego – portfel cyfrowy będzie potrzebny w zasadzie do wszystkiego.

Trudno powiedzieć, na ile UE wzoruje się na doświadczeniach Chin, które planują wprowadzenie cyfrowych rozwiązań połączonych z kredytem społecznym już od 2014 r. – ostatni list komisarza Brentona do Elona Muska wydaje się sugerować zauroczenie stylem nowomowy komunistycznych sekretarzy. W planach chiński system dotyczy dwóch kwestii: tradycyjnej oceny zdolności kredytowej i wiarygodności gospodarczej oraz indywidualnego „kredytu społecznego", który będzie czerpać dane z dużej liczby źródeł. O ile to pierwsze przypomina znaną w krajach demokratycznych praktykę sprawdzania wiarygodności kredytowej, o tyle druga kwestia – „kredyt społeczny" – budzi więcej wątpliwości. Chiński rząd twierdzi, że chodzi o budowanie zaufania w społeczeństwie, walkę z korupcją, oszustwami telekomunikacyjnymi, uchylaniem się od płacenia podatków, fałszywą reklamą, plagiatem akademickim, podrabianiem produktów czy zanieczyszczaniem. Rząd uważa, że podobnie jak scoring finansowy pomaga ocenić zdolność kredytową danej osoby, tak pewna forma „kredytu społecznego" może pomóc ludziom ocenić wiarygodność obywatela pod innymi względami.

Chiński system kredytów społecznych jest wciąż w fazie budowy, nie można z całą pewnością stwierdzić, jakie będą jego konsekwencje (wiadomo, że komuniści pragną wyłącznie dobra ludzi), ale na podstawie istniejących regionalnych programów pilotażowych widać, że skutkiem niskiej oceny społecznej może być np. zakaz podróżowania – według Chińskiego Krajowego Centrum Informacji Kredytowej w 2019 r. 23 mln Chińczyków znalazły się na czarnej liście osób objętych zakazem podróży samolotem czy pociągiem z powodu niskiej oceny wiarygodności kredytowej. Zdarzało się, że niska ocena zdolności kredytowej rodziców uniemożliwiała ich dzieciom uczęszczanie na niektóre uniwersytety. Wpisanie na „czarną listę" osób o niskim kredycie społecznym ogranicza perspektywy zatrudnienia – niektóre stanowiska samorządowe są dostępne dla osób, które spełniają określoną ocenę wiarygodności społecznej. W wielu przypadkach organy regulacyjne zachęcały do „wskazywania i zawstydzania" osób znajdujących się na czarnych listach. Można założyć, że będzie to kontynuowane w ramach krajowego systemu kredytów społecznych – wszystko dla dobra obywateli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 025d2d1ac6

FOT. ADOBE STOCK

Muzułmanów nawracać

Paweł Chmielewski

Kościół ma problem z islamem. Prowadzi dialog na rzecz pokoju na świecie, zupełnie zapominając o podstawowej prawdzie: islam jest w dosłownym sensie tego słowa „antychrześcijaństwem". Dlatego o realnej współpracy nie może być nigdy mowy

Kto czytał Koran, ten dobrze o tym wie: dla muzułmanów samo istnienie Kościoła to ciężka obraza wobec Stwórcy świata. Chrześcijanie to bałwochwalcy, a Mahomet przyszedł po to, by wykorzenić wiarę w Chrystusa. Według wyznawców Allaha Pan Jezus nie był Synem Bożym, ale zwykłym prorokiem. Muzułmanie twierdzą, że skoro ich religia pojawiła się w VII w., to jest lepsza od chrześcijaństwa, bo nowsza. Wielcy święci z przeszłości, jak Jan z Damaszku i Tomasz z Akwinu, nie mieli cienia wątpliwości: islam jest herezją, to znaczy nauką opartą na błędach. Z powodu wyrazistej wrogości wobec chrześcijaństwa islam może zostać określony wprost jako „antychrześcijaństwo".

ZUPEŁNIE INNA MORALNOŚĆ

Dzisiaj w Kościele nie ma świadomości tych faktów. Od większości nauczycieli – księży, biskupów albo nawet niektórych papieży – słyszymy na temat islamu same superlatywy. Starannie odróżnia się ekstremistyczny fundamentalizm islamski, który prowadzi do terroryzmu, od rzekomo autentycznej wiary Koranu, opartej na szacunku i miłości bliźniego. Sobór Watykański II mówi w deklaracji „Nostra aetate", że Kościół spogląda na mahometan z szacunkiem, bo oddają Bogu cześć i „usiłują się podporządkować nawet zakrytym Jego postanowieniom".

Brzmi to tak, jakby Kościół szanował muzułmanów właśnie dlatego, że wyznają swoją religię – religię, która neguje samą istotę chrześcijaństwa. W tym samym tekście soborowym czytamy, że muzułmanie „cenią życie moralne". Pewnie tak – problem w tym, że chodzi o zupełnie inną moralność. Wielożeństwo, dżihad, oszukiwanie wrogów (takijja) – to rzeczy, na które nie może godzić się żaden chrześcijanin.

Wszyscy pamiętamy gest św. Jana Pawła II, który złożył na Koranie pocałunek. Franciszek nie tylko wykonywał gesty, lecz także wygłaszał niebywałe tezy religijne. Na przykład podczas wystąpienia w Dżakarcie w 2024 r. twierdził, że islam i chrześcijaństwo prowadzą „do pełni światła". W tym samym roku w Singapurze ogłosił, że obie religie, a dodatkowo jeszcze hinduizm oraz sikhizm, są po prostu „różnymi ścieżkami" do Boga. Wcześniej – w 2019 r. – podpisał razem z wielkim imamem z Egiptu, Ahmedem el-Tayebem, deklarację z Abu Zabi, według której Bóg życzy sobie istnienia różnych religii…

Te niejasne czy zgoła błędne wypowiedzi nie pozostają bez konsekwencji. W niektórych krajach na świecie normalnością staje się udzielanie Komunii Świętej muzułmanom. Do takich wypadków dochodzi coraz częściej np. w Niemczech czy w Brazylii. Na łamach nominalnie katolickiej prasy – także w Polsce! – publikowane są teksty, które prezentują islam jako „alternatywny" sposób przeżywania religijności. Jeszcze przed

eprasa.pl 025d2d1ac6

Soborem Watykańskim II to wszystko zostałoby potępione jako ciężka herezja. Dziś reakcji praktycznie nie ma.

DZIAŁANIE NA SZKODĘ WIARY

Na szczęście zepsucie nie jest totalne. Są wciąż ludzie, którzy starają się przywrócić zdrową perspektywę. To np. bardzo odważny francuski ksiądz, Guy Pages. W Polsce wydano już kilka jego książek, np. „Prawdziwe oblicze islamu" czy ostatnio „Islam pod lupą". To znakomita katolicka literatura, traktująca o problemie islamu bez zakłamania, prosto z mostu i na podstawie konkretów. Czyta się ją świetnie i czytać ją warto, zwłaszcza dziś, kiedy kolejny raz próbuje się przekonać Polaków o nieodzowności przyjęcia dużych liczb migrantów. Kapłan zdecydowanie przed tym przestrzega. Jak mi powiedział, w świetle nauki Kościoła nie można uznać za właściwe przyjmowanie do kraju kogoś, kto jest otwarcie wrogi katolicyzmowi. Byłoby to działaniem nie tylko na szkodę kraju, lecz także na szkodę wiary.

Ostrość i jasność sądów ks. Pages'a robi wrażenie, zwłaszcza na tle języka, do którego jesteśmy przyzwyczajani. O religii mahometańskiej wypowiada się bez posoborowej autocenzury. „Dla islamu chrześcijaństwo jest na wskroś wypaczone. Dla islamu chrześcijanie to nic innego jak nieczystość. »Najgorsze stworzenia«, »wszyscy pójdą do piekła«. Chrześcijaństwo w islamie jest skazane na wyeliminowanie i zastąpienie przez islam. Sury wzywają do wytępienia chrześcijan. Dla muzułmanów bycie muzułmaninem oznacza to szczęście, że nie są chrześcijanami. Ponieważ każdy muzułmanin wie, że wszyscy chrześcijanie idą do piekła!" – powiedział mi.

Kapłan nie teoretyzuje. Zna na wskroś zarówno Koran, jak i islamskie hadisy, czyli pozakoraniczny zapis wypowiedzi przypisywanych Mahometowi. Od dawna prowadzi działalność na rzecz obrony chrześcijaństwa wobec islamu – a przede wszystkim stara się nawracać wyznawców Allaha. Robi, co może, często bardzo przemyślnie. Pokazał mi ostatnio ulotki, które rozdaje francuskim mahometanom. „Czy chcesz zostać prawdziwym muzułmaninem?" – pyta na pierwszej stronie. Pewnie, który mahometanin by tego nie chciał? W środku – dostosowane do muzułmańskiego ucha informacje na temat Pisma Świętego i prawdziwej objawionej religii, to znaczy wiary chrześcijańskiej.

Ksiądz Pages nie chce mówić wprost o tym, ilu muzułmanów przyjmuje wiarę chrześcijańską. To zrozumiałe, bo konwertyci z islamu często mierzą się z brutalnymi prześladowaniami. W takich krajach jak Arabia Saudyjska jedyną karą za odejście od islamu jest śmierć. W Europie – aktualnie nie, a przynajmniej nie wykona jej państwowy kat. Może to jednak zrobić rodzina, dlatego wielu konwertytów woli się ukrywać. Niektórzy muzułmanie – najczęściej ci z mniej fundamentalistycznego środowiska – wybierają Chrystusa w otwarty sposób. W 2024 r. we Francji chrzest przyjęło 600 osób z rodzin islamskich. To niemała liczba, ale – jak mówił mi ks. Pages – muzułmanie pochwalili się, że w tym samym czasie „nawrócili" nad Sekwaną 5 tys. osób.

MAHOMETANIE SĄ DZIŚ GÓRĄ

To mahometanie są dziś górą w wyścigu o religijną dominację. W rodzinach chrześcijańskich w Europie rodzi się niewiele dzieci. W rodzinach muzułmańskich – całkiem sporo. Kościół nie promuje zbyt aktywnie wielodzietności. Owszem, niektóre wspólnoty kładą na to nacisk, ale temat otwartości na życie nie jest prawie w ogóle obecny w zwykłej katechezie parafialnej. Model życia, w którym na pierwszym miejscu stoją kariera zawodowa i dobrobyt, stał się czymś całkowicie oczywistym dla większości europejskich chrześcijan, w tym dla Polaków. W dłuższej perspektywie oznacza to po prostu wymieranie i zastąpienie przez nową ludność.

Widać to już nawet w skali świata. Jeszcze do niedawna muzułmanów na świecie było relatywnie niewielu. Szacuje się, że w roku 1900 stanowili maksymalnie 11 proc. światowej populacji. Dzisiaj to już 26 proc. Dynamika wzrostu jest jednoznaczna. W latach 2010–2020 przybyło na świecie 121 mln chrześcijan i 346 mln muzułmanów. Podczas gdy procentowy udział wyznawców Allaha w światowej populacji w tym okresie wzrósł o 1,8 punktu procentowego, udział chrześcijan zmalał o dokładnie tyle samo. Potrzeba już tylko kilku lat, by to właśnie muzułmanie stali się najliczniejszą grupą wyznaniową na Ziemi.

W całej Europie – a szczególnie w Polsce – ubytek (post)chrześcijańskiej ludności jest zatrważająco szybki. W ciągu kilku dekad siła polityczna muzułmanów na Starym Kontynencie będzie o wiele większa niż dziś. Według ks. Guya Pages'a można potraktować islam jak swoisty bicz Boży. W VII w. wojska muzułmanów opanowały całą Afrykę Północną i de facto wyniszczyły chrześcijaństwo w tych regionach. Francuski kapłan uważa, że nie było to przypadkiem: na tych terenach szerzyły się herezje i z perspektywy historii zbawienia mieszkający tam chrześcijanie po prostu zdradzili Ewangelię.

Dziś w Europie robimy dokładnie to samo. Wiary katolickiej albo już nie ma, albo jest głęboko wynaturzona. W kościołach wielu krajów wiesza się flagi LGBT. Zanika spowiedź, Eucharystia jest traktowana bez żadnego szacunku. Do tego szerzą się poważne błędy doktrynalne, w tym przekonanie, że wyznanie wiary Kościoła nie jest wcale konieczne do zbawienia. Muzułmanie nie prowadzą dziś w Europie działań wojennych, wyjąwszy grupy dżihadystów dokonujących zamachów terrorystycznych. Wystarczy im normalne życie. Przyjeżdżają i mają dzieci – niczego więcej nie trzeba, by na przestrzeni dekad zdominować Stary Kontynent i zepchnąć europejską kulturę chrześcijańską na margines albo po prostu ją wymazać, tak jak kiedyś w Afryce Północnej.

Czy da się jeszcze coś zrobić? Ksiądz Guy Pages uważa, że zaczynem odrodzenia chrześcijaństwa w Europie mogliby stać się… sami muzułmanie. Jeżeli zaczęliby nawracać się na chrześcijaństwo, dzięki swojemu przywiązaniu do prawa naturalnego i wierności wobec świętych pism, to byliby – sądzi – w stanie nadać chrześcijaństwu nowy dynamizm. Czy to realne? Nie wiem. Jedno jest pewne: podstawą wszelkiego uzdrowienia musi być prawda. W konfrontacji z muzułmanami nie można bawić się w półsłówka i udawać, że prowadzi się dialog z wyznaniem nastawionym na budowę powszechnego braterstwa. Żeby ze szczerością i z powagą traktować islam, musielibyśmy jednak najpierw traktować tak… chrześcijaństwo. Tymczasem z tym właśnie jest największy problem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 025d2d1ac6

Ramię w ramię z Narodowymi Siłami Zbrojnymi

FOT. AIPN

Maciej Kledzik

Kto mógłby, 50 lat po kapitulacji powstania, jeszcze potwierdzić, że Witold Pilecki, tak jak napisał w relacji w sierpniu 1945 r., przez 10 dni dowodził obroną trzech redut wokół placu Starynkiewicza?

Witold Pilecki uznany został za jednego z kilku najdzielniejszych i najodważniejszych żołnierzy alianckich biorących udział w drugiej wojnie światowej. Świadomie dał się złapać w Warszawie przez Niemców, skąd wywieziony został do obozu koncentracyjnego w Auschwitz, gdzie organizował ruch oporu więźniów i udało mu się stamtąd uciec. Ta historia została już bardzo dokładnie opisana. Natomiast przez pól wieku za rządów komunistycznych panowało milczenie o jego udziale w Powstaniu Warszawskim (był zapis cenzury). W zachowanych materiałach źródłowych w kraju i na emigracji poświęcono rotmistrzowi zaledwie kilka zdań, odnotowując, że dowodził pod koniec września kompanią w I batalionie Zgrupowania „Chrobry II". Dlaczego milczano?

W 1993 r. jako publicysta i pisarz zajmujący się historią Powstania Warszawskiego otrzymałem z londyńskiej Fundacji Armii Krajowej im. Franciszka Miszczaka (w powstaniu kpt. „Reda", dowódca kompanii w batalionie „Miłosz" w południowym Śródmieściu, po wojnie na emigracji) trzymiesięczne stypendium na kwerendę zbiorów w Studium Polski Podziemnej. Wyjechałem w grudniu i przez następne tygodnie zagłębiłem się w zgromadzonej tam dokumentacji. Część cennych rękopisów, relacji, maszynopisów, rozkazów i wspomnień z braku regałów umieszczona była w pudełkach po butach. Któregoś dnia przeglądałem teczkę rtm. Pileckiego. Fakty ogólnie znane, ale po chwili pani Repuszyna przyniosła mi teczkę z pożółkłymi, gęsto zapisanymi stronami maszynopisu z adnotacją: „Wpływ ze Sztabu – autor nieznany", z sygnaturą: Wpł. nr. 1785/III. 3 (2) Bl.

DWÓCH NIEZNANYCH OFICERÓW

Maszynopis zatytułowany był „Historia I-go Batalionu Zgrupowania Chrobry II". Zacząłem czytać. I nagle olśnienie: to napisał ktoś, kto musiał osobiście znać rotmistrza i walczył z nim w powstaniu. Relacja napisana została w trzeciej osobie, ale były w niej fragmenty tak osobiste, że powstały na pewno z udziałem rotmistrza, a nie na podstawie przekazów osób trzecich. Gdy wróciłem do kraju, córka rtm. Pileckiego, Zofia

eprasa.pl 025d2d1ac6

Pilecka-Optułowicz, po zapoznaniu się z tekstem potwierdziła, że niewątpliwie autorem relacji był jej ojciec.

Kto mógłby 50 lat po kapitulacji powstania jeszcze potwierdzić, że rotmistrz, tak jak napisał w relacji w sierpniu 1945 r., przez 10 dni dowodził obroną trzech redut wokół placu Starynkiewicza? W 1994 r. odnalazłem dwie osoby uczestniczące aktywnie w obronach – ppor. Jana Wróbla „Jerzego" i komendantkę patroli sanitarnych „Jankę" Janinę Grabską-Brzezińską. Z historii IV Zgrupowania AK „Gurt" (jestem autorem monografii zgrupowania) wiadomo, że według planów przedpowstaniowych obiekty wokół placu Starynkiewicza przy Alejach Jerozolimskich (w powstaniu Aleje Generała Sikorskiego) miały zdobywać 33., 34. i 35. kompanie batalionu Wojskowej Służby Ochrony Powstania (WSOP) wchodzącego w skład IV Zgrupowania. Dowodził nim ppor. Henryk Lehman „Wirski", który z wieloma żołnierzami i oficerami nie dotarł do miejsca koncentracji. Na miejscu przebywał tylko jeden z oficerów batalionu, mieszkający tam ppor. Józef Ebłowski „Orłowski".

O nim wspomniała w przekazanej mi relacji „Janka" Grabska-Brzezińska: „W okolicznych domach przy ulicy Lindleya 16, Alejach Jerozolimskich 93 i 95 było dużo młodzieży, która, jak ja, nie zdążyła do swoich oddziałów. Zgłosił się do mnie por. Józef Ebłowski, mój sąsiad, i przekazał nam broń kupioną w ostatnich dniach od Niemców. Trzymał ją w tapczanie w mieszkaniu. On też fachowo przystąpił do organizowania plutonu, więc powierzyliśmy mu dowództwo. W skład weszli żołnierze z »Gurta«, drużyna »Technopol« (oddział NSZ dowodzony przez kpr. pchor. Leona Grabskiego »Blaszkę«) oraz ochotnicy. Z nimi po kilku godzinach zdobyliśmy Wojskowy Instytut Geograficzny (WIG) przy Alejach Jerozolimskich. Skrót W.I.G. przyjęliśmy jako nazwę plutonu. Zdobyliśmy ogromne pomieszczenie na placówkę i kwatery. Były tam duże ilości benzyny, z której zaczęto, pod kierunkiem ppor. »Leka« Bolesława Niewiarowskiego, fabrykować butelki zapalające".

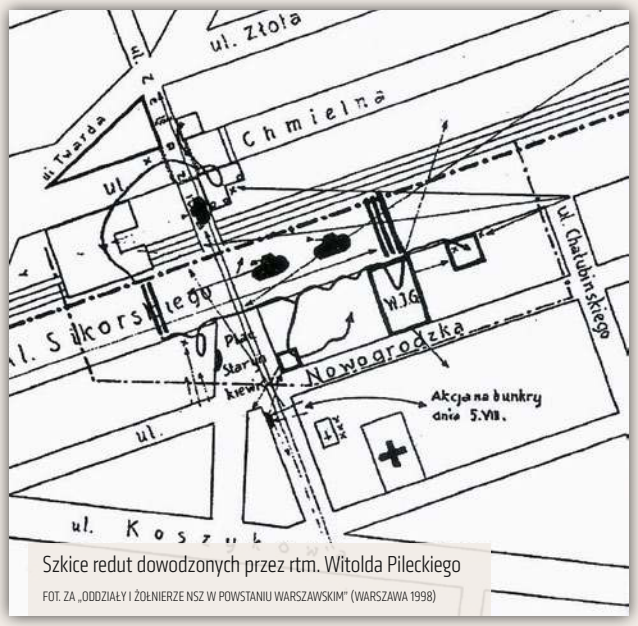

Szkice redut dowodzonych przez rtm. Witolda Pileckiego

FOT. ZA „ODDZIAŁY I ŻOŁNIERZE NSZ W POWSTANIU WARSZAWSKIM" (WARSZAWA 1998)

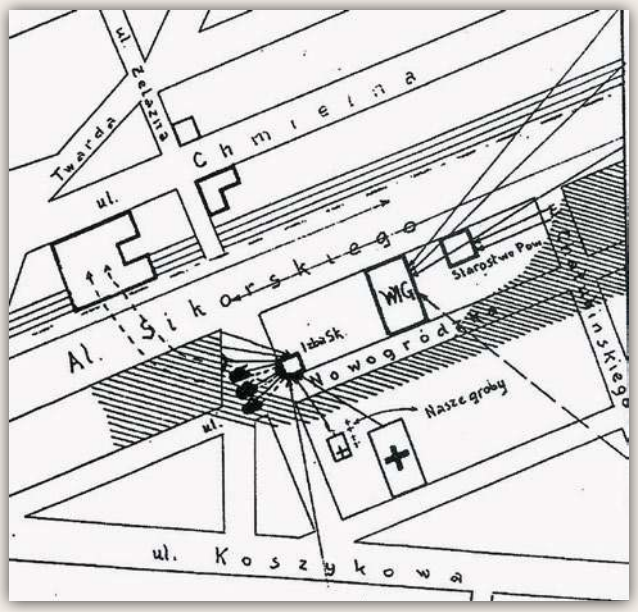

W tym czasie w walkach w pobliskiej dzielnicy Woli do oddziału szturmującego fabrykę Czajkowskiego przy ulicy Młynarskiej przyłączyło się dwóch nieznanych nikomu oficerów: rtm. „Witold" i por. „Janek". Wieczorem przez szpital św. Stanisława przedostali się do rogu ulic Żelaznej i Chłodnej. Rano następnego dnia zameldowali się u dowódcy tego odcinka, mjr. „Liga" Leona Nowakowskiego z Narodowych Sił Zbrojnych, w jego kwaterze przy ulicy Twardej 40. Przedstawili się majorowi jako zbiegowie z obozu koncentracyjnego w Auschwitz, nie podając nazwisk, tylko pseudonimy i stopnie wojskowe. Otrzymali rozkaz sformowania oddziału i „oczyszczenia" rejonu małego getta, odcinka ulicy Pańskiej pomiędzy ulicami Twardą a Żelazną oraz zlikwidowania niemieckich dywersantów – „gołębiarzy" przy ulicy Ceglanej. Z 17 ochotnikami wykonali rozkaz i wrócili na Twardą 40.

Tegoż dnia, 2 sierpnia, pluton W.I.G. otoczył i próbował zdobyć wolno stojący gmach w Alejach Jerozolimskich, w którym mieściły się niemieckie starostwo Warszawa-Wieś i część starostwa grodzkiego. Bronili go skutecznie uzbrojeni urzędnicy starostwa. Pluton zmienił plan i przeprowadził udane natarcie na Dom Turystyczny przy placu Starynkiewicza, obsadzony przez esesmanów. Zdobyto karabin maszynowy i kilka karabinów z amunicją.

ZAJĘCIE POCZTY

W tym czasie w kwaterze przy Twardej 40 rotmistrz i porucznik otrzymali od mjr. „Liga" nowe zadanie – opanowanie skrzyżowania Alei Jerozolimskich oraz placu Starynkiewicza, żeby powstrzymać chociaż przez kilka dni nieprzerwane transporty niemieckich oddziałów, czołgów, wozów pancernych i ciężarówek ze sprzętem, przemieszczające się z Pragi przez most Poniatowskiego do Okęcia. Rotmistrz „Witold" i por. „Janek" zabrali ze sobą pięciu młodych ludzi z ppor. „Goliatem" N.N. (nazwisko nieznane). 3 sierpnia o godz. 7 zostawili drużynę „Goliata" w Domu Kolejowym przy Żelaznej, przy wylocie w Aleje, i dołączyli do podchorążego „Janosika" Wacława Kucharskiego, który z kilkoma powstańcami zajmował stanowiska przy Chmielnej 126, naprzeciwko Poczty Dworcowej z obsadą niemiecką. Poczta zajęta została przez powstańców, Niemcy wycofali się z niej bez walki.

eprasa.pl 025d2d1ac6

Rotmistrz „Witold" z por. „Jankiem" przeskoczyli przez ostrzeliwane Aleje do opuszczonego Domu Turystycznego przy placu Starynkiewicza. Natychmiast zgłosiło się do nich, jak napisał rotmistrz, kilku powstańców z sąsiednich domów, którzy odcięci zostali od macierzystych jednostek w Godzinie „W". Oddziałek rotmistrza liczył już ośmiu ludzi. Skokami ruszyli w stronę ulicy Lindleya. Od broni maszynowej z niemieckich bunkrów zginęło dwóch powstańców, trzeci został ranny. Oddziałek opanował kilka budynków i dotarł do WIG, wieszając na dachu polski sztandar. Wywołało to wściekły ogień zdezorientowanych Niemców, którzy nie wiedzieli, jakie siły opanowały budynki, zagrażając ich transportom Alejami ze wschodu na zachód.

Od tego dnia wszyscy walczący w tym rejonie pod dowództwem rtm. „Witolda" podporządkowani zostali dowództwu Grupy „Chrobry" (później „Chrobry II") mjr. „Liga" Nowakowskiego.

Porucznik „Janek" udał się do dowództwa na Twardą 40 po wzmocnienie obsady WIG. Wrócił sam, obrał nowy pseudonim – Ostrowski – i z oddziałem 10 powstańców uzbrojonych w dwa karabiny i trzy pistolety bezskutecznie atakował starostwo. Wrócił do WIG i wspólnie z rotmistrzem, powstańcami i mieszkańcami domów przy Alejach pod numerami 93, 95 i 97 zaczęli budować barykadę przez Aleje. Z braku min rtm. „Witold" zaproponował ułożenie przed barykadą dużych puszek znalezionych w WIG.

Z londyńskiej relacji: „W Starostwie, w chwili opanowywania klatki schodowej, giną od granatów ppor. Ebłowski i strzelec »Romek« [N.N.], trzej zostają ranni". Pięćdziesiąt lat później „Janka" Grabska-Brzezińska przekazała mi, że ppor. Ebłowski (jego ciało oddano narzeczonej) pochowany został w galowym mundurze oficerskim, w którym poległ. W marcu 1945 r. rodzina ekshumowała zwłoki i przewiozła je na cmentarz w Kaliszu.

Rotmistrz „Witold" i por. „Janek" zorganizowali obronę, dzieląc zdobyty teren na dwie części. Rotmistrz stworzył stanowiska ogniowe w Izbie Skarbowej z ostrzałem na Filtry, plac Starynkiewicza, ulice Koszykową i Nowogrodzką. Porucznik „Janek" wzmocnił załogę W.I.G. i przygotowywał się do zdobycia Starostwa Powiatowego w budynku przy Alejach Jerozolimskich 85.

Po południu 4 sierpnia od Dworca Głównego Alejami Sikorskiego ruszyła kolumna czołgów i pojazdów pancernych w kierunku placu Zawiszy. W kolumnie posuwającej się Alejami Sikorskiego jechało 79 czołgów i pojazdów. Budynku broniło 18 powstańców uzbrojonych w dwa pistolety maszynowe Błyskawica, trzy karabiny, pięć pistoletów i butelki z benzyną.

Na wysokości WIG niemieckiej kolumnie zagrodziła drogę stalowa lina, przeciągnięta dzień wcześniej w poprzek Alei przez powstańców, którzy przywiązali ją do latarni po obu stronach jezdni. A także barykada z wyłożonymi przed nią puszkami z proszkiem do prania. Podjechał czołg, zatrzymując się kilkadziesiąt metrów przed barykadą. Zerwał stalową linę i zaczął ostrzeliwać puszki z broni maszynowej.

Jeden z czołgów, z posuwającą się przy nim grupą panzergrenadierów, zatrzymał się przed budynkiem WIG. Zaczęli rozbierać barykadę, ostrzeliwani z okien i obrzucani butelkami z benzyną. Rotmistrz „Witold" napisze rok później w Londynie: „W gmachu WIG-u istne piekło, pociski z działek przeszywają gmach, niesamowity huk detonacji, piechota rozbiera barykadę, odnosząc na bok »miny« [poszarpane opakowania po proszku do prania]. W gmachu WIG wybucha pożar. Por. »Ostrowski« wraz z nadbiegłym z Izby Skarbowej rtm. »Witoldem«, pchor. »Blaszką« [Leonem Grabskim] i strzelcem »Bruno« [Julianem Sztykiem], na strychu przez otwory pod dachem, biorą na cel pracujących przy »minach« piechurów, zabijając kilku…".

NIEZWYKŁA ODWAGA ROTMISTRZA

Przy kolejnej próbie zaatakowania Niemców w starostwie por. „Ostrowski" został śmiertelnie zraniony. Nazywał się Jan Redzej, w czasie okupacji przybrał nazwisko Jan Redke. W momencie, kiedy umierał, rtm. „Witold" wspierał natarcie ppor. „Wilka" N.N. atakującego z Domu Turystycznego Dyrekcję Wodociągów na rogu placu Starynkiewicza i Nowogrodzkiej. W natarciu poległ ppor. „Janusz" N.N. Przy próbie ściągnięcia jego ciała polegli strzelec i biegnące na ratunek dwie sanitariuszki. Z londyńskiej relacji: „Ciała czworga zabitych ściągnął z pola ostrzału osobiście rotmistrz Witold. Po powtórnym ataku podporucznika »Wilka« Niemcy opuszczają Dyrekcję Wodociągów".

Obrońcy redut WIG i starostwa, otoczeni przez Niemców z trzech stron, wycofali się na rozkaz dowództwa Grupy „Chrobry II" w nocy z 12 na 13 sierpnia na drugą stronę Alei Jerozolimskich. Jako ostatni, samotnie, opuścił redutę rtm. „Witold" – Witold Pilecki. Wymienił w londyńskiej relacji 49 osób, w tym 26 uzbrojonych mężczyzn, 19 bez broni i czterech młodocianych łączników. Nie wymienił dwóch lekarzy, sanitariuszek i kobiet przygotowujących posiłki. Wymienił natomiast z pseudonimami 22 poległych wraz z miejscami ich pochowania, pięciu zaginionych, sześciu ciężko rannych i 11 rannych. Ostatnie uzbrojenie obrońców redut stanowiły: dwa pistolety maszynowe konspiracyjnej produkcji Błyskawica, dziewięć karabinów, 14 pistoletów i sześć granatów. Rotmistrz nie wymienił broni myśliwskiej, dubeltówek zdobytych w starostwie. Według „Janki" Grabskiej-Brzezińskiej stan obsady redut wynosił 63 osoby – mężczyzn, kobiet i dzieci łączników.

> **Nie udało się komunistom, mordując rotmistrza w 1948 r. w więzieniu mokotowskim, wymazać go z historii. Jedno im się udało – tak ukryli jego zwłoki, że nie odnaleziono ich jeszcze po 77 latach**

Dlaczego przez prawie pół wieku milczano? Dlaczego nic nie wiedzieliśmy o udziale rotmistrza w Powstaniu Warszawskim? Czy dlatego, że jako oficerowi Armii Krajowej zupełnie nie przeszkadzało mu walczyć ramię w ramię z oficerami i żołnierzami Narodowych Sił Zbrojnych? Nie udało się komunistom, mordując rotmistrza w 1948 r. w więzieniu mokotowskim, wymazać go z historii. Jedno im się udało – tak ukryli jego zwłoki, że nie odnaleziono ich jeszcze po 77 latach.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 025d2d1ac6

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Młodociani

Wiele sporów wywołuje wiek konspiratorów przyjmowanych do organizacji niepodległościowych w okupowanej Polsce w latach 1939–1945. Nawet wśród historyków panuje zamieszanie, a efektem jest promowanie wersji o dzieciach w konspiracji. Prowadziło to, i nadal prowadzi, do deprecjacji i ośmieszania Polskiego Państwa Podziemnego. Być może wielu kontrowersji dałoby się uniknąć, gdyby nie to, że osoby, które uzyskiwały tzw. uprawnienia kombatanckie, otrzymywały również gratyfikację finansową w postaci comiesięcznych dodatków pieniężnych. Z ideałów zrobiono więc pośmiewisko. Bohaterów zrównano w ich statusie z uzurpatorami i pospolitymi kłamcami. Stało się tak, bo „kombatańcami" (zarówno w PRL-owskim ZBoWiD, jak i w Polsce po 1989 r.) zostawały osoby, które w konspiracji (z racji wieku) być nie mogły.

Już pierwsza Instrukcja dla kraju, podpisana przez gen. Kazimierza Sosnkowskiego z 4 grudnia 1939 r., określała, kto mógł być przyjęty do służby w Związku Walki Zbrojnej (od 1942 r. – AK). Określony w niej był wiek potencjalnego konspiratora: ukończone 17 lat. Warunkiem przyjęcia do służby było złożenie przysięgi, wybór pseudonimu, poddanie się regułom odpowiedzialności i rozkazom. Nie każdy mógł być przyjęty, choćby spełniał wymogi wiekowe. I nie każdy mógł do organizacji przyjmować nowych żołnierzy, ponieważ odpowiadał za to gardłem.

Kandydat musiał być na odpowiednim poziomie rozwoju (fizycznego i psychicznego). Wymagane były też rekomendacje dwóch osób z organizacji, które go znały i ręczyły za jego postawę. W grę wchodziły również związki rodzinne, narodowość, opinia środowiskowa itp. Czyli nie było to tak, że każdy mógł sobie wejść i po prostu tam być. Z czasem obniżono kryterium wieku – do 16 lat, ale z wieloma obostrzeniami. Nie wszyscy byli bowiem w konspiracji potrzebni i nie wszyscy się do niej nadawali. Ponadto zasada rozkazodawstwa i odpowiedzialności karności powodowała, że naruszenie dyscypliny, tajemnicy, hierarchii było surowo karane, w tym karą śmierci!

Dlatego żaden dowódca (plutonu, kompanii itd.) nie wziąłby na siebie odpowiedzialności za przyjęcie dziecka w szeregi konspiracji. Dzieci (starsze) były wprawdzie zdolne do wykonywania niektórych zadań i czynności pomocniczych, ale z racji licznych ograniczeń (wiekowych, poziomu świadomości i odpowiedzialności) do konspiracji przyjmowane nie były. Każdy dowódca, który przekroczyłby swe kompetencje, nie tylko naruszyłby dyscyplinę, lecz także podlegałby odpowiedzialności karnej. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Klęska margrabiego

Margrabia był ostrożnym politykiem. Jako naczelnik rządu cywilnego Królestwa Polskiego doskonale wiedział, że Petersburg nie zaakceptuje przywrócenia konstytucji z 1815 r. Ograniczył zatem żądania do późniejszego o kilkanaście lat statutu organicznego. Dokument ogłoszony przez Rosjan po klęsce powstania listopadowego wydawał się dobrym początkiem w planowanej subtelnej grze z zaborcą, chociaż planował go „zmodyfikować do obecnych czasów".

W Polsce jednak osoba reformatora bywa z reguły ważniejsza niż jego program. Wielopolski miał sukcesy, a to wzbudzało zawiść. Przez dwa lata działalności osiągnął dużo, dorobił się jednak ogromnej liczby wrogów. Wiele w tym jednak winy samego margrabiego niedbającego o opinię publiczną. Nie tylko nie potrafił, lecz także nie chciał zachęcać społeczeństwa do własnych reform.

Samodzielność w planowaniu i działaniu bywa cnotą, ale na dłuższą metę nie można rządzić bez społecznego przyzwolenia. Co gorsza, Wielopolski nie potrafił dojść do porozumienia z żadnym ze stronnictw politycznych w Kongresówce. Zarówno konserwatyści (biali), jak i radykalni demokraci (czerwoni) byli mu wrodzy. Ci ostatni próbowali nawet go zabić, a pierwszy z zamachowców, Ludwik Ryll, 7 sierpnia 1862 r. usiłował go zastrzelić, gdy wychodził z posiedzenia Komisji Skarbu. Wielopolski obronił się laską, a gdy kilka dni później inny zamachowiec rzucił się na niego z zatrutym kindżałem, margrabiego ocalił własny stangret.

„Bojąc się, by nie został otruty – pokpiwał Walery Daniłowski – miał jeść tylko jajka i mleko od krowy, którą doiła jego żona. Cały dom otoczony był żandarmami, a nawet jeden z żandarmów miał sypiać z nim w jednym pokoju. Toteż puszczano anegdotę, że jego żona, także bojąc się, prosiła, by i jej pozwolił sypiać z żandarmem".

Okazja do opanowania sytuacji nadarzyła się jesienią. Ogłoszono brankę do wojska carskiego, pierwszą w Królestwie od czasów wojny krymskiej. Do armii rosyjskiej miało trafić 12 tys. poborowych, a Wielopolski osobiście przygotował listę kandydatów, starając się pozbyć się z kraju rewolucjonistów.

Czerwoni nie mogli do tego dopuścić, oznaczałoby to bowiem sparaliżowanie ich działalności. Zdecydowano, że data branki będzie jednocześnie datą wybuchu powstania. Z powodów organizacyjnych nie doszło do realizacji planu, branka odbyła się w nocy z 15 na 16 stycznia 1863 r., a zagrożeni poborem opuścili domy. Nie było jednak czasu do stracenia i powstanie wybuchło tydzień później. To był właściwie koniec kariery margrabiego. ©℗

eprasa.pl 025d2d1ac6

Wojna światów

Jacek Przybylski z Kiszyniowa

Gdy szefowa Komisji Europejskiej próbowała przedstawiać swą klęskę w negocjacjach z USA jako sukces, władze Mołdawii demonstrowały przywiązanie do unijnych wartości i wolności słowa, deportując niektórych europejskich polityków, którzy przylecieli do stolicy tego kraju na międzynarodową konferencję konserwatystów

Czwarta konferencja z serii „Make Europe Great Again" (MEGA) – zorganizowana w ubiegłym tygodniu w Kiszyniowie pod hasłem „Mołdawia między Wschodem a Zachodem" – prawdopodobnie nie wzbudziłaby zainteresowania międzynarodowych mediów. Bo chociaż Mołdawia po rosyjskiej inwazji na Ukrainę rozpoczęła aktywne starania o integrację z UE, w czerwcu 2022 r. otrzymała status kraju kandydującego, a 4 lipca 2025 r. w Kiszyniowie zorganizowano pierwszy szczyt UE-Mołdawia, to wieści z najbiedniejszego kraju Europy rzadko przebijają się do zachodnich serwisów informacyjnych.

KONSERWATYŚCI NA CELOWNIKU

Tym razem było inaczej. Władze Mołdawii uznały bowiem, że uczestnicy organizowanej przez rumuńską partię AUR międzynarodowej konferencji MEGA – jej wcześniejsze edycje odbyły się w Belgii, Grecji i Rumunii – akurat dla ich kraju stanowią istotne zagrożenie. Na lotnisku tymczasowo zatrzymano m.in. paszport dyplomatyczny czeskiego posła do Parlamentu Europejskiego Ondřeja Dostála, a następnie uznano go za persona non grata i deportowano do Rumunii. „Zawsze kiedyś przychodzi czas na pierwszy raz. Nawet w przypadku deportacji posła do Parlamentu Europejskiego, z kraju kandydującego do UE" – napisał Dostál w mediach społecznościowych.

Władze deportowały również rzecznika prawicowej greckiej partii NIKI Dimosa Thanasoulasa oraz wiceszefa komisji spraw zagranicznych flamandzkiego parlamentu i jednocześnie jednego z przywódców drugiej największej partii w Regionie Flamandzkim, eurosceptycznej Vlaams Belang, Filipa Dewintera. Cytowani przez mołdawskie media przedstawiciele tamtejszej służby bezpieczeństwa (SIS) tłumaczyli, że deportowane osoby chciały wziąć udział w wydarzeniu zaplanowanym przez „podejrzanych organizatorów, których finansowanie nie jest przejrzyste i którzy mają powiązania z grupą przestępczą Ilana Şora". Niektórzy goście mieli również „promować ekstremistyczną agendę", głosić poglądy „zagrażające mołdawskiej demokracji i integralności terytorialnej" oraz prowadzić „wojnę hybrydową" pod auspicjami Rosji.

Takim podejrzanym o „ekstremizm" osobnikiem wydał się służbom w Kiszyniowie np. znany amerykański konserwatywny aktywista Brian Brown. I trzeba przyznać, że już same nazwy instytucji, którymi kieruje, w świecie ideologii woke mogą brzmieć „wywrotowo". Brian Brown to bowiem dyrektor Krajowej Organizacji do spraw Małżeństwa oraz Międzynarodowej Organizacji do spraw Rodziny. Trudno go jednocześnie uznać za miłośnika LGBT. Był również głównym mówcą na Światowym Kongresie Rodzin – konserwatywnym wydarzeniu, które odbyło się w Kiszyniowie w 2018 r. I właśnie przez konserwatywne poglądy spędził noc na lotnisku pod okiem strażników, czekając na deportację. W jego sprawie skutecznie interweniowała jednak ambasada USA.

– Siedziałem już w samolocie gotowy do startu, gdy zostałem wyprowadzony przez strażników. Powiedziano mi krótko, że władze popełniły błąd i że teraz witają mnie już w Mołdawii – opowiadał „Do Rzeczy" Brian Brown, który na konferencji w Kiszyniowie z iskrą w oku… zachwalał tradycyjną rodzinę i tradycyjne wartości.

Na lotnisku w Kiszyniowie zatrzymani przez mołdawskie służby zostali także były wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego Ryszard Czarnecki oraz znany brytyjski parlamentarzysta, szef Sojuszu Europejskich Konserwatystów i Demokratów, a jednocześnie praprawnuk królowej Wiktorii Ian Liddell-Grainger. – Nie słyszałem jeszcze nigdy o tym, aby kraj kandydujący do Unii Europejskiej wyrzucał członków Parlamentu Europejskiego czy członków parlamentów krajów członkowskich UE, które będą głosowały nad ewentualnym przyjęciem Mołdawii do Unii – powiedział „Do Rzeczy" Ryszard Czarnecki. – Sądzę, że była to nieracjonalna akcja mołdawskich władz, które próbowały uniemożliwić dojście do skutku międzynarodowej konferencji, na którą zaproszeni byli między innymi liderzy mołdawskiej opozycji. Widocznie władze uznały, że skoro mogą bezkarnie

eprasa.pl 025d2d1ac6

Podczas konferencji przemawiała m.in. Victoria Furtună, była prokurator do spraw korupcji, opozycyjna kandydatka na prezydenta w 2024 r. i liderka partii Moldova Mare FOT. JAP

zamykać opozycyjne telewizje, to mogą też deportować przedstawicieli władzy ustawodawczej krajów UE czy nawet Amerykanów! A takie zachowanie nie może być akceptowane – dodał były wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego.

Władze Mołdawii nie wpuściły także do kraju kilku członków rumuńskiego Sojuszu na rzecz Jedności Rumunów (AUR), którzy do Kiszyniowa próbowali wjechać samochodem. W odpowiedzi lider rumuńskiej partii politycznej AUR, George Simion, zagroził prezydent Mołdawii Mai Sandu, że może wezwać 5 mln obywateli Rumunii, którzy głosowali na niego w ostatnich wyborach prezydenckich, do bojkotu towarów z Mołdawii. Ponadto na konferencji w Kiszyniowie obecni byli wpływowi politycy partii AUR, w tym senator Cristina Dumitrescu, która nie ukrywa, że jest zwolenniczką idei połączenia Mołdawii z Rumunią (za takim rozwiązaniem opowiada się też ponad jedna trzecia Mołdawian).

Za incydenty na lotnisku przeprosił jej uczestników opozycyjny wobec obecnego rządu i prezydent konserwatywny burmistrz Kiszyniowa z proeuropejskiej partii MAN, który otwarcie krytykuje rosyjską agresję na Ukrainę i który z poleceniem deportowania polityków nie miał nic wspólnego. – Cenimy wolność słowa. Niestety, wartości europejskie nie są przestrzegane przez te same osoby, które teoretycznie je promują, ale tylko mówią, że je promują – zauważył Ion Ceban, który niedawno został uznany za „zagrożenie dla bezpieczeństwa" przez „proeuropejskie" władze Rumunii.

Oskarżane przez opozycję o autokratyczne zapędy obecne władze Mołdawii nie wyciągnęły najwyraźniej właściwych wniosków z międzynarodowej medialnej wrzawy. W środę po odprawie na lot powrotny do Warszawy Ryszard Czarnecki został bowiem ponownie zatrzymany na lotnisku w Kiszyniowie. Tym razem przetrzymywano go jednak tylko „czut-czut" (właśnie tego zwrotu miał użyć pracownik służb bezpieczeństwa).

TRUMP KONTRA SOROS

W mołdawskiej edycji MEGA wzięło udział kilkudziesięciu polityków, intelektualistów, aktywistów oraz dziennikarzy z Europy, USA, a nawet z Korei Południowej. Debatowano o różnicach między wizjami świata według Donalda Trumpa oraz świata według George'a Sorosa.

Eksperci próbowali również znaleźć w Kiszyniowie receptę na rozwiązanie wielkiego kryzysu wywołanego nielegalną imigracją i związaną z nim utratą europejskiej tożsamości. – Większość migrantów zgodnie z międzynarodowym prawem nie powinna wcale szukać azylu w Europie. Dlatego musimy zacząć prawdziwie nazywać to, co się dzieje. Imigracja to wielki biznes. Na przewożeniu ludzi z Afryki i Azji do Europy wiele osób i organizacji zarabia obecnie ogromne pieniądze. I dlatego tak trudno przerwać ten proceder – przekonywał hiszpański analityk do spraw międzynarodowych Alvaro Peñas Lopez, który przypomniał, że po ostatnich najazdach muzułmanów w wiekach VII i VIII odbicie własnego kraju z rąk Maurów zajęło Hiszpanom siedem stuleci. – Mam nadzieję, że tym razem Europę z rąk islamistów uda się odbić szybciej – zauważył Lopez.

Komentatorzy zwracali też uwagę na kompletną klęskę polityki integracji. – Gdy podróżuję po Europie, zawsze staram się dostosowywać do lokalnych obyczajów. Tymczasem nielegalni migranci w ogóle nie szanują ani nas samych, ani naszych tradycji, ani naszych praw. To przez nielegalnych imigrantów Szwecja stała się światową stolicą gwałtu. Dlatego musimy postawić im jasną granicę: albo przestrzegacie naszych praw, albo będziecie natychmiast deportowani. Potrzebujemy silnych przywódców i radykalnych rozwiązań, bo to już nie jest zwykły kryzys, ale egzystencjalny kryzys, od którego rozwiązania zależy przyszłość Europy – apelował w Kiszyniowie brytyjski aktywista Jim Ferguson. Założyciel Freedom Train International podkreślił też, że obecnie cała nadzieja leży w takich krajach jak Polska, Rumunia czy Węgry, które stały się ostatnimi „prawdziwymi demokracjami" w Europie po tym, jak Wielka Brytania czy Irlandia poległy na ołtarzu politycznej poprawności. – Nielegalna migracja nie jest przypadkowa. Nie dajmy się oszukać: większość przybyszy to nie rodziny uciekające przed wojną, ale młodzi, silni mężczyźni przybywający do Europy bez żadnych dokumentów. Taka migracja została celowo zaplanowana, bo to potężne narzędzie do zniszczenia od środka suwerennych narodów Europy. Musimy więc mieć odwagę walczyć o swoje prawa, niezależnie od tego, jakimi epitetami ktoś nas potem określi. Nielegalną migrację należy natychmiast zatrzymać, a następnie zająć się tymi, którzy nielegalnie znaleźli się już w granicach naszych państw – zaznaczył Ferguson.

– Europa nie będzie silna, jeśli zapomni o swojej tożsamości. Imigracja to nie tylko kwestia polityczna, lecz także psychologiczna. Musimy więc poważnie traktować obawy mieszkańców naszych krajów. Nadszedł więc czas decyzji, czyje potrzeby są dla nas ważniejsze: naszych własnych obywateli czy nielegalnych migrantów – przekonywała w Kiszynowie Jana Zibulski, niemiecka psycholożka, która doświadczenie zdobywała m.in. pracując w ośrodku dla migrantów, a która obecnie doradza niemieckiej AfD.

– Najważniejsze jest nasze bezpieczeństwo, dopiero potem powinniśmy zajmować się ochroną innych – podkreślał Tomasz Pysiak z Instytutu Myśli Schumana. – W Europie Wschodniej mamy jeszcze nadzieję na rozwiązanie problemu nielegalnej migracji, która jest wykorzystywana jako broń przez progresistów marzących o stworzenia europejskiego superpaństwa, nielegalni migranci niszczą bowiem europejską tożsamość – zauważył Pysiak, krytykując lewicowych ideologów wmawiających ludziom, że należy przyjmować wszystkich nielegalnych imigrantów.

Johan Deckmyn z belgijskiej partii Vlaams Belang podkreślał zaś, że w Europie Zachodniej nadzieja na rozwiązanie tego

eprasa.pl 025d2d1ac6

kryzysu jest mniejsza. – Lewicowe partie widzą bowiem w nielegalnych migrantach swych zwolenników w kolejnych wyborach – stwierdził Deckmyn.

CZERWONY ZIELONY ŁAD

Eksperci w Kiszyniowie ostrzegali również przed skutkami Zielonego Ładu. – Dla mieszkańców Mołdawii Zielony Ład nie jest niczym nowym. Bardzo podobne pomysły mieli bowiem również Sowieci z gospodarką centralnie planowaną. Różnica polega na używanych sloganach i na tym, że tym razem nowy ład nie jest już czerwony, lecz zielony. Marksistowska logika tych działań pozostaje jednak taka sama. Zamiast obiecanej świetlanej przyszłości zielonej Europy widzimy Europę rzuconą na kolana – zauważył mołdawski dziennikarz i historyk Ion Mischevca.
– Zielony Ład to próba samobójcza europejskiej gospodarki, europejskiego rolnictwa i samych Europejczyków. Czas sprawić, aby Europa stała się ponownie konkurencyjna, ponownie wolna i ponownie wielka – przekonywał Mischevca, apelując, aby nie dawać się nabierać lewicowym unijnym politykom, którzy chcą stworzyć nową wersją homo sovieticus.

– Unia Europejska jest, niestety, na drodze do katastrofy. Problemy wynikające z zielonego szaleństwa, kataklizmu imigracyjnego czy rozdętej unijnej biurokracji łączą przedstawicieli partii prawicowych w Parlamencie Europejskim, od umiarkowanych eurorealistów z EKR poprzez eurosceptykow – przedstawicieli Patriotów dla Europy – po najbardziej radykalnych, antyunijnych suwerenistów z niemieckiej AfD oraz z polskiej Nowej Nadziei czyli Konfederacji. Staramy się w tych sprawach mówić jednym głosem – powiedział „Do Rzeczy" Ryszard Czarnecki, dodając, że Polska – zwłaszcza po wygranej prawicy w wyborach prezydenckich – inspiruje konserwatystów z różnych krajów Europy.

Paneliści w Kiszyniowie przypominali również, że chrześcijaństwo nie jest wrogiem Europy, i apelowali, aby nie dawać się dłużej uciszać przez sekularystów, dążących do niszczenia tradycyjnych europejskich wartości. Zwracali też uwagę na upadek europejskich demokracji. – Demokracja na świecie nie tyle jest w odwrocie, ile jest jawnie atakowana. Atakowana przez tyranów, którzy niczym Władimir Putin próbują używać demokracji jako zasłony dymnej dla swych działań. Nawet w Chinach istnieją takie rejony, gdzie przeprowadzane są tzw. eksperymenty demokratyczne – stwierdził w Kiszyniowie pisarz i publicysta „Do Rzeczy" Piotr Gociek, zwracając uwagę na problemy, które zachodnie demokracje mają m.in. z wielkimi międzynarodowymi korporacjami, z mediami społecznościowymi, a także ze zatomizowanymi społeczeństwami i rodzinami, które są łatwe do zmanipulowania. Gociek przywołał także zagrożenia płynące ze zmian kulturowych i kultu samorealizacji, który pozwala jednostkom na zmianę wszystkiego: od narodowości poprzez rodzinę aż do płci. – Skrajny indywidualizm prowadzi do porzucenia idei dobra wspólnego, a bez potrzeby wspólnego dobra nie ma potrzeby demokracji – ostrzegał publicysta.

Zielony Ład dla Mołdawian nie jest niczym nowym. Podobne pomysły mieli też Sowieci z gospodarką centralnie planowaną

UNIA UPOKORZONA

Kolejna konferencja z serii Make Europe Great Again odbędzie się od 5 do 7 sierpnia w Warszawie. Tymczasem nie są już planowane kolejne rundy negocjacji między USA a EU. Waszyngton i Bruksela ogłosiły w ubiegłym tygodniu zawarcie nowej umowy handlowej. W ramach porozumienia między dwoma największymi partnerami gospodarczymi na świecie ustalono 15-procentowe cło na unijne towary eksportowane do USA. UE zobowiązała się do zakupów amerykańskiego sprzętu wojskowego o wartości setek miliardów dolarów oraz do zakupu energii o wartości 750 mld dol. Unia ma także zainwestować w USA 600 mld dol. Jednocześnie nie zmieniono wprowadzonych przez Trumpa stawek celnych na stal i aluminium – w tych przypadkach unijne surowce eksportowane do USA pozostaną objęte stawką celną w wysokości aż 50 proc. UE otworzy także rynek na niektóre amerykańskie produkty z zerowymi taryfami.

Mimo to szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen chwaliła wynegocjowane warunki i przekonywała, że porozumienie przyniesie stabilność i przejrzystość przedsiębiorcom z USA i z UE, którzy odpowiadają łącznie za niemal jedną trzecią światowego handlu, niemal 44 proc. globalnego PKB i którzy stanowią łącznie rynek liczący aż 800 mln ludzi. – To było najlepsze, co mogliśmy osiągnąć – podkreśliła szefowa KE.

Ekonomiści na unijno-amerykańskim porozumieniu nie pozostawili jednak suchej nitki. „Dla mnie to klęska UE, ale rynki pewnie się ucieszą" – napisał na X główny analityk Xelion Piotr Kuczyński. „To takie upokarzające dla Unii Europejskiej. Bolesne jest obserwowanie, jak UE zdegradowała się w globalnej hierarchii, zgadzając się jednocześnie na podważanie globalnych zasad handlowych, które sama promowała" – stwierdził na X ekonomista Marcin Piątkowski.

Wprawdzie Trump groził nawet stawką wynoszącą 30 proc., a nawet 50 proc., ale wynegocjowane 15 proc. nie zmienia tego, że UE zgodziła się podpisać porozumienie na amerykańskich warunkach. Krytykowana jako „szaleńcza" strategia Donalda Trumpa coraz częściej okazuje się skuteczna (USA zawarły już podobne umowy z Japonią oraz Wietnamem). Na asymetryczne porozumienie UE-USA zareagowali również inwestorzy. Euro i złoty istotnie osłabiły się wobec amerykańskiego dolara.

Krytycznie warunki porozumienia oceniają także politycy. – Von der Leyen publicznie zapowiadała, że cła wyniosą 0 proc., tymczasem jest 15 proc., a na stal i aluminium 50 proc. – zauważył Ryszard Czarnecki. – Tym politykom i komentatorom, którzy mówią, że Trump uderzył w gospodarkę europejską, w tym polską, przypominam z kolei, że owa gospodarka europejska dusi się w gorsecie bezsensownych regulacji narzucanych przez Brukselę. To Komisja Europejska sprawia, że Europa staje się coraz mniej konkurencyjna. Ursula von der Leyen o tym nie mówi, ale Europa jest na równi pochyłej. Przegrywa rywalizację ekonomiczną z innymi kontynentami. Właśnie dlatego mówimy jednym głosem, aby sprawić, że UE znów stanie się bardziej konkurencyjna i bezpieczna – konkludował były wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 025d2d1ac6

FOT. DAVID PENNADO/ANADOLU/GETTY IMAGES

ZARZUT RASIZMU

Okręg szkolny Karoliny Północnej został zobowiązany do przeprosin i wypłaty 20 tys. dol. odszkodowania 16-latkowi, którego na parę dni zawieszono w prawach ucznia, ponieważ na lekcji języka angielskiego zadał pytanie: „Czy »obcy« oznacza kosmitę czy nielegalnego imigranta?". Młodemu człowiekowi zarzucono rasizm i tak zinterpretowane jego zachowanie odnotowano w dokumentacji szkolnej. Teraz sprawa jest odkręcana.

FLIRT Z CHATGPT

Czy można się zadurzyć w bocie AI? Można. 55-letnia Brazylijka, która mieszka we Włoszech, coraz częściej korzystała z ChatGPT. Im dłużej to jednak trwało, tym relacja z botem coraz bardziej angażowała kobietę emocjonalnie. Nadała nawet swojemu „interlokutorowi" imię Theo. Twierdzi, że żaden człowiek nie dał jej tego, co bot, i dlatego ciosem było dla niej, gdy konwersacja z ChatGPT po przekroczeniu limitu czasu została przerwana.

ZWIERZĘ JAKO CZŁOWIEK

Jednostkowy flirt z ChatGPT to jeszcze nic. Szokujący wynik przyniosło badanie firmy MetLife. Aż 31 proc. przepytywanych właścicieli zwierząt domowych zadeklarowało, że rozważyłoby... randkę z ludzką wersją swojego pupila. Skąd w ogóle pomysł, żeby coś takiego sondować? Okazuje się, że internauci zwrócili się do generatora obrazów ChatGPT z poleceniem o wizualizację swoich zwierząt jako ludzi.

TALIA ZA MILION

Mieszkanka Miami chwali się, że wydała 1 mln dol. na to, żeby pobić rekord najwęższej talii na świecie. Jeszcze tego celu nie osiągnęła, ale jest blisko. Rekord wynosi bowiem 15 cali, a jej talia mierzy teraz 18 cali. Żeby uzyskać taki efekt, 33-letnia kobieta nosiła codziennie przez prawie całą dobę gorset (zdejmowała go tylko do kąpieli) i poddawała się bardzo kosztownym zabiegom chirurgii estetycznej.

BABCIE NA POSYŁKI

W Japonii ok. 100 kobiet w wieku od 60 do 94 lat pracuje w ośrodku, który serwuje usługę „OK Babcia". Stawka godzinowa ich pracy to równowartość nieco ponad 20 dol. Do tego doliczane są koszty transportu. Seniorki pełnią rolę „wypożyczonych babć". Po co? Zdarzają się i takie kuriozalne sytuacje, jak zakończenie związku między chłopakiem a dziewczyną. Ktoś nie ma odwagi powiedzieć drugiej osobie o chęci rozstania i wysyła z tą wiadomością „babcię". ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

LOT? Cukierki roznoszę 2.0

Patriotyzm gospodarczy. Od lat uważam, że to zasada, którą powinno się kierować z korzyścią zarówno dla rodzimych przedsiębiorców, jak i dla samych konsumentów (wspieranie własnej gospodarki napędza PKB Polski, tworzy miejsca pracy, ułatwia przechodzenie przez globalne kryzysy gospodarcze etc.).

Są jednak firmy, które nie marnują okazji, aby przypominać, że patriotyzm gospodarczy nie może być ślepy. Przekonała się o tym pasażerka „Misia", prosząca o pomoc stewardesę. Krótka riposta: „cukierki roznoszę" stała się kultowa, bo dobrze obrazowała stosunek monopolisty do klientów. Niestety, przypominam ją sobie regularnie, gdy „ostatni raz" daję szansę narodowemu przewoźnikowi (choć nie jest on już na szczęście monopolistą). Od lat naiwnie wierzę bowiem, że rozwinięcie skrótu z nazwy jako „Later Or Tomorrow" (z ang. później lub jutro), jak na forach zauważa wielu podróżnych, to musi być gruba przesada...

Czysty masochizm? Nie. Świetni polscy piloci kontynuują chlubną tradycję naszych asów przestworzy. Gorzej jest z tymi, którzy mają bezpośredni kontakt z klientem. Ci sprawiają wrażenie, jakby obsługi uczyli się na podstawie scenariusza Barei i Tyma (albo to ja mam pecha). Ostatnio LOT poległ już na etapie odprawy on-line. „Odprawa zakończyła się niepowodzeniem" – głosił komunikat. Konsultant na infolinii zalecił próbować co kilka godzin. Po wielu próbach nic się nie zmieniło... Wówczas pan z infolinii oznajmił krótko, że LOT nie obiecuje, iż musi się udać, i kazał stawić się w kolejce na lotnisku z tak dużym wyprzedzeniem, że latanie LOT-em po Europie dla mnie straciło sens. Chęć pomocy? Zero. Cukierki? Nie było... ©℗

eprasa.pl 025d2d1ac6

Kadr z przemówienia Wołodymyra Zełenskiego z 23 lipca 2025 r., w którym poruszył temat korupcji

FOT. PRESIDENT.GOV.UA

Rak korupcji?

Robert Bogdański

Wiele wskazuje na to, że posunięcie prezydenta Ukrainy polegające na faktycznym podporządkowaniu sobie instytucji antykorupcyjnych było próbą generalną nowego ustawienia rzeczywistości międzynarodowej i krajowej w sposób pozwalający ekipie Zełenskiego na długie korzystanie z renty władzy

Role zdawały się rozpisane precyzyjnie. Europejczycy mieli dostarczać pieniądze, a także czerpać z unijnej kasy, bo mechanizmy budżetowe utworzone ostatnio umożliwiają pozyskiwanie środków na przedsięwzięcia wspólne z Ukraińcami. Oprócz tego „stara" Europa miała przed oczami perspektywę akcesji Ukrainy, czyli impuls rozwojowy podobny do tego, jaki gospodarka UE uzyskała po poszerzeniu w roku 2004. Kuszące było też polityczne użycie nowego państwa do przeprowadzenia zmian wewnętrznych w Unii. Wszystko to sprawiało, że protestowanie przeciwko pomocy dla Ukrainy i przeciwko szybkiej ścieżce akcesji zostało „zorbanizowane" lub wręcz „sputinizowane". Każdy mający wątpliwości byłby postawiony w jednym szeregu z Orbánem i określony jako faktyczny sługa Putina.

Amerykanie otrzymali własny, korzystny dla siebie układ, w którym nie musieli angażować pieniędzy ze swojego budżetu, a wspólna eksploatacja zasobów mineralnych miała sprawić, że transakcyjnie nastawiony obóz Trumpa byłby skłonny inwestować w bezpieczeństwo swojej inwestycji, dostarczając sprzętu wojskowego (za który płaciłaby Europa) i wywierając polityczny oraz ekonomiczny nacisk na Rosję.

Armia miała walczyć przy pomocy zakupionego za europejskie środki nowoczesnego sprzętu, stabilizując front i zadając wrogom coraz boleśniejsze straty. Społeczeństwo miało być lepiej chronione przed rosyjskimi rakietami i dronami przy pomocy sprzętu produkowanego wspólnie z zachodnimi firmami, więc wojna mogła być wreszcie ograniczona do stosunkowo wąskiego pasa frontowego. Interesy ludzi władzy w Kijowie miały zaś być kontrolowane wyłącznie przez ośrodek prezydencki, a ewentualne próby zmiany tego stanu rzeczy byłyby kontrowane uniwersalnym argumentem o walce z rosyjskimi wpływami. Stabilność układu gwarantowałaby nieprawdopodobna sprawność PR-owska Zełenskiego i jego zdolność wychodzenia praktycznie z każdej politycznej opresji, jak tego dowiódł po słynnym starciu z Trumpem i Vance'em w Gabinecie Owalnym w lutym tego roku.

ODWRÓT ZEŁENSKIEGO

Paradoksalnie, trwanie wojny, które petryfikuje układ polityczny w Kijowie, jest jednym z warunków istnienia tego układu. Nie sposób oczywiście zarzucić Zełenskiemu aż tak daleko posuniętego cynizmu, choćby dlatego, że nie jest na tyle sprawczy, aby decydować samodzielnie o zwycięstwie lub klęsce, ale faktem jest, że zatrzymanie procesu demokratycznego, cenzura medialna i poszerzenie władztwa służb, co jest ściśle związane z prowadzeniem wojny, działają na jego rzecz. Jedynym elementem systemu wymykającym się spod kontroli były dwie instytucje antykorupcyjne: NABU, czyli ukraińskie CBA, i SAP, specjalna prokuratura zajmująca się korupcją.

W ostatnim czasie stało się coś, co skłoniło prezydenta do domknięcia tego systemu i przeprowadzenia próby jego funkcjonowania w nowym kształcie. Być może było to przekonanie, że NABU znalazło się na tropie afer, które mogłyby realnie zagrozić pozycji grupy sprawującej władzę, a co za tym idzie – podciąć podstawy istnienia całego układu. A być może było to przeświadczenie, że skoro Amerykanie są obojętni, a Europejczycy moralnie spacyfikowani, to wreszcie trzeba ten ruch uczynić, żeby nie narażać się na niepotrzebne ryzyko. Inaczej mówiąc,

eprasa.pl 025d2d1ac6

za decyzją mogły stać strach lub pycha. Opór napotkano.

Próbę musiano odwołać z powodu nieoczekiwanie silnej reakcji Zachodu i odważnej postawy młodych Ukraińców, którzy wzorem swoich rodziców i starszych kolegów po prostu wyszli na ulice, nie zważając na to, że demonstracje w czasie wojny są nielegalne, a większe zgromadzenia są śmiertelnie niebezpieczne, bo Rosjanie nie mają żadnych problemów z bombardowaniem ludności cywilnej. Zełenski już kilkadziesiąt godzin po podpisaniu feralnej ustawy wykonał zwrot o pełnych 180 stopni i ruszył całą parą naprzód, tym razem w kierunku odwrotnym do tego, jaki jeszcze przed chwilą był jedynie słuszny. Oznajmił, że uważnie wsłuchuje się w głos młodych demonstrantów, że dziękuje im za zaangażowanie i kieruje do parlamentu ustawę całkowicie odwracającą skutki ustawy poprzedniej. Ten zwrot z pewnością przejdzie do historii jako jeden z najbardziej błyskotliwych przykładów zarządzania kryzysowego, choć hipokryzja szefa ukraińskiego państwa budzi niesmak i z pewnością ci młodzi demonstranci ją zapamiętają.

JEDNA UKRAIŃSKA STAŁA: KORUPCJA

Za wcześnie przy tym, aby przesądzić, czy był to zwrot skuteczny. Na razie wydaje się, że Zełenski ma pewną szansę na sukces w odniesieniu do opinii zachodniej, zwłaszcza Unii Europejskiej, i niewielką w odniesieniu do własnego społeczeństwa. Unia początkowo zareagowała ostro, wstrzymując wypłatę kwoty ok. 1,5 mld euro z mechanizmu pomocowego i grożąc zejściem z szybkiej ścieżki akcesyjnej. Jednak tak kluczowe kraje jak Niemcy mają w odniesieniu do współpracy z Ukrainą konkretne nadzieje polityczne i gospodarcze, więc mogą być skłonne przymknąć oko na faule, o ile tylko obraz rzeczywistości zostanie im odpowiednio przedstawiony, aby reszta świata mogła uwierzyć, że oni uwierzyli. Nie jest chyba przypadkiem, że pierwszym politykiem europejskim, którego Zełenski oficjalnie zawiadomił o złożeniu nowej ustawy, był kanclerz Merz.

Kijów ma przy tym zapewne w pamięci to, że Unia tolerowała w ostatnich latach rozmaite działania na granicy lub poza granicą przyzwoitości. Jednym z nich jest sprawa obsadzenia stanowiska szefa Biura Bezpieczeństwa Ekonomicznego, niezależnej od rządu instytucji mającej zajmować się badaniem instytucjonalnej przestępczości gospodarczej. Od dwóch lat wybrany na podstawie transparentnych procedur kandydat czeka na formalne mianowanie. Bezskutecznie. Podobnie nie znalazła odzewu styczniowa afera związana z obsadzeniem stanowiska szefa Agencji Zamówień Obronnych, operującej budżetem wielu miliardów euro. Napisany między przyjęciem jednej i drugiej ustawy artykuł redakcyjny finansowanego ze źródeł zachodnich serwisu Europejska Prawda skomentował, że „Kijów doszedł do przekonania, że jest odporny na krytykę".

Zełenski nie powinien mieć natomiast wielkich nadziei na przekonanie społeczeństwa, które doskonale zdaje sobie sprawę z tego, jak wygląda sytuacja, i na własnej skórze odczuwa, dlaczego Ukraina jest uznawana za jeden z najbardziej skorumpowanych krajów na świecie. Gniew na korupcję był przecież motorem obu Majdanów. Zwłaszcza drugi z nich, określany jako „rewolucja godności", stawiał wysoko konieczność oczyszczenia życia publicznego. Po jego zwycięstwie zostały utworzone dwie instytucje antykorupcyjne, o które wybuchł spór. Były one od samego początku pod opieką Amerykanów i zapewne ich wsparciu można zawdzięczać to, że od 2014 r. nie udało się żadnemu z prezydentów podporządkować sobie tych instytucji, mimo że usiłowali to uczynić.

Jaka jest skala ukraińskiej korupcji, tego oczywiście nikt nie jest w stanie dokładnie określić. Na pewno jest ona powszechna, o czym świadczą choćby niezliczone afery związane z wykupywaniem się od służby wojskowej, gdy lekarze orzecznicy byli w stanie uciułać po parę setek tysięcy dolarów. Na wyższych szczeblach znajdowali się ważni urzędnicy państwowi, jak choćby Pawło Kirylenko, szef Urzędu Antymonopolowego, który w roku 2024 został postawiony przed sądem za to, że nie zadeklarował majątku wycenianego na półtora miliona euro, co mu zupełnie nie przeszkodziło w dalszym pełnieniu urzędu i niezadeklarowaniu w następnym roku kolejnych nieruchomości. Nadal jednak można uznać, że chodzi o kwoty stosunkowo nieduże. Na wyższym szczeblu mamy Ołeksija Czernyszowa, do niedawna wicepremiera, który został w czerwcu oskarżony o zakup po okazyjnej cenie działki, na czym miał zarobić kilka milionów euro. Biorąc jednak pod uwagę, że ten rzutki biznesmen i urzędnik był przez dwa lata szefem ukraińskiego Naftohazu, można przypuszczać, że wrzucono mu ten zarzut niejako na rozgrzewkę i za chwilę może dojść coś poważniejszego. Co istotne, Czernyszow jest przyjacielem domu Zełenskich, a żony obu polityków są w bliskich stosunkach.

NABU na swojej oficjalnej stronie internetowej informuje, że w pierwszym półroczu tego roku skierowało akty oskarżenia w sprawach, w których w grę wchodziła łączna kwota 18,5 mld hrywien, czyli ok. 370 mln euro. Czy to dużo? Biorąc pod uwagę, że oskarżonych zostało 69 osób, daje to nieco ponad 5 mln euro na głowę, można więc sądzić, że w sieci detektywów zwalczających korupcję znaleźli się raczej średniacy i drobnica. Czy od Czernyszowa miało zacząć się łowienie grubszych ryb? A może od zatrzymania, także w czerwcu, Leonida Mindycza, krewnego Timura Mindycza, współwłaściciela firmy Kwartał 95, która produkowała programy komika Zełenskiego jeszcze w czasach, gdy nie był on prezydentem?

NA KRAWĘDZI

Wszystko to pozostaje w sferze hipotez. Jedna rzecz jest natomiast pewna: działania obozu Zełenskiego przyniosą całkowicie nieoczekiwany skutek międzynarodowy polegający na tym, że z Ukrainy zdjęta zostanie moralna osłona, która chroniła ją przed krytyką. Cytowana tu Europejska Prawda napisała, że „nieoficjalne moratorium na krytykę Ukrainy i jej rządu", którym cieszyła się od inwazji w 2022 r., powinno się skończyć. Owszem, przez jakiś czas było ono przydatne, bo wzmacniało państwo walczące z bezwzględnym wrogiem. Ale na dłuższą metę brak krytyki jest bardziej szkodliwy.

Trudno się z tym nie zgodzić. Wszyscy pamiętamy, jak znakomicie Zełenski był w stanie wykorzystać na swoją korzyść krytykę ze strony Trumpa i Vance'a. Jak potrafił ich ustawić w roli chłopców do bicia. Mam wrażenie, że wtedy właśnie poczuł, że jest sobie w stanie pozwolić na wszystko. I to poczucie doprowadziło go do miejsca, w którym się znalazł. Być może na krawędzi upadku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 025d2d1ac6

Jan Bogatko
z Berlina

Rejestracja migrantów ubiegających się o azyl w dzielnicy Reinickendorf w Berlinie, 6 października 2023 r.
FOT. FABRIZIO BENSCH/REUTERS/FORUM

Welcome to Germany

Państwo niemieckie zaprosiło osadników z Afryki i z Azji. Przyjeżdżają jak leci. Bo przecież to biedni ludzie, szukający dla siebie miejsca na ziemi. Tak mówią politycy, zwłaszcza na lewicy, oraz kapitanowie przemytniczej flotylli na Morzu Śródziemnym. Nie ma przy tym znaczenia, że sami Niemcy mają tych osadników dość, zwłaszcza ci, którzy padli ofiarą brutalnej przemocy z ich strony. Tymczasem rząd kanclerza Friedricha Merza ze strachu przed wyborcami stara się nie tyle powstrzymać migracyjny obłęd, ile przerzucać przybyszów za granicę

Wtorek 8 lipca 2025 r. Dworzec kolejowy w Löbau (po górnołużycku: Lubij), niedaleko Zgorzelca, ok. godz. 16. Liczący 26 lat Afgańczyk, na peronie lokalnej kolei dojazdowej, zainteresował się najpierw młodą kobietą, a chwilę później oczekującą na pociąg dziewczyną. Czy nie opowiadano mu przecież, że dziewczyny na Zachodzie są łatwe i chętne? Osadnik z Afganistanu założył ciemne okulary i dla utrudnienia identyfikacji antycovidową maskę. Pociąg do niemieckiego Zgorzelca ruszył. Młoda kobieta, czując na sobie wzrok Afgańczyka, poprosiła o pomoc jednego z pasażerów. Dziewczyna natomiast poszukała wolnego miejsca w wagonie. Afgańczyk z kolei usiadł naprzeciwko, czyniąc pewne propozycje. Wystraszona dziewczyna przesiadła się i obserwowała, jak Afgańczyk w podobny sposób zajął się dwoma innymi młodymi pasażerkami. Konduktorka, będąca świadkiem incydentu, powiadomiła policję. Ta na dworcu w niemieckim Zgorzelcu zatrzymała podejrzanego. Zarzuca się mu przymuszanie, naruszanie nietykalności cielesnej, posiadanie narkotyków i nielegalne noszenie noża. Przerażonej dziewczynie pomocy musiało udzielić pogotowie ratunkowe. Oczywiście muzułmanie mówią, że gdyby Niemki ubierały się tak, jak tego wymaga Koran, nikt by ich nie zaczepiał. Nie był to jakiś wyjątkowy incydent w Niemczech, aczkolwiek do niedawna Federalny Urząd Kryminalny (BKA) nie ujawniał statystyk przestępstw popełnianych w Niemczech przez osadników. Takie dane pogłębiałyby bowiem strach panujący w tutejszym społeczeństwie, zwłaszcza w wielkich aglomeracjach, takich jak Berlin, Monachium, Kolonia czy Hamburg.

BRUTALNOŚĆ ROŚNIE

Do niedawna nie wiedziałem, co znaczy w policyjnych statystykach skrót TVBZ. Oznacza on „Tatverdächtigenbelastungszahlen". Tak, to jedno słowo, ok. 30 liter, wcale nie najdłuższe w języku niemieckim, gdzie nie brak słów liczących ponad 40 liter. TVBZ to po polsku „liczby podejrzanych o popełnienie przestępstwa". Wartość ta oznacza stosunek podejrzanych w wieku powyżej ośmiu lat na 100 tys. mieszkańców badanej grupy (osób mieszkających na stałe w Niemczech). Na pytanie, jak statystyka przestępczości w Niemczech przedstawia się w podziale na zaproszone przez Angelę Merkel grupy narodowościowe z Afryki i z Azji, nadeszła spodziewana i przerażająca odpowiedź: młodzi ludzie z Syrii, Afganistanu, Algierii, Maroka czy z Turcji zajmują w tej statystyce czołowe miejsca! O ile w przypadku wszystkich notowanych przestępstw wartość TVBZ wynosi 1878, o tyle już np., jeśli weźmiemy podejrzanych z Syrii czy z Afganistanu, współczynnik ten wynosi ponad 8 tys., więc jest ponad czterokrotnie wyższy. Kiedy odliczymy z tej grupy dzieci w wieku od lat ośmiu do czternastu, to wartość np. dotycząca Syryjczyków jest nawet pięciokrotnie wyższa. Jeszcze dramatyczniej przedstawia się statystyka przestępczości „ulicznej" (kradzieże, zwłaszcza kieszonkowe, i wypadki naruszenia nietykalności cielesnej) wśród osadników z Algierii i Maroka. Ci osadnicy z Afryki Północnej popełniają aż 50 razy więcej tych deliktów

eprasa.pl 025d2d1ac6

niż ich niemieccy rówieśnicy. Lewicowe (a takie, co podkreślam, są w Niemczech prawie wszystkie) gazety uspokajają, że ich jest przecież niewiele, zaledwie tysiące. Niemieccy adwokaci mają jednak ręce pełne roboty, zwłaszcza że podatnicy płacą za ich usługi. Jeśli odniosą sukces, doprowadzając do uniewinnienia podejrzanego, to statystyka kłamie – podnosi lewica.

Do niedawna przestępstwa o charakterze fizycznej przemocy w Niemczech wykazywały tendencję spadkową. Jednak to już przeszłość. Brutalność przestępców rośnie. Incydent w Aschaffenburgu z udziałem młodego Afgańczyka (dwie osoby zabite) wywołał ostre reakcje. Nie ograniczono się tym razem wyłącznie do kwiatków, światełek i misiów. To już nowa, świecka tradycja czczenia ofiar zbrodni popełnianych w Niemczech przez osadników. Eksperci mówią, że spadł próg bezkarności, a socjologowie – o „nowej fali przemocy" wśród młodych ludzi. Lewicowi badacze wynajdują tego przyczyny. Nie, nie leżą one w zwiększonej migracji z obcych kręgów kulturowych. Ich zdaniem wynika to jakoby z „presji psychicznej" wobec dzieci i młodzieży, z wszelkiego rodzaju ograniczeń, którym były one poddane w okresie pandemii COVID-19, i wzrostu problemów gospodarczych. Mimo braku rąk do pracy? Mimo rzekomego zapotrzebowania na migrantów ze strony niemieckich pracodawców? Na młodych Niemcach pandemia nie zostawiła żadnego śladu? To bezkarność skłania młodocianych przestępców do wejścia na drogę recydywisty. Tak uważa niemiecka policja. Zaczyna się od drobnej kradzieży w sklepie, lecz sukces uskrzydla złodzieja. Idzie utartym szlakiem, dokonując serii kradzieży. Albo udoskonala wyuczone rzemiosło. Niemiecka policja uskarża się, że często jej praca idzie na marne, bo nagle świadkowie tracą pamięć. Sądy też nie zawsze kończą postępowanie wyrokiem skazującym. Tego nie ukazują żadne statystyki, a lewicowe media wskazują na zawodność statystyk opierających się na wskaźniku TVBZ. Ponadto policja nie zawsze jest powiadamiana o dokonaniu przestępstwa. Zwłaszcza gdy ma ono tło seksualne. Niewątpliwie wstyd odgrywa tu znaczną rolę.

Komuniści z Die Linke chcieli dla imigrantów kolejnych ułatwień. W końcu mahometanie z Afryki i z Azji to ich przyszła klientela wyborcza

ŁĄCZENIE RODZIN

Jedna z berlińskich gazet podaje (bez wskazania źródła), że większość naukowców badających popełniane w Niemczech przez młodocianych przestępstwa uważa, iż narodowość sprawcy ma taki sam wpływ na jego kryminalną karierę, jak jego waga. Skłonność ta wynika jakoby z czegoś innego: młody człowiek z Syrii czy Afganistanu ma inną biografię niż niemiecki nastolatek z Heidelbergu czy Bremy. Tu czytamy o doświadczeniach z przemocą, po czym media wpadają w zastawioną przez siebie pułapkę. Do niedawna w niemieckich mediach pokazywano zdjęcia kobiet z małymi dziećmi. Pamiętają państwo zdjęcie martwego chłopca na plaży? To byli owi „uchodźcy". Teraz na usprawiedliwienie przestępczości wśród islamskich osadników media podają, że z Syrii czy z Iraku przybywają do Niemiec głównie samotni młodzi mężczyźni. Kobiety i dzieci pojawiają się później. Nie pokonują one ryzykownych szlaków morskich. Wcale nie muszą. Drzwi są już przecież otwarte. Przylatują z kraju prześladowania legalnie, bez potrzeby opłacania przemytnika (ok. 2 tys. euro), w ramach akcji „łączenia rodzin". Dopiero teraz rząd Niemiec ograniczył tę absurdalną regulację, i to wbrew apelom komunistów, od których rząd kanclerza Friedricha Merza jest pośrednio zależny. Die Linke chciała dalszych ułatwień, a nie utrudnień! Dla komunistów ta regulacja jest… antychrześcijańska. W końcu mahometanie z Afryki i z Azji to ich przyszła klientela wyborcza. Teraz po raz pierwszy rząd Niemiec stwierdził, że jego celem jest ograniczenie imigracji. Mało prawdopodobne, czy cel ten da się osiągnąć – na razie bowiem tylko zawieszono na dwa lata akcję łączenia rodzin dla osadników przed zakończeniem postępowania azylowego. Minister spraw wewnętrznych w Berlinie, Alexander Dobrindt, mówi wprawdzie o Niemczech, że „łódź jest pełna" i więcej migrantów się w niej nie zmieści, ale to szlagier sprzed lat i w słowa ministra nie każdy wierzy. W ubiegłym roku niemieckie konsulaty w krajach pochodzenia migrantów wydały 120 tys. wiz w ramach akcji łączenia rodzin. Czy to wpłynie na zmniejszenie przestępczości osadników w Niemczech?

Kilka lat temu przeprowadzono badania naukowe – sugerowano bowiem (to znaczy lewica sugerowała), że łączenie rodzin może zmniejszyć przestępczość wśród „uchodźców". Odnosząc się do przestępstw popełnianych przez młodych mężczyzn osadników, kierownik badania Christian Pfeiffer zwrócił uwagę na brak u nich partnerek lub matek. Dopatrywano się w tym przyczyny ich kryminalizacji. Kryminolog prof. Gina Wollinger zajmuje się przestępczością wśród cudzoziemców i powiązaniami między migracją a przestępczością. Twierdzi ona, że badania nie prowadzą bezpośrednio do wniosku, że łączenie rodzin zmniejsza przestępczość. Jej zdaniem jest to tylko oparta na wynikach badań hipoteza. Jednak badania kryminologiczne generalnie wskazują, że integracja rodziny jest czynnikiem hamującym przestępczość: „Badania potwierdzają jednomyślność: osoby samotne, słabo zintegrowane społecznie lub sfrustrowane częściej popełniają przestępstwa niż osoby dobrze zintegrowane z rodziną i społeczeństwem. Doświadczanie rodzicielskiego wychowania lub samodzielne przejmowanie odpowiedzialności rodzicielskiej zmniejsza prawdopodobieństwo popełnienia przestępstwa. Dlatego rozdzielanie rodzin zazwyczaj zwiększa ryzyko przestępczości" – mówi Wollinger.

Czy przestępczość w Niemczech wzrośnie po nowej zmianie prawnej dotyczącej łączenia rodzin, dowiemy się dopiero za kilka lat. Albo i wcale. Dowodem na to są arabskie klany przestępcze operujące z Berlina. Najsłynniejszy ich skok dokonano na muzeum w skarbcu na zamku królewskim w Dreźnie. Z łupu, którego wartość oceniono na co najmniej 114 mln euro, odzyskano niewiele – w tym gwiazdę polskiego Orderu Orła Białego z brylantami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 025d2d1ac6

Więzień sumienia

Maria Kądzielska-Koper

Jimmy Lai już cztery i pół roku przebywa w chińskim więzieniu. Do jego uwolnienia wezwały zarówno parlament Wielkiej Brytanii, jak i Kongres USA. Szanse są jednak znikome, bo dla Pekinu los Laia ma symbolizować los całego Hongkongu – ktokolwiek będzie protestował, zostanie zniszczony

W czerwcu 2024 r. Sąd Najwyższy w Hongkongu rozpoczął swój pierwszy proces w sprawie roli byłego potentata medialnego Jimmy'ego Laia w prodemokratycznych protestach w 2019 r. Sąd Apelacyjny wciąż rozpatruje apelację Laia i sześciu byłych działaczy, którzy chcą unieważnienia wyroku skazującego miliardera za przyłączenie się do nielegalnego protestu w sierpniu 2019 r. Sąd niższej instancji wcześniej oczyścił siedmiu działaczy prodemokratycznych z zarzutu zorganizowania tego wiecu, ale podtrzymał wyrok skazujący za udział w nim. Proces wciąż trwa, Sąd Apelacyjny nie podjął i chyba nie chce podjąć żadnych decyzji, a zatrzymani przebywają w więzieniu.

Przypomnijmy, że w sierpniu 2023 r. hongkoński Sąd Najwyższy odrzucił apelację Laia i sześciu innych aktywistów prodemokratycznych, utrzymując w mocy wyrok za ich udział w „nielegalnym zgromadzeniu" w sierpniu 2019 r. Decyzja ta była szeroko krytykowana przez międzynarodową społeczność, jako dowód na dalsze zacieśnianie się kontroli Pekinu nad hongkońskim systemem prawnym. Zwłaszcza że Jimmy Lai posiada brytyjskie obywatelstwo, a o jego zwolnienie zaapelował parlament UK. Nie ulega wątpliwości, że sprawa ma charakter czysto polityczny, a sam Jimmy Lai dla chińskich władz stał się przykładem losu, który spotka cały Hongkong, jeśli ten nie zaprzestanie stawiać oporu przeciw zjednoczeniu z ChRL.

Oddzielną kwestią pozostaje ciągnący się proces Jimmy'ego Laia pod zarzutami z drakońskiego prawa o bezpieczeństwie narodowym (NSL). Lai został oskarżony o „zmowę z obcymi siłami" za swoją działalność wydawniczą i kontakty międzynarodowe: zarzuty, do których nie przyznał się w sądzie. Jego proces według NSL, po wielokrotnych opóźnieniach, m.in. sporach o udział zagranicznych adwokatów, ruszył ostatecznie w grudniu 2023 r. Do połowy 2025 r. odbyło się już ponad 140 dni rozpraw, w trakcie których 77-letni Lai aktywnie bronił swoich racji: sam składał zeznania przez 52 dni. W marcu 2025 r. obrona zakończyła przedstawianie dowodów, a sąd wyznaczył datę mów końcowych na koniec lipca 2025 r. Orzeczenie w tej sprawie spodziewane jest jesienią 2025 r. Laiowi za zarzucane czyny grozi dożywocie.

W sprawie Laia wystąpił także były prezes brytyjskiego Sądu Najwyższego, David Neuberger, który był jednym z niewielu zagranicznych sędziów wciąż zasiadających w hongkońskim sądzie. Neuberger zwrócił uwagę, że choć Lai i inni działacze przekroczyli granice prawa, to ich działania miały na celu obronę podstawowych wolności, które z kolei były brutalnie tłumione przez rząd Chin.

DROGA DO SUKCESU

Jimmy Lai, urodzony w 1947 r. w Kantonie w Chinach, stał się jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci w Hongkongu, zarówno jako magnat medialny, jak i jako obrońca wolności oraz demokracji. Jego życie to opowieść o niezwykłej determinacji, duchowej transformacji i nieustannej walce z opresją ze strony chińskich władz. Lai przybył do Hongkongu w wieku 12 lat jako uchodźca z Chin kontynentalnych przemycony na pokładzie statku. W swoim nowym mieście zaczynał od najniższych stanowisk – pracując w fabryce odzieżowej, uczył się języka angielskiego, a jego wyjątkowy talent do biznesu i niezłomna determinacja pozwoliły mu prędko wspinać się po szczeblach kariery.

W 1981 r. Chee-Ying (takie jest jego chińskie imię) założył markę odzieżową Giordano, która szybko stała się popularna nie tylko w Hongkongu, lecz także w Chinach kontynentalnych, a następnie na całym świecie. Jego sukces w tym biznesie był dopiero początkiem błyskotliwej kariery. W 1990 r., zainspirowany wydarzeniami na placu Tiananmen, Lai wszedł do branży medialnej, zakładając czasopismo „Next Magazine", a później dziennik „Apple Daily". Te media stały się platformą dla promowania wartości demokratycznych i krytyki władz chińskich, co przyciągnęło uwagę Pekinu oraz uczyniło go celem represji.

Rok 2019 okazał się kluczowym momentem w życiu Jimmy'ego Laia. W odpowiedzi na próbę wprowadzenia ustawy o ekstradycji, która umożliwiałaby przekazywanie osób podejrzanych do Chin kontynentalnych, na ulice Hongkongu wyszły miliony ludzi. Ustawa ta była postrzegana jako kolejny krok w kierunku ograniczenia autonomii regionu i podstawowych wolności jego mieszkańców. Lai, jako jeden z najbardziej rozpoznawalnych liderów ruchu prodemokratycznego, stał się wówczas celem intensywnych represji ze strony chińskich władz. Niski, ale pewnie stąpający mężczyzna z parasolką w dłoni stał na czele niemal każdego protestu – nie bał się policji, gazów łzawiących, armatek wodnych, nie korzystał z ochrony ochroniarzy. To obraz Jimmy'ego, który utkwił w świadomości mieszkańców tego wyjątkowego miasta.

18 sierpnia 2019 r., po jednym z największych protestów w historii Hongkongu, Lai wraz z sześcioma innymi liderami demokratycznymi został oskarżony o udział w nielegalnym zgromadzeniu.

eprasa.pl 025d2d1ac6

Jimmy Lai został aresztowany w 2020 r.
FOT. VERNON YUEN/AFP/EAST NEWS

Lai, świadomy ryzyka, które niesie jego działalność, nie wycofał się, a wręcz nasilił swoje działania na rzecz obrony praw i wolności byłej brytyjskiej kolonii. Jednak Xi Jinping się nie ugiął. Poszedł krok dalej. W 2020 r. Pekin wprowadził w Hongkongu kontrowersyjne prawo o bezpieczeństwie narodowym mające na celu walkę z „terroryzmem" i „separatyzmem". Prawo to łamie podstawową zasadę prawa rzymskiego, więc działa wstecz. Możesz zostać skazany na podstawie tego prawa również za czyny, które wykonałeś przed jego wprowadzeniem. W praktyce stało się ono narzędziem do tłumienia oporu i ograniczenia swobód obywatelskich w regionie.

Lai, jako jeden z najbardziej znanych krytyków rządu chińskiego, szybko znalazł się na celowniku nowych przepisów. Został aresztowany i oskarżony o współpracę z zagranicznymi siłami, co w myśl nowego prawa groziło mu dożywociem. Lai, mimo represji, nieustannie bronił swoich działań, twierdząc, że walka o demokrację i prawa człowieka to jego obowiązek wobec społeczeństwa oraz przyszłych pokoleń. Jego decyzje były odbierane jako akt odwagi i heroizmu, szczególnie w obliczu tak ogromnych niebezpieczeństw. Dodajmy, że postawa Laia to działania współczesnego chińskiego Sokratesa. Miliarder do ostatniego dnia miał szansę ucieczki, mógł wsiąść w swój prywatny samolot i udać się do Wielkiej Brytanii, której jest obywatelem. Jednak świadomie zdecydował się pozostać w mieście, aby pokazać światowej opinii, że to, co go spotyka, dotyczy też wszystkich zwykłych mieszkańców Hongkongu. Chińska policja aresztowała go 10 sierpnia 2020 r. Od tej pory z krótkimi przerwami przebywa w więzieniu.

MIĘDZYNARODOWE OBURZENIE

Wielu międzynarodowych liderów i obrońców praw człowieka wyraziło swoje wsparcie dla Laia. Brytyjski autor i doradca brytyjskiego parlamentu, Benedict Rogers, autor książki „Chińska sieć zła", opisał Laia jako jednego z najodważniejszych ludzi, których kiedykolwiek spotkał. Rogers podkreśla, że Lai stał się symbolem nadziei dla wszystkich, którzy walczą przeciwko autorytaryzmowi. Gdy rozmawialiśmy osobiście, dziennikarz podkreślał, że Jimmy Lai jest najbardziej niezwykłym człowiekiem, którego zna, a jego los symbolizuje całą historię Hongkongu – od biedy, przez finansowy sukces, aż do woli walki o wolność i prawa człowieka. Kto wygra w tym nierównym starciu? Wydaje się, że Pekin pozostanie bezlitosny dopóty, dopóki nie osiągnie zamierzonego celu.

Były sędzia brytyjskiego Sądu Najwyższego, Jonathan Sumption, który zrezygnował ze swojego stanowiska w Hongkongu w proteście przeciwko działaniom Pekinu, nazwał Laia „bohaterem naszych czasów". Podkreślił, że Lai płaci najwyższą cenę za swoje przekonania i niezłomność. Acton Institute, amerykańska organizacja promująca wolność, stworzyła film dokumentalny na temat życia Laia pt. „The Hongkonger", który jest dostępny na YouTube w wersji angielskiej z chińskimi napisami (uproszczonymi i tradycyjnymi). Inne organizacje, w tym Amnesty International i Human Rights Watch, opisują nieugiętość Laia w obronie wartości demokratycznych, mimo represji i więzienia.

Acton Institute również skupia się na roli wiary katolickiej Laia, podkreślając, że przyjęcie chrztu w 1997 r. wpłynęło na jego zaangażowanie w walkę o wolność. Jimmy Lai w wieku ok. 50 lat przeszedł głęboką duchową przemianę, nawracając się na katolicyzm. Jego zwrot w stronę duchowości był wynikiem osobistego kryzysu i poszukiwania głębszego sensu życia poza światem biznesu. Wiara stała się dla niego źródłem moralności i odwagi, zwłaszcza w obliczu narastających represji ze strony chińskich władz. Lai często podkreślał, że głęboka relacja z Jezusem pomaga mu zrozumieć i zaakceptować cierpienie jako część jego misji życiowej. W wywiadach odnosił się do postaci świętych, takich jak św. Tomasz Morus, którzy inspirowali go do stawania w obronie prawdy i sprawiedliwości, niezależnie od kosztów.

DOŻYWOCIE CZY ŚMIERĆ?

Kondycja Jimmy'ego Laia – szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę jego zaawansowany wiek 77 lat – jest poważnym źródłem niepokoju. Miliarder od czterech i pół roku przebywa w areszcie. Chociaż Lai cieszył się stosunkowo dobrym zdrowiem przed utratą wolności, to istnieją doniesienia o jego osłabieniu i pogorszeniu stanu fizycznego związanymi z trudnymi warunkami panującymi w więzieniu Stanley w Hongkongu. Lai był poddawany długotrwałemu odosobnieniu bez dostępu do naturalnego światła, dodatkowo nie pozwalają mu przystępować do sakramentu Komunii Świętej. Pomimo tego Lai pozostaje niestrudzonym obrońcą swoich przekonań i nie złożył broni w walce o wolność oraz demokrację w Hongkongu. Z kolei jego zwolennicy, zarówno lokalni, jak i zagraniczni, wzywają do poprawy warunków jego przetrzymywania oraz do zapewnienia mu odpowiedniej opieki medycznej.

Wydaje się, że władze w Pekinie nie chcą śmierci byłego medialnego giganta, ich celem jednak pozostaje utrzymanie go w zamknięciu przez wiele kolejnych lat, aż opinia międzynarodowa po prostu o nim zapomni. Czy tak się stanie? Czy stolica Apostolska upomni się o swojego męczennika? Czy Lai stanie się symbolem dla chrześcijan na całym świecie? W ostatnich latach swojego pontyfikatu papież Franciszek nie zabrał publicznie głosu w sprawie prześladowanego katolika z Hongkongu, co wielu komentatorów wiąże z ostrożną polityką dialogu Watykanu z Chinami. Milczenie to było ostro krytykowane przez działaczy z Acton Institute. Teraz, kiedy na Tronie Piotrowym zasiadł Leon XIV, może to się zmieni, choć na razie nie widać żadnych oficjalnych kroków w tej sprawie.

Niezależnie od wyniku tej potyczki dla samych mieszkańców Hongkongu Jimmy Lai już jest bohaterem – nie zostawił ich w najczarniejszej godzinie, postanowił dzielić z nimi los. Wydaje się jednak, że wspólnie idą w paszczę Wielkiego Smoka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 025d2d1ac6

Rosyjskie lato

Maciej Pieczyński

Bajkał, słoneczne plaże nad Morzem Czarnym lub Kaspijskim, uzdrowiska na Kaukazie, białe noce i zabytki Petersburga, a może „cesarstwo wiecznej zmarzliny" na biegunie zimna? Oto gdzie Rosjanie spędzają wakacje. Trzecie podczas „specoperacji"

Zachodnie sankcje, nałożone po inwazji na Ukrainę, nie doprowadziły do bankructwa Rosji. Gospodarka państwa agresora, w dużej mierze przeorientowana na interesy z Azją i Globalnym Południem, trzyma się mocno, w dużej mierze dzięki talentom szefowej Banku Centralnego Elwiry Nabiulliny. Rosjanie głodem jeszcze nie przymierają. Stać ich na wakacyjne wyjazdy. Na rosyjskich turystów tradycyjnie otwarte są Turcja i Egipt. Tak było przed wojną, tak jest i teraz. Niemal każdy pracownik branży turystycznej czy gastronomicznej w tureckich kurortach nad Morzem Śródziemnym mówi płynnie po rosyjsku. W Egipcie ze znajomością tego języka jest o wiele gorzej, jednak w obu krajach Rosjanie bardzo licznie i chętnie wypoczywają. I to nie tylko ci bogatsi.

KRYM KONTRA SOCZI

Nie muszą oni jednak wcale wyjeżdżać z kraju, żeby w atrakcyjny sposób spędzić letnie miesiące. Rosja toczy wojnę, ale na cudzym terytorium. O ile Ukraińcy w Odessie w dzień wylegują się na plażach, a noce spędzają w schronach, o tyle Rosjanie mogą cieszyć się urokami tego samego Morza Czarnego (na jego wschodnim brzegu) w o wiele bardziej komfortowych warunkach. O ile oczywiście nie wybiorą okupowanego Krymu, gdzie z uwagi na ukraińskie naloty jest niewiele bardziej bezpiecznie niż po drugiej stronie nadmorskiego frontu. Półwysep jeszcze przed aneksją przyciągał również rosyjskich turystów, po aneksji – w zasadzie wyłącznie ich. Krym o miano letniej stolicy Rosji od lat rywalizuje z Soczi. Jego przewagą są nieco niższe ceny. Minusem – kwestia bezpieczeństwa, a także logistyka, bo wąskie gardło, jakim jest most Kerczeński, łatwo zakorkować. Szczególnie jeśli jakiś jego fragment jest wyłączony z użytku po kolejnej ukraińskiej dywersji. Nawet rosyjskie media informują, że droga na półwysep to droga przez mękę. Bilety kolejowe są drogie, w pociągach często nie działa klimatyzacja, a na dłuższych przystankach toalety są zamykane. Plaże bywają wąskie, pozbawione elementarnej infrastruktury. Według portalu Ura.ru zdarzają się przypadki wylewania ścieków z kanalizacji wprost do morza. Źródłem zanieczyszczeń w ostatnich miesiącach był też potężny wyciek mazutu z rosyjskich tankowców, do którego doszło w grudniu, ale skutki odczuwalne są do dziś. Mimo wszystko położone na południu półwyspu plaże Jałty, Sudaku czy Teodozji są pełne odpoczywających Rosjan. To najbardziej turystyczna część Krymu – oprócz plaż są tu malownicze góry z widokiem na morze,

eprasa.pl 025d2d1ac6

Soczi to najbardziej znany kurort Kraju Krasnodarskiego
FOT. DMITRY FEOKTISTOV/ZUMA PRESS/FORUM

zabytkowe twierdze. Mniej tłoczno jest na zachodnim brzegu, gdzie praktycznie nie ma skał, są za to szerokie plaże, za którymi rozciągają się krymskie stepy.

Rywalizację o palmę sezonowego pierwszeństwa wygrywa jednak największy letni kurort w Rosji, którym jest Soczi. W lipcu średnia temperatura wody w morzu wynosi tam 26 st. C, maksymalna – 30 st. C. Tak samo w sierpniu. 14 lipca termometry wskazywały 25 st. C. Woda była więc jedynie o stopień chłodniejsza niż tego samego dnia w tureckim Kemer nad Morzem Śródziemnym. Liczące 400 tys. mieszkańców Soczi jest nie tylko największym kurortem, lecz także najdłuższym miastem w Rosji. Rozciąga się na przestrzeni 145 km z północnego zachodu na południowy wschód. Klimat jest tu subtropikalny, co oznacza gorące, wilgotne lato i łagodne zimy. To jedno z najcieplejszych miejsc w Rosji. A zarazem, jak wiadomo, kurort nie tylko letni, lecz także zimowy. Ciepłe morze sąsiaduje z ośnieżonymi górami, które można sfotografować na jednym ujęciu z egzotycznymi palmami. Czterdzieści minut zajmuje droga z plaży do wyciągów narciarskich w Krasnej Polanie. W końcu to właśnie tutaj, w przededeniu aneksji Krymu, odbyły się zimowe igrzyska olimpijskie. Poza górami i morzem Soczi oferuje takie atrakcje jak: ogród dendrologiczny Dendrarij, pełen subtropikalnej roślinności z różnych regionów świata, Park Olimpijski – swego rodzaju skansen, w którym można zwiedzać obiekty sportowe, wybudowane na potrzeby igrzysk – czy liczne parki rozrywki.

Soczi to najbardziej znany, ale nie jedyny kurort Kraju Krasnodarskiego. Popularne są również Anapa, Noworosyjsk czy Geneldżyk. Tę ostatnią miejscowość poza Rosją rozsławiło słynne śledztwo Aleksieja Nawalnego na temat znajdującego się tam wielkiego pałacu Putina. Z Gelendżyku do Kabardinki wiedzie malownicza, 17-kilometrowa ścieżka rowerowa nad samym morzem. Oryginalną atrakcją Kraju Krasnodarskiego jest natomiast położone w górach jezioro Sukko. Na jego środku, wprost z wody, wyrastają cyprysy, do których turyści podpływają na supach czy rowerach wodnych.

UZDROWISKA KAUKAZU

Morze Czarne nie jest jedynym ciepłym morzem w granicach Rosji przyciągającym masę turystów. Według portalu MoneyTimes.ru prawdziwym odkryciem tegorocznego sezonu plażowego jest Dagestan. Podobnie jak Kraj Krasnodarski – położony na rosyjskim Kaukazie, ale po jego wschodniej stronie. Dokładniej: nad brzegiem Morza Kaspijskiego. Latem obecnego roku tę niewielką republikę ma, wedle prognoz, odwiedzić ok. 2 mln turystów. Tak jak w Soczi i okolicach góry Kaukazu łączą się tutaj z ciepłym morzem. Tyle że jest ono jeszcze cieplejsze niż w wyżej opisanych kurortach. Temperatura wody w lipcu dochodzi do 29 st. C. Przez długi czas Dagestan był w cieniu Krymu i Soczi. Nie był postrzegany jako perła turystyki. Zniechęcały brak odpowiedniej infrastruktury oraz stereotypy o groźnych i porywczych kaukaskich góralach, którzy mentalnie przypominają Czeczenów. Dagestan jest bodaj najbardziej archaiczną kulturowo i tradycjonalistyczną republiką w Rosji. Rosyjskie władze nie potrafią sobie poradzić z wciąż żywą tutaj, odwieczną tradycją specyficznych „zaręczyn", polegających na porywaniu wybranki. Ponadto ok. 95 proc. mieszkańców tutaj to muzułmanie. Republika wciąż nie stała się nomen omen mekką turystyki, w związku z czym trzeba tu bardziej niż w Turcji czy Egipcie stosować się do nakazów islamu dotyczących ubioru. O ile na plażach tylko dagestańskie kobiety wypoczywają w burkini, o tyle wszędzie poza nimi turyści muszą mieć zakryte ramiona i kolana, jeśli nie chcą narazić się na agresywne komentarze miejscowych.

Kaukaz to nie tylko góry, morze i islam, lecz także słynne od wieków uzdrowiska. Już w XIX w. powszechne były wyjazdy w ten region „na wody", w celu poprawy stanu zdrowia. Popularne są także dziś. W Kraju Stawropolskim funkcjonują tzw. Kaukaskie Wody Mineralne, czyli kompleks kurortów słynących na całą Rosję ze źródeł wód leczniczych. Jednym z nich jest Piatigorsk. To tutaj, zesłany za swoją niezależną twórczość, zginął w pojedynku romantyczny poeta rosyjski Michaił Lermontow. O źródłach mineralnych w Piatigorsku arabski podróżnik Muhammad Ibn Battuta pisał już w XIV w. Południowy, orientalny klimat w połączeniu z obfitością wód górskich sprawił, że miasto stało się popularnym uzdrowiskiem, specjalizującym się w leczeniu chorób układu pokarmowego, nerwowych, dróg moczowych, serca, układu krążenia, reumatycznych, skórnych. Większość z ponad 40 źródeł w okolicy jest zagospodarowanych przez zakłady lecznicze. Wyjątek stanowią tzw. Bezwstydne Łaźnie, czyli dzikie kąpieliska termalne z malowniczym widokiem na okoliczne góry. Powstały na początku XX w. Swoją nazwę zawdzięcza temu, że wbrew ówczesnej obyczajowości kobiety i mężczyźni wspólnie kąpali się w nich nago. Do dziś jest to modne miejsce spotkań towarzyskich. Przy czym obecnie jest tu mniej bezwstydnie, o czym świadczą popularne w mediach społecznościowych (głównie na Instagramie) zdjęcia, na których odwiedzający pozują w strojach kąpielowych.

MIĘDZY EUROPĄ I AZJĄ

Góry w Rosji to nie tylko Kaukaz. Stosunkowo niski Ural słynie przede wszystkim z tego, że stanowi granicę między Europą i Azją. Wielbiciele tajemniczych historii zapuszczają się do Przełęczy

eprasa.pl 025d2d1ac6

Krym rywalizuje z Soczi o miano letniej stolicy Rosji. Jego przewagą są nieco niższe ceny. Minusy: bezpieczeństwo i logistyka FOT. OLGA MALTSEVA/AFP/EAST NEWS

Diatłowa, gdzie w 1959 r. w niewyjaśnionych okolicznościach zginęła grupa narciarzy. W stolicy regionu – Jekaterynburgu – można zwiedzić Cerkiew na Krwi, ustanowioną na miejscu domu kupca Ipatiewa, w którym bolszewicy zamordowali ostatniego cara wraz z rodziną, a także Centrum Jelcyna (stamtąd pochodzi pierwszy prezydent Rosji) – nowoczesne muzeum przedstawiające demokratyczne przemiany w Rosji lat 90. Wśród górołazów popularnością cieszy się rosyjska część Ałtaju. Zaśnieżone szczyty czterotysięczników, lodowce, typowa syberyjska tajga, a także brzozowe gaje, lasy, pastwiska, głębokie zielone doliny, na których dnie wiją się dzikie, rwące rzeki, przyciągające wielbicieli raftingu – oto opis tej krainy w największym możliwym skrócie. Góry, jaskinie, podziemne rzeki, tajga i stepy – to połączenie można znaleźć w położonej na styku kontynentów Baszkirii.

Rzecz jasna, masę atrakcji oferują też najważniejsze miasta kraju, pełne zabytków Moskwa i Petersburg. Szczególnie Wenecja Północy. Osławione białe noce nie trwają tak długo jak za kołem podbiegunowym. Najkrótsza noc w roku (21 czerwca) trwała od godz. 22.26 do 3.35. Oprócz masy zabytków, pałaców carskich i cerkwi, największego muzeum na świecie, którym jest Ermitaż, wielką atrakcją Petersburga są rejsy po licznych kanałach, a także ten najbardziej spektakularny – po Newie, pod oświetlonymi, zwodzonymi mostami, które otwierają się, gdy przepływają pod nimi wycieczkowe statki.

Warto zauważyć, że Rosja staje się popularnym kierunkiem również wśród polskich podróżników youtuberów. Państwo agresor, stosunkowo bezpieczne, a jednak zamknięte niemalże jak Korea Północna, budzi zrozumiałą ciekawość.

Relacje z wypraw do tego kraju można obejrzeć na kanałach „Podróże Wojownika", „Piotr Polo Przywarski" czy „Autostopem Na Koniec Świata". Dwa pierwsze to ciekawe, ale dość naiwne i pozbawione szerszego kontekstu opowieści. „Piotr Polo Przywarski" dotarł aż nad Bajkał, ale zamiast opisywać szczegółowo to, co zobaczył i przeżył, w niemal co drugim zdaniu zachwycał się faktem, że jako Polakowi nie spadł mu włos z głowy, co oznacza, że Rosjanie „nie są tacy źli". Natomiast trzeci z wymienionych kanałów warto śledzić i oglądać. Michał Pater był już wiele razy w Rosji, zna ją dość dobrze i rozumie. Podróżuje autostopem przez Syberię, aż na Kołymę, po drodze śpiąc pod gołym niebem w malowniczej tajdze i prowadząc ciekawe, często ostre rozmowy ze zwykłymi Rosjanami.

I właśnie ta część największego kraju na świecie budzi – zasłużenie! – szczególną ciekawość turystów z Rosji i spoza jej granic. Podróż Koleją Transsyberyjską to najbardziej stereotypowe marzenie każdego, kto kiedykolwiek interesował się Wschodem. Perłą tamtejszej turystyki jest bez wątpienia Bajkał. Najgłębsze jezioro świata również latem jest lodowate, dlatego warte odwiedzenia ze względu na piękno dzikiej przyrody, a nie kąpiele. Rosjanie masowo odwiedzają wyspę Olchon. Ta największa na Bajkale wyspa jest długa na 71 km i szeroka na 12 km. Część wyspy porasta tajga, większość jednak zajmują stepy. Olchon jest świętą wyspą dla miejscowych Buriatów, a także dla innych syberyjskich ludów wyznających szamanizm. Najbardziej charakterystyczne, pojawiające się na wszystkich niemal pocztówkach i magnesach stamtąd miejsce na wyspie to skała Szamanka. Również uważana za świętą – wedle lokalnych wierzeń mieszka tam bóstwo panujące nad Olchonem. Wspomniani Buriaci natomiast to mongolski lud wyznający szamanizm i buddyzm. W stolicy Republiki Buriacji, Ułan Ude, znajduje się największy na świecie pomnik przedstawiający głowę Lenina. Ma on lekko azjatyckie rysy – według popularnej wersji miały one umożliwić w razie konieczności przerobienie „wodza rewolucji" na jakiegoś lokalnego bohatera. Na razie jednak takiej konieczności nie ma…

ORKI I WIELORYBY

Coraz bardziej popularnym kierunkiem wakacyjnych wyjazdów jest również położona na północnym wschodzie Syberii Jakucja. To największa na świecie jednostka podziału terytorialnego (ponad 3 mln km kw. powierzchni, przy niecałym milionie mieszkańców). Spośród państw większe są tylko Indie, Australia, Brazylia, Chiny, Kanada, USA i Rosja. W Jakucji położone jest najzimniejsze miejsce na półkuli północnej – wieś Tomtor, w której w styczniu 2004 r. odnotowano temperaturę –72,2 st. C. Pod stolicą republiki, Jakuckiem, znajduje się Carstwo Wiecznej Zmarzliny. Jest to wykuty w nietopniejącym lodowcu kompleks turystyczny, zawierający wystawę figur z lodu oraz mnóstwo innych atrakcji. Na turystów czeka też wybrzeże Oceanu Spokojnego. „Drogą kości" można dotrzeć na Kołymę, gdzie w czasach stalinowskich funkcjonowały najstraszniejsze obozy koncentracyjne, swego rodzaju „Lodowe Auschwitz". Przy brzegach Sachalinu można zobaczyć orki i wieloryby.

Słowem: w Rosji można zobaczyć wszystko – od ciepłego morza do tajgi, od stepów do białych nocy. I choć paru polskim podróżnikom udało się już po 24 lutego 2022 r. do tego kraju wjechać, to nie jest to kierunek dla Polaków bezpieczny. A i coraz śmielsze dywersyjne ataki ukraińskie sprawiają, że również daleko za Uralem wojnę można odczuć nie tylko na widok plakatów zachęcających do służby na froncie, lecz także na własnej skórze.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 025d2d1ac6

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Najbliższy serwis... w USA

Kiedy mi się wydaje – po przeczytaniu o kolejnym nonsensie sprokurowanym przez polskich polityków – że niczym jeszcze głupszym już nie będą mnie w stanie zaskoczyć, okazuje się, że znów byłem w błędzie, bo dla nich po prostu „nie ma rzeczy niemożliwych". Ostatnią tego rodzaju perełką był njus, że oto polscy politycy, i to nie byle jacy, bo w randze ministra i wicepremiera (Jeszcze Błaszczak? Już Kosiniak-Kamysz? Obaj?), zamawiający w USA niemałą liczbę czołgów Abrams, zapomnieli na czas pomyśleć o serwisowaniu ich w Polsce. Po prostu tak się jakoś złożyło, że nikomu nie przyszło do głowy, żeby zamówić te czołgi od razu wraz z serwisem. Bo niby dlaczego miało przyjść do głowy?...

Światło na to jakże przecież drobne i nieistotne przeoczenie rzucił, w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej", Jacek Goszczyński, prezes Wojskowych Zakładów Lotniczych nr 1 (WZL nr 1). Odpowiadając na proste jak drut pytanie: „Przy setkach czołgów zapomniano o serwisie silników?", odparł z rozbrajającą szczerością: „O serwisowaniu silników pomyślano później, jak już je kupiono. W tej chwili mamy kupionych 366 czołgów Abrams, ale też wiele wozów zabezpieczenia, również napędzanych tymi samymi silnikami". No i to właśnie – jak wyjawił prezes Goszczyński – zarządzana przez niego firma, czyli WZL nr 1, „na podstawie negocjacji i ustaleń z producentem silnika – firmą Honeywell" szykuje się do uruchomienia „autoryzowanego centrum serwisowego tych silników w Polsce", co jest, rzecz jasna, „bardzo trudnym i kosztownym wyzwaniem". Tak trudnym, że „najwcześniej będziemy mogli serwisować te silniki w 2028 r.". No a wcześniej? Czyli gdyby silniki abramsów lub „wozów zabezpieczenia" wymagały naprawy przed 2028 r.? No cóż... Jak by to powiedzieć... „Dotychczas w Polsce i w Europie nie było zakładu mającego kompetencje do serwisu i naprawy takiego sprzętu" – „w związku z tym niezbędne naprawy wykonywane są w USA (konkretnie przez Anniston Army Depot w Anniston w Alabamie)" „bądź wymieniane są całe komponenty"... Czyli na razie nie pozostaje nam nic innego, jak modlić się, żeby Ruscy nie wpadli na pomysł zaatakowania nas przed rokiem 2028...

A swoją drogą, ciekawe, jak jest z serwisowaniem czołgów koreańskich K2 i niemieckich Leopard, gdyż – jak wiadomo – Polska należy do naprawdę wąskiego kręgu państw (jest takie choć jeszcze jedno inne?), których politycy z nieznanych bliżej powodów postanowili zbudować siły pancerne swego kraju, opierając się na aż trzech rodzajach czołgów, i to pochodzących z aż trzech kontynentów, co w razie wojny z pewnością nie będzie naszym atutem. Ku wielkiej radości Putina. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Nazistka Sydney Sweeney

Genes are passed from parents to offspring. My jeans are blue" – mówi w jednej z reklam dżinsów American Eagle urodziwa i stuprocentowo biała aktorka Sydney Sweeney. Reklamy z jej udziałem opierają się na angielskim homofonie: „genes" (geny) wymawia się identycznie jak „jeans" (dżinsy). Frazę należy zatem odczytać: „Geny/dżinsy są przekazywane z rodziców na potomstwo. Moje geny/dżinsy są niebieskie".

Tam, gdzie normalny człowiek nie widzi nic zdrożnego, człowiek „przebudzony" widzi faszyzm

Pomysłowe, zabawne, inteligentne, a do tego w wykonaniu Sweeney seksowne. Tak myśli normalna osoba. Amerykański zwolennik wokeizmu, najbardziej pokręconej formy lewactwa, myśli inaczej: nazistowskie, eugeniczne, faszystowskie i rasistowskie. W ogóle jak można w reklamie pokazać stuprocentowo białą dziewczynę, która w dodatku bawi się grą wokół słowa „geny"?

Afera wokół reklamy dżinsów American Eagle zahaczyła nawet o Biały Dom, przy okazji kolejny raz pokazując, na czym polega wokeizm: tam, gdzie normalny człowiek nie widzi nic zdrożnego, człowiek „przebudzony" widzi faszyzm i przygrywkę do obozów zagłady. W naszej rodzimej wersji, wciąż mniej ekstremalnej, to jak nagłe odkrycie, że coś jest nie tak z nazywaniem kobiety ministra ministrem i że musi być „ministra" albo że mówienie „na Ukrainie" jest wyrazem kolonialnych tęsknot (ale już nie „na Litwie", „na Węgrzech" czy „na Słowacji").

Przy okazji polecam ćwiczenie: proszę zacząć się uważniej przyglądać reklamom, które serwowane są w Polsce, i policzyć, ile razy w roli „zwykłych Polaków" pojawiają się tam Murzyni (tak właśnie, co ciekawe – Murzyni, nie Murzynki). Typowy polski tatuś Murzyn z dziećmi i białą żoną przed telewizorem, klasyczny Murzyn Polak przy goleniu, najzwyklejszy polski Murzyn krząta się w kuchni, przygotowując swej białej partnerce kanapki z twarożkiem itd. Powiedzieć, że w reklamach są nadreprezentowani w relacji do faktycznej liczby takich osób w Polsce, to nic nie powiedzieć. Interpretację tego zjawiska pozostawiam państwa inteligencji. ©℗

eprasa.pl 025d2d1ac6

Gdzie Wisła spotyka Narew

Twierdza Modlin – miejsce, w którym łączą się Wisła i Narew

FOT. ADOBE STOCK

Cezary Gmyz

W II Rzeczypospolitej Twierdzę Modlin modernizowano. Mało kto zdaje sobie sprawę, że budowla jest kolebką nowoczesnej polskiej marynarki wojennej. To właśnie tutaj mieściła się jedna z głównych baz Flotylli Wiślanej

Mój ulubiony moment to ten, kiedy siedzę sobie na mojej tratwie w piątek i mniej więcej na wysokości spichlerza w Modlinie widzę naraz aż trzy mosty. Jeden na Narwi i dwa na Wiśle. Wszystkie zakorkowane przez ludzi chcących się wyrwać z Warszawy na weekend. A ja jestem zaledwie 30 km w linii prostej od Pałacu Kultury i Nauki, w miejscu, gdzie zaczyna się najpiękniejszy odcinek środkowej Wisły. Warszawiaków stojących w korkach na trzech mostach czeka jeszcze co najmniej czterogodzinna podróż, by zażyć upragnionego odpoczynku, a ja już delektuję się pięknem dzikiej i nieokiełznanej przyrody, o której większość mieszkańców stolicy nawet nie ma pojęcia. Wielu z nich ma obraz rzeki utrwalony w jednym z najsłynniejszych wierszy Herberta „Prolog":

Rów w którym płynie mętna rzeka
nazywam Wisłą. Ciężko wyznać:
na taką miłość nas skazali
taką przebodli nas ojczyzną.

Tomik „Napis" ukazał się w 1969 r., kiedy rzeczywiście na wielu odcinkach rzeki płynęły ścieki. Również i dziś zdarzają się chwile, że Wisłą płynie brązowa piana, zwłaszcza jak któreś z miast i miasteczek spuści do rzeki ścieki komunalne lub nastąpi taka awaria, do jakiej doszło nie tak dawno w warszawskiej Czajce. Rzeka ma jednak dużą zdolność do samooczyszczania się. Ja osobiście w Wiśle poniżej ujścia Narwi w Modlinie często się kąpię, a nawet piję z niej wodę, oczywiście po przefiltrowaniu.

ZACZĘŁO SIĘ OD POTOPU

Ujście Narwi do Wisły to jeden z najpiękniejszych widoków na Mazowszu. Nie trzeba mieć jednostki pływającej, by podziwiać ten krajobraz. Wystarczy wsiąść na dworcu Warszawa Centralna w tzw. ekspres lotniskowy, by po 40 minutach znaleźć się na stacji Modlin i odbyć krótki spacerek do Twierdzy Modlin, wdrapać się na punt widokowy na Wieży Czerwonej, z której można podziwiać niezapomniany widok przyrody, a w oddali – warszawskiego Skylinera.

Sama twierdza jest również warta zwiedzenia choćby dlatego, że od prawie 150 lat dzierży niepobity światowy rekord długości budynku. Tzw. koszarowiec ciągnie się na długości ponad 2 km wzdłuż Narwi aż do ujścia tej rzeki do Wisły. Żeby docenić ogrom tej budowli, trzeba ją podziwiać z rzeki, a w ostateczności z przeciwległego brzegu. Ale historia twierdzy jest jeszcze dłuższa. Szkoda, że w doskonałym pawilonie muzealnym skupiono się jedynie na okresie międzywojennym i wojnie obronnej roku 1939. Mimo to muzeum zdecydowanie warte jest zwiedzenia, bo ekspozycja została przygotowana z wielką starannością.

Trzeba jednak pamiętać, że swoje początki twierdza bierze w czasie potopu szwedzkiego, kiedy to król Karol X Gustaw doceniając militarne znaczenie terenu, właśnie tutaj ulokował swój obóz warowny – tzw. Bugskansen, w kształcie czteroramiennej gwiazdy. Przetrwał on aż do 1660 r. Budowę stałej twierdzy

eprasa.pl 025d2d1ac6

zapoczątkowano w czasie wojen napoleońskich. Cesarz Francuzów decyzję o budowie twierdzy podjął w roku 1806. Chrzest bojowy warownia przeszła po klęsce pod Moskwą. Twierdza oblegana przez Rosjan, choć pod wodzą holenderskiego generała Hermana Willema Daendelesa, skapitulowała 1 grudnia 1813 r. Co ciekawe, broniła się mimo klęski Napoleona w „bitwie narodów" (pod Lipskiem w roku 1813), która de facto ostatecznie przypieczętowała losy Księstwa Warszawskiego, niwecząc marzenia o francusko-polskiej kontrofensywie. W czasie powstania listopadowego, 4 grudnia 1830 r., twierdza stała się główną bazą polskich wojsk. Niespełna rok później w październiku twierdza, po raz kolejny oblegana przez Rosjan, skapitulowała jako przedostatni punkt oporu wojsk powstańczych.

Rosjanie po tych doświadczeniach zdali sobie sprawę, jak ważny punkt obrony stanowi to miejsce, i postanowili rozbudować twierdzę do niebywałych wręcz rozmiarów. Jako jeden z ostatnich obiektów wybudowany został spichlerz. To jeden z najciekawszych zabytków, choć niestety od lat popadający w coraz większą ruinę. Od strony rzeki można zaobserwować, o ile wyższy był niegdyś poziom rzeki, bo zachowane koła cumownicze, do których wiązano statki ze zbożem, a także okręty wojenne, ulokowane są dziś kilka metrów nad lustrem wody, znad którego wystaje wrak statku, niegdyś całkowicie zanurzonego. Spichlerz był kilkakrotnie wykorzystywany jako plan filmowy. Posłużył m.in. jako zamek Horeszków w ekranizacji „Pana Tadeusza". Andrzejowi Wajdzie nie przeszkadzało, że budynek został wzniesiony kilkadziesiąt lat po czasie, w którym toczyła się akcja epopei narodowej Adama Mickiewicza.

W latach 1883–1915 twierdzę modernizowano. Konflikty zbrojne toczone wówczas w innych krajach uświadomiły Rosjanom, że obiekt jest przestarzały, a sama cegła, z której wzniesiono twierdzę, przy rosnących możliwościach nowoczesnej artylerii nie daje skutecznej obrony. Zaczęto więc umacniać newralgiczne miejsca betonem. Na niewiele się to zdało w warunkach bojowych. 5 sierpnia 1915 r. Niemcy bez walki wzięli Warszawę. Cztery dni później zaczęło się oblężenie twierdzy nowogieorgijewskiej, bo taką nazwę wówczas nosiła twierdza modlińska. Niemcom sprzyjało szczęście. W ich ręce wpadł samochód z dokładnymi planami umocnień. Szczęściu dodatkowo pomagały potężne moździerze oblężnicze kalibru 420 mm, tzw. M-Gäret, wyprodukowane w słynnych zakładach Kruppa. Nawałnica artyleryjska i kolejne ataki osłabiły morale załogi i w rezultacie 20 sierpnia skapitulowała.

Modliński spichlerz posłużył m.in. jako zamek Horeszków w ekranizacji „Pana Tadeusza", choć został wzniesiony kilkadziesiąt lat po czasie, w którym toczyła się akcja epopei narodowej Adama Mickiewicza

W czasie wojny polsko-bolszewickiej twierdza modlińska nie odegrała już takiej roli jak twierdza dęblińska, jednak podobnie jak ona była miejscem koncentracji wojsk pod dowództwem gen. Władysława Sikorskiego. Wprawdzie bolszewikom udało się zająć kilka fortów, jednak po ofensywie znad Wieprza stacjonujące w twierdzy wojsko przeszło do działań zaczepnych.

DWÓCH GENERAŁÓW

W II Rzeczypospolitej twierdzę modernizowano. Mało kto zdaje sobie sprawę, że Modlin jest kolebką nowoczesnej polskiej marynarki wojennej. To właśnie tutaj mieściła się jedna z głównych baz Flotylli Wiślanej, którą rozwiązano dopiero w 1925 r. Natomiast stacjonujący w Modlinie Oddział Wydzielony Rzeki Wisły podczas wojny obronnej 1939 r. odegrał znikomą rolę, w odróżnieniu od samej twierdzy.

10 września pod twierdzę podeszły wojska niemieckie. Trzy dni później do warowni dotarły resztki Armii „Łódź" porzucone przez swojego dowódcę, gen. Juliusza Rómmla. Dowódca twierdzy, gen. Wiktor Thommée, zarządził poszukiwania Rómmla, które spełzły na niczym, bo dowódca Armii „Łódź" niespodziewanie pojawił się w Warszawie, wprowadzając chaos w systemie dowodzenia. Mało znanym faktem jest, że obaj generałowie byli wyznania luterańskiego i należeli do parafii wojskowej przy ewangelickim kościele garnizonowym w Warszawie przy ul. Puławskiej. Obaj przeżyli wojnę i nadal uczestniczyli w nabożeństwach w tej samej świątyni. Thommée miał jednak do Rómmla tak wielki żal za zachowanie podczas kampanii wrześniowej, że udawał, iż Rómmla nie poznaje, i nigdy mu się nie kłaniał, o podaniu ręki nie wspominając. Inna sprawa, że pod odwilży październikowej w roku 1956 Rómmel poszedł na pełną współpracę z komunistami, dając swoją twarz reżimowej organizacji kombatanckiej ZBoWiD. Thommée zaś pracował jako stróż w Toruniu i dopiero po długim czasie odzyskał swoje przedwojenne warszawskie mieszkanie.

Po wojnie aż do 2013 r. twierdza była własnością wojska. Kompleks sprzedano prywatnemu właścicielowi. Niestety, prace nad restauracją twierdzy są w powijakach, co powoduje jej dalszą degradację. Na szczęście pasjonaci organizują zwiedzanie tego rozległego kompleksu w ramach trzygodzinnej wycieczki pieszej albo niespełna godzinnej elektrycznym busikiem. Jedną z największych atrakcji jest zwiedzanie kompleksu nocą, organizowane w wakacje. Informacje można znaleźć na stronie twierdzamodlin.pl.

No koniec jeszcze jedna ponura historia związana ze współczesnymi dziejami twierdzy. Chodzi o miejsce gangsterskich porachunków. Gangsterzy urządzili na tym obszarze cmentarz swoich ofiar. Do najbrutalniejszego zabójstwa doszło 20 lat temu. Wtedy to gangsterzy z grupy niejakiego „Zwierzaka" porwali Artura Z. oraz jego ciężarną narzeczoną Małgorzatę R. Na terenie twierdzy parę torturowano, na koniec zabito ich, a następnie zakopano w grobach, które wcześniej oboje wykopali. Ale takich grobów na terenie dawnych koszar odkryto już więcej. Zachodzi domniemanie, że ofiary porachunków nie tylko zakopywano, lecz także obciążano je kamieniami i topiono w Wiśle. Część sprawców tych zbrodni udało się złapać i osądzić. Odbywają oni kary długoletniego więzienia jako tzw. enki, czyli szczególnie niebezpieczni przestępcy. Niestety, takie opowieści są również częścią historii tej rzeki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 025d2d1ac6

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Tajny protokół z Malborka

JACEK KOMUDA

Labiawa, dawny niemiecki Labiau, a obecnie putinowski Polessk to miasteczko w obwodzie kaliningradzkim nad Zalewem Kurońskim. Dziś to klasyczna ruina – trochę zrujnowanych poniemieckich domów i wybudowane pomiędzy nimi, jakby wepchnięte na siłę, rozwalające się bloki sowieckie. Pokrzyżacki zamek, zrujnowany i oszpecony kolejnymi przebudowami tak bardzo, że przypomina koszmar, mógłby być magazynem trupów z wojny na Ukrainie. Początki tego obiektu są jednak ciekawe, gdyż pierwszą twierdzę wzniesiono z drewna jeszcze w czasach podboju Sambii przez Krzyżaków. W 1277 r., w czasie powstania Prusów, została zniszczona i potem zbudowano porządny zamek – już z cegły i kamienia, z przeznaczeniem najpierw na siedzibę komtura, potem wójta. W XVI w., po sekularyzacji zakonu, była to jedna z rezydencji Anny, drugiej żony Albrechta Hohenzollerna. Za czasów sowieckich ulokowano tutaj więzienie, a potem filię instytutu rolniczego z Leningradu. Wreszcie kolejny pożar doprowadził fortecę do tragicznego stanu i jeszcze gorszej odbudowy.

RYS. OBA

Miasto, a zwłaszcza zamek odegrały jednak ponurą rolę w historii I Rzeczypospolitej. To właśnie tutaj 20 listopada 1656 r. podpisano drugi z dwóch sojuszniczych paktów pomiędzy królem Szwecji Karolem X Gustawem a elektorem brandenburskim i zarazem księciem pruskim Fryderykiem Wilhelmem. Pierwszy, zawarty w Malborku 25 czerwca, oznaczał sojusz pomiędzy Szwecją

FOT. DOMENA PUBLICZNA

a Prusami. Stanowił wyraz dążenia elektora do uniezależnienia się od Rzeczypospolitej i przejęcia pełni władzy. Okazja nadarzyła się w czasach potopu, kiedy na osłabioną wojnami kozacko-moskiewskimi Koronę i Litwę najechali Szwedzi, atakując Wielkopolskę i Żmudź. Wkrótce jednak popełniane przez nich gwałty i rabunki stały się przyczyną wybuchu powstania i zawiązania konfederacji tyszowieckiej hetmanów koronnych, a z wygnania wrócił król Jan Kazimierz, podrywając wszystkie stany do walki.

Szwedom zaczęła dosłownie palić się ziemia pod nogami. Poszukując sojuszników, nawiązali zatem bliższe relacje z elektorem, jednak Fryderyk Wilhelm jeszcze nie został uznany za niezależnego władcę w Prusach. Sytuacja prawna była dość skomplikowana, bo teoretycznie rzecz biorąc, Karol X Gustaw na mocy układu w Ujściu i Kiejdanach uznany został przez część szlachty i magnatów za króla Polski. Był to więc układ między panem a lennikiem. Jednak do zawartego w Malborku traktatu dołączony był tajny protokół (tak jak do późniejszego o 283 lata paktu Ribbentrop-Mołotow), w którym strona szwedzka zobowiązywała się do przekazania elektorowi województw: poznańskiego, kaliskiego, łęczyckiego, sieradzkiego i ziemi wieluńskiej. Był to wstęp do planowanego później w traktacie w Radnot rozbioru Rzeczypospolitej.

Wkrótce okazało się, że sytuacja międzynarodowa Szwecji jeszcze się pogorszyła. Najpierw wystąpiła przeciwko niej Moskwa, która wolała jednak w regionie bałtyckim osłabioną Rzeczpospolitą niż potężną Szwecję. Oznaczało to, że elektor mógł wymusić na Karolu X Gustawie kolejne ustępstwa. I tak w zawartym 20 listopada wspomnianym traktacie w Labiawie Fryderyk Wilhelm uznany został za suwerennego władcę w Prusach. Układ zrywał zatem stosunki lenne pomiędzy królem Polski a księciem Prus. Inną kwestią było to, że zarówno Karol X Gustaw, jak i Jan Kazimierz, który przecież nie abdykował, uznawali się za władców naszego kraju. Tę sprzeczność wykorzystał potem elektor, aby z kolei zdradzić króla Szwecji i wrócić do Rzeczypospolitej jako sojusznik, ale już na zupełnie innych zasadach.

Fryderyk Wilhelm był jednym z tych, którzy wyszli najlepiej na potopie szwedzkim. Traktat, który zawarł z Karolem Gustawem, nie przyniósł połączonym siłom sprzymierzonych wystarczającej siły, aby rozbić armię Jana Kazimierza. Szwedzi musieli zatem szukać kolejnych wspólników do rozbioru Polski i Litwy. Nawiązali więc kontakty z księciem Siedmiogrodu, który od dawna przejawiał zainteresowanie zdobyciem korony polskiej, wzorem Stefana Batorego. Zawarli też porozumienie z Chmielnickim, który otrzymać miał Ukrainę. A kiedy trwał najazd siedmiogrodzki na południową Polskę, elektor mógł spokojnie negocjować kolejny traktat, welawski, tym razem z Rzecząpospolitą, zwalniający go z obowiązku lennego. Tak właśnie powinno się robić dyplomację. ©℗

eprasa.pl 025d2d1ac6

NISSAN ARIYA

FOT. JAP

Gdyby amerykański prezydent przejechał się w tym roku tym elektrycznym modelem Nissana, to zapewne dwa razy by się zastanowił, zanim wydałby niemal 100 tys. dol. na jakąś nie do końca dopracowaną teslę (inna rzecz, że według medialnych doniesień Donald Trump auto od Elona Muska kupił, jeszcze zanim zdążył się nim przejechać).

Tak czy owak, zanim wyda się własne, ciężko zarobione pieniądze na „elektryka", warto – choćby dla porównania – wziąć na jazdę testową flagową ariyę w wersji Evolve+ z napędem na cztery koła (e-4ORCE) i akumulatorem powiększonym do 87 kWh. Średniej klasy japoński SUV ma bowiem nie tylko futurystyczny design (dzięki któremu auto sprawia wrażenie, jakby wyjechało prosto z ekranu jakiejś gry komputerowej), lecz także przestronną kabinę oraz więcej niż przyzwoite osiągi. W testowanej wersji wrażenie robi zarówno moc (394 KM), jak i imponujący moment obrotowy o wartości 600 Nm. Taka mieszanka sprawia, że sprint od zera do setki zajmuje zaledwie 5,1 s. I to mimo że Ariya ma 2,2 t masy własnej. Prędkość maksymalna to 200 km/h.

Nisko położony środek ciężkości i niemal idealny rozkład masy sprawiają, że auto prowadzi się dobrze i pewnie. Dzięki technologii e-Pedal podczas jazdy przeważnie wystarczy używać tylko jednego pedału (gazu, który po odpuszczeniu działa niemal jak hamulec). Niezły jest też maksymalny zasięg. Jeśli nie próbuje się w trybie sport co chwilę zrywać asfaltu, to na jednym ładowaniu można przejechać ok. 400 km. Jest to więc obecnie jeden z ciekawszych elektryków na dłuższe trasy. Przy dość dynamicznej jeździe „spalanie" wynosi średnio 21,9 kWh/100 km. Przy oszczędnej jeździe średnie zużycie prądu można jednak zredukować do zaledwie 17,1 kWh/100 km. Uzupełnianie energii w akumulatorze o pojemności 87 kWh za pomocą szybkiej ładowarki zajmuje mniej więcej pół godziny (od 20 do 80 proc.).

W przestronnej kabinie zaprojektowanej w minimalistycznym stylu jest nowocześnie, a jednocześnie zaskakująco przytulnie. Pierwsze skrzypce w kokpicie grają dwa duże ekrany (o przekątnej 12,3 cala każdy). Użyte do wykończenia wnętrza materiały – alcantara i imitacja drewna – sprawiają wrażenie wysokiej jakości, są miękkie i przyjemne w dotyku. Świetne wrażenie robią też grube dywaniki. We wnętrzu nie zabrakło także futurystycznych rozwiązań: jak haptyczne przyciski „zatopione" w drewnopodobnych listwach (podświetlają się dopiero po uruchomieniu samochodu) czy elektrycznie przesuwana środkowa konsola. Szkoda tylko, że japońscy projektanci nie mieli pomysłu na zagospodarowanie powstałej przestrzeni między kierowcą a pasażerem. A co z bagażnikiem? Niestety, dużą baterię gdzieś trzeba było upchnąć. Kufer ma więc pojemność zaledwie 415 l.

Najtańsza ariya (w wersji Engage) kosztuje 194,9 tys. zł. Za wariant Evolve trzeba zapłacić 229,9 tys. zł. Cena za testowany wariant Evolve+ wynosi zaś co najmniej 284,9 tys. zł.

DREAME H12 PRO FLEXREACH

Wysoka moc ssania, automatyczne czyszczenie w wysokiej temperaturze, podwójna szczotka do sprzątania przy krawędziach oraz bardzo dobry stosunek ceny do jakości – to największe zalety pionowego odkurzacza mopującego chińskiej marki Dreame.

Solidnie wykonany odkurzacz ma moc ssania na poziomie 18 000 Pa (moc znamionowa bezszczotkowego silnika wynosi zaś 400 W). Producent twierdzi, że testowany model jest innowacyjny. I jakkolwiek to określenie dziwnie brzmi w przypadku odkurzacza mopującego, to jest w tym trochę racji. Po pierwsze, w przypadku tego modelu nie trzeba już najpierw odkurzać, a potem mopować. H12 Pro oba te zadania wykonuje jednocześnie. Jeśli więc ukochana pociecha najpierw nakruszy jak wściekła dookoła stołu, a potem łaskawie wyleje jeszcze na podłogę trochę soku/kakao/owsianki, to można ten problem rozwiązać szybko i bez niepotrzebnego stresu. Wałek obraca się z prędkością 480 obr/min. Sprzęt jest wyposażony w dwa zbiorniki: na wodę czystą (0,78 l) oraz brudną (0,7 l). H12 Pro ma też wyświetlacz LCD, na którym widać procent naładowania baterii oraz aktualny tryb pracy (do wyboru są cztery: inteligentny, turbo, cichy oraz odkurzanie bez mopowania).

Skuteczność sprzątania jest świetna (również przy listwach podłogowych i wzdłuż krawędzi mebli). Zaletą jest też to, że można położyć odkurzacz płasko (pod kątem 180 st.) i wjechać główną szczotką pod szafki o prześwicie 9,6 cm lub całym korpusem, jeśli pod meblami jest co najmniej 14 cm (to już niestety oznacza, że pod wiele kanap i łóżek głęboko nie wjedziemy).

Testowany model wyposażono także w specjalny element, który przecina długie włosy i sierść, aby nie zaplątywały się wokół wałka, oraz w stację dokującą, która ładuje urządzenie i automatycznie czyści wałek do mopowania w wodzie podgrzanej do 90 st. C, a następnie suszy go gorącym powietrzem (co zapobiega rozwojowi bakterii, pleśni etc.). Bateria ma pojemność 24 000 mAh. Czas pracy na jednym ładowaniu wynosi 50 min, a ładowanie do pełna zajmuje cztery godziny.

Wady? Nie ma opcji dokupienia baterii w celu przedłużenia czasu sprzątania. Ponadto nie jest to sprzęt do mieszkań z dużą liczbą dywanów (niby da się je odkurzyć, ale sam producent zaleca, aby używać tego modelu tylko do twardych powierzchni).

Dreame H12 Pro FlexReach to świetny sprzęt dla osób, które chcą kupić nowoczesny odkurzacz mopujący, ale nie zamierzają wydawać fortuny na flagowce. Cena: 1349 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 025d2d1ac6

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Ciao, pomodori!

W tym roku na pytanie: „Jaką mieliście pogodę na wakacjach?" można odpowiedzieć tylko jedno – pomidor. Dawno już lato nie „rozpieszczało" nas taką ilością lejącej się z nieba w różnych ilościach wody. Trzeba być jednak dobrej myśli, nie poddawać się i mieć nadzieję. Być może sierpień będzie dla nas łaskawszy. Już niedługo żniwa, i to zarówno w sensie całego sektora rolnego, jak i naszych gospodarstw domowych. Będziemy przecież gromadzić w słoiczkach letnie skarby. My już przygotowałyśmy kilka słoików z przetartymi malinowymi pomidorami, które będą dodatkiem do zupy pomidorowej, kilka słoików konfitury z wiśni – tym razem dodałyśmy cynamon i kardamon, co świetnie smakować będzie zimą. A przed nami jeszcze wekowanie czarnej leśnej jagody na problemy żołądkowe i konfitury z malin. Sałatki szwedzkiej w tym roku robić nie będziemy, bo mamy zapasy z roku ubiegłego, ale na pewno zrobimy więcej przecieru pomidorowego z pomidorów odmiany „jojo".

Jest to odmiana idealna na przetwory – mają dużo miąższu, a mało soku. Według niektórych naukowców najzdrowszą odmianą są pomidory śliwkowe, czyli inaczej zwane rzymskimi – nie są zbyt duże, mają za to bardzo intensywny kolor. Są źródłem przeciwutleniaczy, likopenu i beta-karotenu, które wykazują działanie przeciwstarzeniowe. Wykorzystuje się je także w dietetyce przeciwnowotworowej. Jeśli więc macie w swoich ogródkach albo na targu dostęp do takich, to tym lepiej. Ale wszystkie odmiany zawierają dużo wapnia, potasu, magnezu i żelaza. Oczywiście mają też dużo błonnika, co doskonale wpływa na układ pokarmowy.

Pamiętajmy, że pomidory lepiej spożywać na ciepło ze względu na lepszą przyswajalność likopenu, który jest uwalniany właśnie wtedy, kiedy rozdrabniamy, a potem gotujemy czy smażymy pomidory. Często jadamy duszone pomidory na oliwie z oliwek z dodatkiem świeżych ziół – do tego kromka razowego, podpieczonego chleba, kawałek owczego sera i mamy tzw. niebo w gębie, co i państwu polecamy.

Zupa krem z pomidorów z fetą

• 1 kg dojrzałych pomidorów malinowych „jojo" • 2 cebule cukrowe • 2 ząbki czosnku • 4 łyżki oliwy z oliwek • sól, pieprz do smaku • 1 litr bulionu warzywnego • słodka śmietanka • ¼ kostki twardej fety • bagietka lub kromka razowego chleba • świeże zioła

Pomidory zaparzamy, aby zdjąć z nich skórkę, czyli zalewamy wrzątkiem, chwilę czekamy i przekładamy do zimnej wody – łatwiej wtedy ją zdjąć. Cebulę z czosnkiem kroimy i podduszamy na oliwie, dodajemy pokrojone i obrane ze skórki pomidory, dolewamy bulion i gotujemy ok. 30 min od zagotowania. Na koniec wszystko blendujemy. Podajemy ze słodką śmietanką, grzanką lub razowym chlebem posypanym ziołami. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Ulubiona kałuża

Na rozstaju leśnych dróg tworzyło się zagłębienie, nieomylna aparatura pomiaru poziomu opadów. To była moja ulubiona kałuża. Po dużym deszczu rozlewała się w jeziorko, rozchlapywane przez przejeżdżające tamtędy nieliczne auta, w którym zażywały spa ptaki i owady. Któregoś roku Lasy Państwowe drogę jednak wyrównały i mój punkt pomiarowy zniknął.

Znalazłam następny, nie jest tak dobry jak tamten i nie widać go z okna. Ale jest. Okazuje się, że w miłości do kałuż nie jestem odosobniona. Moim sprzymierzeńcem jest biolog, przyrodnik (poeta i ekoterrorysta, jak siebie nazywa) Michał Książek, autor „Atlasu dziur i szczelin", który w mediach społecznościowych dużo miejsca poświęca problemom przyrody, m.in. brakowi wody w Polsce, sprawie lekceważonej zarówno przez władze, jak przez obywateli.

„Znów pojawiły się kałuże. W niektórych miejscach po latach nieobecności. I to nie efemeryczne, a wielodniowe. W kałużach woda zatrzymuje się na dłużej, odzyskuje spokój i może wsiąkać w głąb gleby. Dzięki kałużom, czyli płaskim dziurom, na naszych osiedlach żyje dziś niejedno drzewo i ptak. Wbrew woli decydentów i zarządców kałuże zatrzymują wodę i inicjują podsiąk kapilarny. Z mikrodziurki do mikroszparki i dalej: chodnikami owadów, norkami pierścienic, korytarzami kreta do korzeni i edafonu. O ile gleba nie jest zbita na klepisko albo zadławiona kostką. Z kałuż piją też miejskie owady i ssaki".

Wiadomo, że wspomnienia z dzieciństwa zmieniają proporcje. Małe domki stają się pałacami, miasteczka – metropoliami, przydomowe ogródki – dżunglami.

We wspomnieniach z czasów Milanówka widzę, jak zimą drogę ze szkoły pokonujemy, ślizgając się na zamarzniętych kałużach wzdłuż głównej ulicy. Od jednej kałuży do drugiej, a układały się one w długie pasmo jakby minijezior rynnowych. Mknęło się na podeszwach skórzanych butów, bo wtedy tylko takie miałyśmy, i można było się fajnie rozpędzić. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak starsze panie idące tą ulicą z siatkami zakupów musiały nienawidzić niesfornych dziewczynek wyślizgujących jedyną drogę do domu. Ale którą 10-latkę obchodzą starsze panie?

Później zamieszkałam w Warszawie i mogłam już tylko tęsknić za kałużami i Milanówkiem. Nie było zresztą za czym, bo jeśli chodzi o kałuże, to zniknęły, bo w tym czasie władza położyła chodniki. Na szczęście nie wszędzie i w wielu miejscach starego Milanówka zostały jeszcze niewybetonowane ulice i chodniki. A na nich kałuże. Oby jak najdłużej.

A po tych wspaniałych deszczach, które mamy teraz, widzę wokół już nie kałuże, ale prawdziwe jeziora. Boję się tylko, że nie doczekają zimy, żeby zamarznąć. ©℗

eprasa.pl 025d2d1ac6

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Uczta podczas dżumy

Dziwne to lato. Z jednej strony jesteśmy usypiani propagandą o skuteczności Unii Europejskiej, z drugiej – straszeni wojną. I tu są dwie koncepcje krytyczne. Jedna mówi o tym, że te wojenne straszenie to (jak za COVID) tylko kolejna odsłona strachu opartego na drugim, po zarazie, jeźdźcu Apokalipsy, którym jest wojna. Ma tu chodzić o kolejny pretekst do przesuwania ku zanikowi sfery wolności, nie tylko osobistej, lecz także organizacji państw. Mają na tej histerii zarobić (znowu jak za COVID) ci, którzy mają zarobić, a my mamy zapłacić za to rachunki. Druga koncepcja to rzeczywiste podżegactwo wojenne, czyli mamy być powoli oswajani z możliwością, a właściwie nieuchronnością wojny. Zdaje się, że obie te koncepcje połączył właśnie ostatnio premier Tusk na swej „publicznej" spowiedzi w Pabianicach. Tu się warto zatrzymać.

Wedle Tuska podział jest jasny – idzie wojna i każdy, łącznie z obywatelską samoobroną na granicy, kto kwestionuje posunięcia władz (lub ich brak), osłabia nasze przygotowanie i czyni to za „ruskie rubelki". To typowy podział wojenny – ma być wszystko jasne, wszyscy pod skrzydła władzy, każdy, kto nie z nami, ten przeciw nam. W tej narracji poszerzać się więc będzie pole tłamszenia jakichkolwiek ruchów innych niż te, które czyni (?) koalicja rządząca. A ta przyspiesza, gdyż skoro zaczyna brakować chleba, to będziemy mieli igrzyska. Ale to zabawa jedynie z twardym elektoratem, który sam wychował Tusk. A reszta Polaków, łącznie z ojczyzną, na tym straci. Mało tego – rozgrzani rewanżyści też stracą, gdyż ich motywacje są wyłącznie emocjonalne, nie zaś pragmatyczne. Najgorzej, że teraz te ekstrema dostały się do „zrekonstruowanego" rządu. Tusk obiecał przyspieszenie, ale widać, że tylko w obszarze rozliczania poprzedniej władzy. Pokoju ani chleba od tego nie przybędzie.

I jednocześnie w takim zamęcie lud zachowuje się… piknikowo. Ja nie jestem za tym, by cały czas siedzieć i martwić się o przyszłość. Trochę dystansu do coraz bardziej nas otaczającej rzeczywistości nie zaszkodzi. Fascynują mnie pomysły tych ulicznych potańcówek, kina plenerowe – lud się bawi w dwójnasób, jakby chciał o czymś zapomnieć. A że lud mamy w miarę ogarnięty, to trzeba patrzeć w tę stronę, stamtąd mogą dla nas przyjść i nauka, i projekcja przyszłości. Jest taki tekst Puszkina – „Uczta podczas dżumy". To tam spanikowany lud, widząc zagrożenie, oddaje się zabawie, by zapomnieć o nieuchronnym. I mam nadzieję, że tak u nas jednak nie jest – ciekawe, czy lud przestał się bawić tylko dlatego, że zaczęło padać. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Najważniejsze wyzwanie

Jedną z cech przywództwa jest zdolność widzenia spraw w długiej perspektywie. W momencie wymiany na urzędzie Prezydenta RP ośmielę się stwierdzić, że najpoważniejszym deficytem odchodzącego Andrzeja Dudy jest to, że nie zawalczył o przywództwo przynajmniej w jednej sprawie. Nasz system polityczny, mimo silnego mandatu pochodzącego z bezpośredniej elekcji, głowie państwa nie daje proporcjonalnych uprawnień. Jednak właśnie komfort dystansu od bieżącej polityki pozwoliłby prezydentowi na utworzenie profesjonalnego ośrodka analitycznego, który mógłby rozpoznawać najistotniejsze dla Polski długofalowe cele. Andrzej Duda nie wykorzystał tej szansy.

Najpoważniejszym wyzwaniem dla Polski jest demografia. W jaki sposób PiS, czyli obóz polityczny prezydenta, traktował problem zapaści populacyjnej, najlepiej ilustrują przyjęcie dopiero w połowie drugiej kadencji ustawy powołującej Instytut Rodziny i Demografii, a następnie… zamrożenie projektu. Potem, kilkanaście miesięcy przed oddaniem władzy, premier Morawiecki powołał konkurencyjny ekspercki „Instytut Pokolenia", który Donald Tusk rozgonił natychmiast po utworzeniu rządu. A przecież Andrzej Duda mógł przejąć inicjatywę, stać się patronem tematu, a w momencie zmiany władzy – inkorporować „Instytut Pokolenia" do Kancelarii. Wcześniej zaś, w maju 2019 r., gdy pod naciskiem liberalnej opozycji rozszerzano program „500+" na rodziny jedynaków, wytracając tym samym pronatalistyczny charakter, prezydent nie zawetował ustawy. Owszem, wrażliwość na wielodzietnych widoczna była w inicjatywie „Mama 4+", ale to wyraz troski o kobiety na emeryturze, a nie o te, które mogą jeszcze powiększać rodzinę.

Andrzej Duda nie zostanie też zapamiętany jako ten, który próbował przeciwstawić się niszczącym rodzinę i deprawującym młodych genderowym zagrożeniom. W 2017 r., zapytany przeze mnie o wypowiedzenie przez Polskę konwencji stambulskiej, skwitował temat: „Nie stosować jej zapisów". W październiku 2020 r., gdy w reakcji na orzeczenie TK ruszyła brutalna fala czarnych protestów, gdy niszczono porządek publiczny, atakowano kościoły, prezydent nie zareagował, nie skorzystał z przysługującego mu prawa do wygłoszenia orędzia, a w końcu zgłosił projekt zmiany ustawy przywracający de facto aborcję eugeniczną.

Katastrofa demograficzna niszczy wszystkie kraje wysokorozwinięte, jest ona skutkiem złożonych czynników, w tym głównie kulturowych, ale nie oznacza to, że musimy się z takim stanem godzić. Odchodzący prezydent nie wykazał inicjatywy. Czy Karol Nawrocki podejmie wyzwanie? Okaże się wkrótce. ©℗

eprasa.pl 025d2d1ac6

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Bodnar się nawrócił

Rzecznik rządu (naprawdę go zrobili?) Adam Szłapka (naprawdę nie wierzę, że jego nim zrobili) poinformował w mediach społecznościowych: „Minister sprawiedliwości odwołał 46 prezesów i wiceprezesów sądów oraz dziewięciu delegowanych w MS. W reformie wymiaru sprawiedliwości nie będzie miejsca na sabotaż i taryfy ulgowej dla tych, których ten wymiar dosięgnie". Stop. Abstrahując od jawnej pogróżki wsadzenia za kraty 55 sędziów, pewnie trzeba będzie dodać jeszcze jednego: tego, który skazał na pięć lat więzienia senatora Stanisława Gawłowskiego z PO za korupcję. Stop. Według świadków Staszek wziął niecałe 800 tys. zł i dwa zegarki. Stop. I za co wyrok, jak on z Platformy? No ludzie... Stop. Co ten sędzia sobie w ogóle myśli? Stop. Aaa, dodam jeszcze jedną okoliczność pogrążającą dla tego sędziego: Staszka broniła druga osoba w państwie, choć niektórzy mówią, że pierwsza: znaczy się Giertych Roman, syn Macieja, urodzony w Warszawie, podobno wkrótce wyjeżdżający do Włoch. Stop.

Teraz to państwo nie uwierzą, Adam Bodnar nawrócił się na prawo. Stop. Po tym, jak Tusk wylał go z ministrowania, pan Adam udzielił wywiadu, w którym rzekł: „W żadnym wyroku, żadnego trybunału międzynarodowego nie jest napisane, że naprawa systemu państwa polskiego może polegać na jakichkolwiek działaniach przemocowych". Stop. Ale się narobiło! Stop. A czy to nie za ministra i prokuratora generalnego Adama Bodnara 3 lipca 2024 r. prokurator Piotr Myszkowiec, w asyście policji, wszedł do siedziby KRS, żądając wydania akt postępowań dyscyplinarnych sędziów Waldemara Żurka i Piotra Gąciarka? Stop. Czy to nie za Bodnara pruto łomem szafy pancerne, żeby te akta zabrać? To nie było przemocowe? Stop. Jak szybko ten nasz Bodnar nawrócił się na prawo... Stop.

Co cieszy Bogusława Wołoszańskiego (obecnie w Sejmie)? „Zero tolerancji dla opluwania polskiego munduru. Bąkiewicz wkrótce usłyszy zarzuty znieważenia funkcjonariuszy Straży Granicznej i Żandarmerii Wojskowej" – napisał na X. Stop. Co cieszy Roberta Bąkiewicza? „Kapuś i donosiciel pisze »Zero tolerancji«. Hipokryzja tej umoralnionej »elyty« nie zna granic". Inna sprawa, że Wołoszański naprawdę mógłby zrobić odcinek popularnych „Sensacji XX wieku" o tym, jak donosił Służbie Bezpieczeństwa na kolegów, nadając sobie pseudonim Ben, to byłby komercyjny sukces! Stop.

Najbardziej w minionym tygodniu to mnie ucieszyła reklama dżinsów American Eagle, które ładna aktorka naciągnęła na ładne pośladki. Stop. To znaczy, przyznam się, ucieszyło mnie szczególnie „wycie" postępowego lewactwa, że to faszyzm, nazizm oraz nawet eugenika. Sobie kupię takie i będę paradował. Dodam, że jestem biały. ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Prawo do życia, gdzie się chce

Donośnym echem odbił się wśród dziennikarzy i wiernych list napisany przez kard. Grzegorza Rysia, a odczytany w kościołach archidiecezji łódzkiej. Dotyczył on m.in. migrantów i zawierał kilka tez uznanych za wysoce kontrowersyjne. „Hejt, strach przed »obcym«, stereotypy, nienawiść stają się argumentem ważniejszym niż racje ludzkie i ewangeliczne. Tymczasem katolicka nauka społeczna (na którą tak wielu się powołuje...) wyraźnie stwierdza, że każdy człowiek ma prawo wybrać sobie miejsce do życia i ma prawo w tym miejscu być uszanowanym w swoich przekonaniach, kulturze, języku i wierze" – naucza katolicki hierarcha.

Prawo każdego człowieka do „wybrania sobie miejsca do życia" może być pojęciem zwodniczym, a nawet prowadzącym na manowce słuchaczy rozumiejących słowa kard. Rysia zbyt dosłownie. Jest na naszej planecie ogromna liczba terytoriów, wysp, posiadłości ziemskich i rezydencji, których sam widok, nie mówiąc już o panującym tam klimacie i wspaniałościach przyrody, skłaniać może wielu, by zapragnęli tam zamieszkać. Z pewnością mogłoby to im przynieść dobroczynne skutki zdrowotne, pożytki dla rodziny i rozwoju duchowego. Prawo do zamieszkania w wybranym zakątku świata stanęłoby jednak w sprzeczności z prawem innych ludzi do posiadania własności i dysponowania nią. Chociaż biegłość retoryczna kard. Rysia z pewnością pozwoliłaby mu wyjaśnić, że nauczanie kardynalskie niosło treść całkowicie niewinną, to mieszkańcy odległych wysp i przybysze mogliby się w tym czasie wzajemnie o swoje prawa pozabijać.

Czy nie prościej by było realizację „prawa do wyboru miejsca do życia" rozpocząć od najmniej kłopotliwych kandydatów, którzy wybrać chcą miejsce, w którym się urodzili? Na przykład Palestyńczyków. Kardynałowi Rysiowi znany jest zapewne ponury los mieszkańców Strefy Gazy. Nie chcą niczego innego, niż mieszkać tam, skąd pochodzą, czasem od wielu pokoleń. Rozmaite światowe potęgi nie tylko mordują ich za to dziesiątkami tysięcy, morząc przy tym głodem, lecz także otwarcie planują przesiedlenie ocalałych, pod przymusem, w obce strony. Czy kard. Grzegorz Ryś wypowiedział się już publicznie w obronie ich „prawa wyboru"? W liście poucza swych polemistów: „Proszę: miejcie odwagę przynajmniej w takich wypadkach zamilknąć i nie dokładać ognia do tak rozpalonej rzeczywistości". Rzeczywistość w Strefie Gazy jest jeszcze bardziej rozpalona, ale milczenie o niej dowodzić może wszystkiego, oprócz odwagi. ©℗

eprasa.pl 025d2d1ac6

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Chłopiec dozwolony

Dziewięćdziesięcioletnia dziś Rita Gombrowicz, z domu Labrosse, wdowa po Witoldzie Gombrowiczu, pochodzi z francuskojęzycznej części Kanady, z katolickiej, farmerskiej, wielodzietnej rodziny. Miała pięciu braci i trzy siostry. Uczyła się w prowadzonej przez zakonnice szkole z internatem, studiowała literaturoznawstwo na Uniwersytecie w Montrealu, dostała stypendium doktoranckie w Paryżu. Dorabiała w maju 1964 r. jako telefonistka w opactwie Royaumont pod Paryżem, w pensjonacie dla artystów, gdzie przebywał Witold Gombrowicz. Miała lat 28, on 60, ale bardzo się jej podobał – wojował z królującymi tam lewicowymi intelektualistami, zwłaszcza z Polski, Pawłem Beylinem i Januszem Kuczyńskim, zarzucając im, że siedzą tu, korzystając z wyzysku robotników, że takie jak ich samochody mają w Polsce tylko marksiści. Zafascynowana nim młoda, piękna Rita też wpadła mu w oko. „Odkąd zdziadziałem, mam wściekłe powodzenie u kobiet" – pisał do brata Janusza. Nieoczekiwanie zapytał ją, czy nie towarzyszyłaby mu w wyjeździe na południe Francji, zalecanym mu przez lekarzy ze względu na jego astmę. Zgodziła się, jej ideałem była modna wtedy para – Jean-Paul Sartre i Simone de Beauvoir. Myślała też, że będzie to tylko wakacyjna przygoda, okazała się ona jednak związkiem na całe życie.

Po 23 latach Argentyny, pracy w banku, nędzy zaczęła się wreszcie należna Gombrowiczowi międzynarodowa sława – tłumaczenia, nagrody, m.in. Formentora, i większe pieniądze. Wynajął więc mieszkanie w willi na Lazurowym Wybrzeżu, w malowniczym, snobistycznym miasteczku Vence, wśród palm, pałacyków bogaczy, turystów. Głównie dla Rity, żeby się nie nudziła i nie uciekła od „kwękającego starca", kupił citroena 2CV, z którego był bardzo dumy, choć to jeden z tańszych we Francji wozów dla studentów. Cieszył się, że w wieku 60 lat ma to, co przeciętny Francuz ma po trzydziestce – mieszkanie, samochód, pieska, domowe ognisko. Płacił Ricie comiesięczną pensję, przedstawiał oficjalnie jako swoją sekretarkę, nieoficjalnie nazywał „chłopcem dozwolonym". Wychwalał w listach do brata: „Mniej samotnie się czuję, co dobrze robi na nerwy i zdrowie. To dziewczę bardzo mi się udało, inteligentna, zaradna […]. Nowoczesna, dobrze się ubiera, wysportowana, uczciwa. Dopóki co, mnie kocha, jak długo to potrwa, nie wiem".

Gombrowicz wynajął mieszkanie w willi na Lazurowym Wybrzeżu, w malowniczym, snobistycznym miasteczku Vence, wśród palm, pałacyków bogaczy, turystów. Głównie dla Rity, żeby się nie nudziła i nie uciekła od „kwękającego starca", kupił citroena 2CV, z którego był bardzo dumy, choć to jeden z tańszych we Francji wozów dla studentów

Ich wspólne życie okazało się bowiem bardzo udane. Pomagała mu w sprawach wydawniczych, woziła na wycieczki po okolicy, do Nicei, Monako, przyjmowała gości: Jeleńskiego, de Roux, emigrantów, Marię i Bohdana Paczowskich, Mrożka. Gotowała, oczywiście befsztyki, sałaty, a także jego ulubione polskie danie: ziemniaki purée z jogurtem, zastępującym nieznane we Francji zsiadłe mleko, kluski i pierogi przyrządzane przez znajomą Polkę, bo tego nie potrafiła. Zaczął ją też podszczypywać, wskoczyła mu więc do łóżka, nie wiedząc, że notował wszystko w swoich prywatnych zapiskach, wydanych później jako „Kronos": „Miłość z kobietą po 20 latach co najmniej". „Odkąd z Ritą jestem więcej niż 15 razy, cztery orgazmy". Choć „zawsze uważał", to zaszła w ciążę, nie chciał jednak dzieci ze względu na panujące w rodzinie jego matki choroby psychiczne. Aborcja była wtedy we Francji zakazana, dokonała jej w prywatnym gabinecie, w Genui. Dość późno zatem się dowiedział, że był to chłopiec. W grudniu 1968 r., gdy zdrowie Gombrowicza bardzo się pogorszyło, w mieszkaniu, na wózku inwalidzkim, bo już nie chodził, wziął z Ritą ślub, aby jako wdowa po nim mogła zająć się jego spuścizną. Przedtem poprosił listownie rodziców Rity o jej rękę i zgodzili się, choć nigdy zięcia nie poznali. Zmarł pół roku później, 25 lipca 1969 r. ©℗

eprasa.pl 025d2d1ac6

ZŁY INTERES

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Pierwszy raz z walutą euro zetknąłem się w Belize (kraj karaibski). Był styczeń 2004 r. W Europie zima, na Karaibach szczyt sezonu turystycznego. Euro wprowadzono 1 stycznia 2002 r. w 12 państwach UE, a 1 lipca 2002 r. ostatecznie wycofano z obiegu waluty narodowe tych państw. Turyści z tych krajów nadal jeździli na Karaiby. Mieli nowe euro.

Nikt tego świństwa nie chciał. Kantory w Meksyku oferowały za euro gorszy kurs niż za dolary, choć oficjalne kursy bankowe mówiły na odwrót.

Byłem wtedy barmanem w Belize i żyłem z napiwków. Na barze stał słój po ogórkach, do którego klienci wrzucali napiwki. Gdy znalazłem w słoju euro, odkładałem je na bok, bo tym się nie dało nigdzie płacić. Przed wylotem z Belize poszedłem do banku wymienić wszystko na dolary. Kładę plik euro przed kasjerem, a on bierze ołówek i odsuwa wszystko z powrotem przed szybę okienka. Nie chciał tego nawet dotykać! Czemu? Wytłumaczył mi łopatologicznie i ja się z nim zgodziłem wtedy, i zgadzam do dziś.

***

Na czym polega problem euro? Ta waluta nie ma właściciela. Kasjer mi to opowiedział tak: Każda inna waluta ma za sobą jakieś państwo, kogoś konkretnego, naród. A euro nie ma właściciela, nie wiadomo, do kogo iść z pretensjami, gdyby coś z tą walutą było nie tak. Coś, co jest wspólne, jest jednocześnie niczyje. Przerabialiśmy to za komuny, gdy w Polsce było mienie państwowe. Fabryki były państwowe, czyli niczyje. A ludzie chcą mieć coś swojego i rozumieją rzeczy, które mają właścicieli.

Indianie w Amazonii uważają, że bezpańska maczeta jest niebezpieczna, bo nikt nad nią nie panuje. Podobnie jak bezpańska bomba atomowa. Zgodzimy się chyba wszyscy, że KAŻDA bomba atomowa na świecie powinna mieć jasno zdefiniowanego właściciela, prawda? Nie chcemy sytuacji, w której gdzieś leży pocisk nuklearny i nikt się do niego nie przyznaje.

Własność jest WAŻNA, bo do słowa „własność" jest przyczepione słowo „odpowiedzialność". Jeżeli to jest twoja bomba, to TY odpowiadasz za to, aby nie wybuchła ludziom w twarz. Jeżeli to jest twoje dziecko, to ty odpowiadasz za wszystkie szyby wybite przez to dziecko.

A kto KONKRETNIE odpowiada za euro? Nikt. Jakiś organ zbiorowy. Ale kto to właściwie jest, gdy składa się z kilkudziesięciu państw o sprzecznych interesach? NIKT.

Gdyby euro się rozpadło, uśmierciłoby miliony ludzi w kilka dni, podobnie jak w przypadku bomby atomowej. Waluta to przedmiot, od którego zależy życie wielu ludzi każdego dnia. Proszę sobie wyobrazić sytuację, gdy nagle znikają pieniądze lub przestają być cokolwiek warte. Zrobi się chaos prowadzący do śmierci.

***

Trump właśnie ograł Unię Europejską. Nie dlatego, że jest wybitnym negocjatorem – owszem, jest, ale tym razem to nie było potrzebne – wystarczyło, że Unia Europejska nie ma właściciela, nikt nie wie, kto podejmuje decyzje, nikt nawet nie wie, kto powinien podejmować. Na szachownicy stoją figury – Ursula jest figurą, Tusk jest figurą – ale to są tylko figury i nawet one same nie wiedzą, kto nimi posuwa ani kto posuwać powinien. Gdy dochodzi do rozmów handlowych z państwami poza Unią, to tam wiadomo, kto rządzi, a w UE nie wiadomo kto.

Gdy Ameryka przystępuje do negocjacji, wiadomo, że decyzje i zobowiązania Trumpa będą wiążące. Mogą zostać zmienione dopiero przez kolejnego prezydenta lub Trump może swoje decyzje utrwalić „na zawsze", gdy je przepchnie przez Kongres. Gdy Unia Europejska przystępuje do negocjacji, nie wiadomo, kto ma podejmować decyzje i czy one w ogóle będą wiążące.

Ursula von der Leyen i jej drużyna pompatycznych urzędasów zostali ograni przez Trumpa. Wcześniej nazywali go „pomarańczowym bufonem", teraz przyszli, wysłuchali warunków, które postawił, stwierdzili, że nie wiedzą, co z tym robić, więc się zgodzili na wszystko, bo w UE nie wiadomo, kto miałby wystosować kontrpropozycję.

Trump działa jednoosobowo, więc szybko, a w UE jest 27 państw i gdyby na stole pojawiła się nowa oferta, to nie wiadomo, kto ma ją rozważyć. A Trump nie tracił czasu, bo przyleciał do Szkocji na golfa. Grał na swoim prywatnym polu golfowym i jednocześnie grał na nosie biurokratom z UE – kazał im podejmować decyzje DZISIAJ OD RAZU, a w UE nie istnieje procedura szybkich negocjacji – musi się zebrać grono 27 reprezentantów i muszą podyskutować… Dlatego UE zawsze przegrywa negocjacje z tymi szybkimi – szybki jest chiński dyktator Xi, szybki jest Putin, szybki jest Trump i żaden z nich nie ma zamiaru czekać miesiącami, aż się Unia zdecyduje. Nikt na Unię czekał nie będzie. Świat gna do przodu, a Unia stoi, właściwie leży.

***

Trump przyleciał na golfa. Położył na stole propozycję umowy. Ursula przyjęła wszystko. Z ogromnymi stratami dla państw UE. Trump nie musiał odbywać żadnego pojedynku, bo w Unii Europejskiej nie ma się z kim boksować.

Na co zgodziła się Unia: producenci z 27 krajów UE będą płacić 15-procentowe cło za towary eksportowane z Europy do USA, w tym samochody, półprzewodniki i leki. Amerykanie będą płacić ZERO cła, eksportując takie same towary na teren UE. Unia Europejska zgodziła się kupić od Ameryki surowce energetyczne za 750 mld dol. USA nie zobowiązały się kupować niczego w UE.

Unia zobowiązała się zainwestować w USA 600 mld dol. USA nie muszą inwestować nic w UE.

Unia zobowiązała się zredukować lub wyeliminować bariery handlowe dla towarów amerykańskich – takie jak podatek VAT, standardy ekologiczne itd.

Trump w jedno popołudnie ugrał dla USA przychód w wysokości 1,35 bln dol. i poszedł grać w golfa. Unia Europejska nie ugrała nic. A do tego jeszcze rząd USA będzie miał przychody z cła nałożonego na towary z Europy.

Ursula von der Leyen objaśniła, że negocjacje były twarde i nie potrafiła nic ugrać – „zrobiłam, co mogłam, a mogło być gorzej, niż jest". Ten interes jest bardzo dobry dla Ameryki i zły dla UE. I to jest jeden z wielu powodów, by Polska odeszła z Unii. ©℗

eprasa.pl 025d2d1ac6

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

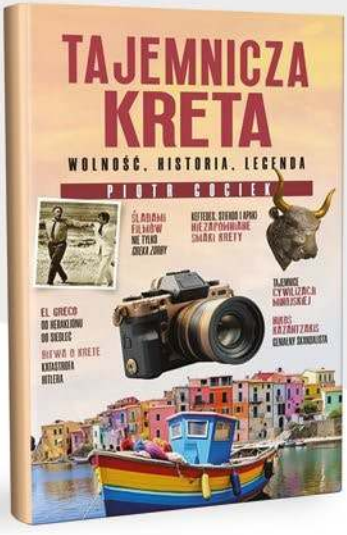

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

PIOTR GOCIEK: „TAJEMNICZA KRETA" ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1478~~ ZŁ

495,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 983 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 025d2d1ac6

REPUBLIKA

Tuż po północy zapraszamy na program „Republika Nocą” – podsumowanie najważniejszych wydarzeń dnia.

od poniedziałku do piątku

00:20

w Republice

Komentuj na X

#republikanoca

www.radiotvrepublika.pl Telewizja Republika @RepublikaTV RepublikaTV @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR

WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 025d2d1ac6